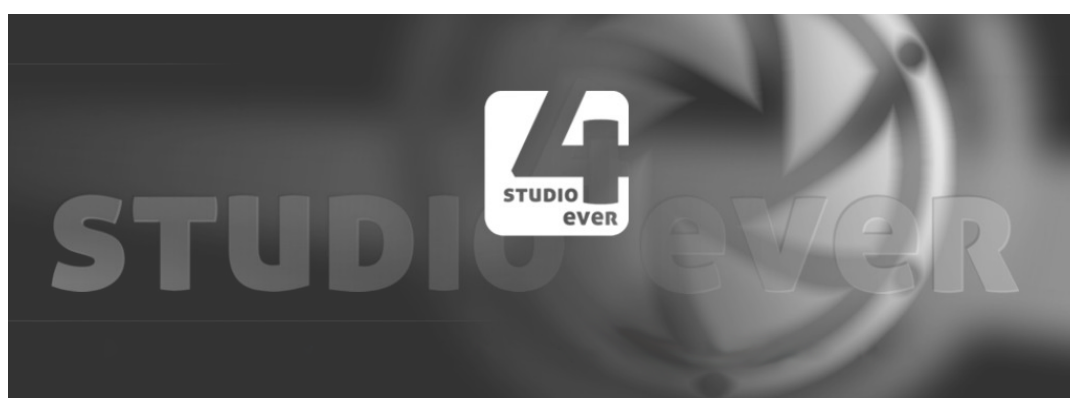


Piotr Jakub Karcz

KREATOR WSZECHRZECZY

TWOJE ŹRÓDŁO INFORMACJI O SPRZĘCIE
TwojePC

www.twojepc.pl



www.studio4ever.pl

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Takiego poruszenia na pokładzie Nowej Europy nie było chyba od siedmiuset lat. Najwięcej zamieszania wywołało wystąpienie pani prezydent.

Szczupła, jasnowłosa kobieta o obojętnej twarzy ukazała się na prawie wszystkich ekranach naszej kosmicznej wspólnoty. Ludzie wstrzymali codzienne zajęcia, oderwali wzrok od ulubionych programów, albo tak jak ja... poszli do kuchni zrobić sobie coś do jedzenia.

Właśnie wstawiłem hamburgera, gdy usłyszałem dobrze znany głos pani prezydent. Przez moment miałem wrażenie, że dobiega on z wnętrza kuchenki mikrofalowej (po tym jak kilka dni temu zobaczyłem reklamę mówiących okularów, nic nie było w stanie mnie zaskoczyć). Prędko jednak przyswoiłem do wiadomości, że dźwięk dobiega z głośniczka płaskiego mini-telewizora umieszczonego na ścianie nieopodal lodówki, który dostałem przy jej kupnie w promocji.

Przyznam, iż od momentu zakupienia zestawu (pasującego niczym siodło do krowy) nie miałem przyjemności podziwiania wspomnianego „cudu techniki”, ponieważ po prostu o nim zapomniałem.

W tej chwili jednak mini-telewizor włączył się sam, gdyż nadawany program miał wysoki priorytet.

„Jak wszyscy wiemy za trzydzieści osiem dób Nowa Europa znajdzie się na orbicie okołoziemskiej. Muszę jednak ostudzić zapał wszystkich tych, którzy uważają, iż po upływie tego czasu nasza, prawie dwutysięczna społeczność przeniesie się na utęsknioną Niebieską Planetę. Wspólnie z radą naukową ustanowiliśmy, że zanim to nastąpi wyślemy ekspedycję, która przeprowadzi badania i przedstawi wszystkie ewentualne zagrożenia powrotu. Dopiero po sporządzeniu szczegółowego raportu ustalimy zasady i kolejność. Na ten moment trudno mi powiedzieć ile czasu potrwają badania.

Pragnę powiedzieć wszystkim niecierpliwym, że opóźnienie nie jest moim, ani niczyim wymysłem. Wspomniane środki ostrożności mają na celu...”

Rozdrażniony wyłączyłem telewizor, po czym wyjąłem z mikrofalówki hamburgera. Był ohydny i niezdrowy. Chyba dlatego właśnie tak bardzo mi smakował. Poza tym zawsze dostaję wilczego apetytu, gdy jestem zdenerwowany.

Ledwie włożyłem do ust ostatni kęs „prysmaku”, usłyszałem czyjeś kroki w głównym pokoju. Spokojnie przełknąłem, co należało, po czym wyszedłem z kuchni naprzeciw nieoczekiwanemu gościowi.

Tak jak się domyślałem był to Helmut. Nikogo innego przecież nie upoważniłem do otwierania zamka od głównych drzwi.

Znajomy uśmiechnął się na mój widok, ale tylko na ułamek sekundy. Sądząc po jego nerwowych i gwałtownych ruchach był zły.

— Usiądź, wyluzuj — doradziłem możliwie najzyczliwszym tonem. Sam również byłem poruszony, jednak potrafiłem całkowicie zamaskować swoje uczucia.

Helmut przycupnął przez chwilę na wersalce, po czym pobiegł do kuchni, kierując się w stronę lodówki. Zgodnie ze swoim „zboczeniem zawodowym” przeanalizowałem sytuację przyjaciela. Byłem bowiem specjalistą od wszelkiego rodzaju kontaktów i mowy niewerbalnej.

Mój zawód często ułatwiał mi życie. Niejednokrotnie potrafiłem wyczytać z twarzy drugiej osoby, że za moment coś będzie chciała ode mnie i w porę przygotować się na to psychicznie. Dzięki rzadkim zdolnościom byłem bystrym obserwatorem, zadającym bardzo mało pytań. Poniekąd jednak zdarzało się, iż nietypowa specjalizacja nieco przeszkadzała mi w prywatnym życiu. Część ludzi bowiem celowo mnie unikała, w obawie, że mogę naruszyć ich prywatność. Niektórzy nawet posądzali mnie o czytanie w myślach, ale tego – niestety – nie potrafiłem.

Kiedy Helmut wrócił z kuchni (z otwartą butelką piwa, wyjętą prosto z mojej lodówki) wiedziałem już o nim prawie wszystko. Domyślałem się, że miał w pracy ciężki dzień i najprawdopodobniej przemówienie pani prezydent ostatecznie wytrąciło go z równowagi.

Aby odreagować stres i wyžalić się, jak zwykle, zwrócił się do mnie. Wiedział, że wysłucham go i posłużę ewentualną radą. Poza tym lubił piwo, a ja miałem go pod dostatkiem.

— Słyszałeś to przed chwilą? — spytał ni stąd, ni zowąd.

No, ładnie... Zaczął od końca i w dodatku chaotycznie.

— Trudno było nie usłyszeć — odparłem siłąc się na uśmiech.

— I co, pewnie cieszysz się, że jeszcze sobie poczekamy. I pomyśleć, że zaufałem tej kobiecie, głosowałem na nią... — Robi się ciekawie, zaczyna rozpaczać... Jeszcze trochę i wypłacze mi się na ramieniu.

— Też wołałbym postawić stopę na Ziemi, gdy tylko do niej dotrzemy, ale sam wiesz, że to byłoby zbyt ryzykowne. Cambridge nadal milczy. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko uzbroić się w cierpliwość.

Kosmodrom Cambridge był wyznaczonym miejscem lądowania dla wahadłowców Nowej Europy. Planowany czas zakończenia podróży, datowany na Y3K okazał się niemożliwy. Sądziliśmy, że w związku z prawie trzydziestoletnim poślizgiem, po prostu o nas zapomniano. Bardzo prawdopodobne też, iż podczas naszej, prawie osiemsetletniej podróży, system komunikacji bezprzewodowej przeżył całkowitą zmianę.

Na wieść o braku łączności z Ziemią, prawie całą załogę ogarnęła wielka obawa. Przewidywano nawet, że na naszej ojczystej planecie wybuchła wojna nuklearna, która przyczyniła się do upadku cywilizacji. Na szczęście, gdy zbliżyliśmy się dostatecznie blisko, oczom obserwatorów ukazał się obraz zdrowej i normalnie funkcjonującej planety z dwoma namacalnymi dowodami ludzkiej cywilizacji: Wielkim Murem Chińskim oraz ogromnym wysypiskiem śmieci w okolicach Nowego Jorku.

— Zanim komisja wszystko zbada i napisze raporty, minie kolejny miesiąc — powiedział głosem człowieka upadłego Helmut, biorąc dużego łyka. To dziwne, rozmawialiśmy zaledwie dwie, może trzy minuty, a on już wypił prawie całą butelkę.

Całkowicie rozumiałem przyjaciela. Zawsze obsesyjnie odliczał lata (a potem dni) powrotu. Odhibernowywano go zawsze mniej więcej w tym samym okresie co mnie, przez co bardzo się zżyliśmy. Był nieco starszy ode mnie (miał 327 lat chronologicznych i 23 biologiczne), ale ta drobna różnica wieku wcale nam nie przeszkadzała. Poza tym tak samo jak ja, Ziemię znał tylko ze szkoły, opowiadań rodziców i starych, amerykańskich filmów.

2

Moment przybycia na Niebieską Planetę zbliżał się nieuchronnie. W mojej świadomości powstało napięcie, które z dnia na dzień stawało się większe. Nie wiem dokładnie co było głównym czynnikiem powodującym ten stan. Niecierpliwość? Strach? Ale skoro bałem się, to czego? Na pewno nie faktu, że ludzka cywilizacja upadła, bowiem w to absolutnie nie wierzyłem. W końcu

człowiek jest gatunkiem, który nawet po kilkudziesięciu wojnach nuklearnych przetrwa, jeśli nie w takiej, to w innej formie...

Z moich skołowanych myśli nic nie wynikało. Po chwili intensywnego wysiłku umysłowego, doszedłem do wniosku, że muszę napić się piwa. Podniosłem się więc z kanapy i poszedłem w kierunku lodówki. Zrażony wczorajszym incydentem, intensywnie przyglądałem się mini-telewizorowi w obawie czy aby za moment się nie włączy.

Gdy zimny trunek rozjaśnił mi umysł, powróciłem do analizowania swojej sytuacji. Doszedłem już do wniosku, że odczuwam strach... Nie znałem jednak jego przyczyny. Po chwili zastanowienia zrozumiałem, iż jest to po prostu obawa przed nieznanym.

Przecież nigdy nie byłem na Ziemi... podobnie jak na żadnej innej planecie. Urodziłem się w kosmosie. Moja matka była lingwistką, znającą kilkanaście języków. Ojciec zaś – doktorem informatyki. Oboje byli ochotnikami, którzy dla dobra nauki, w imię Zjednoczonej Europy poszliby w ogień.

Takie były czasy... Wiek XXIII zaobfitował w przeróżne wynalazki, z których najbardziej przełomowym okazał się chyba hibernator (anabiozer, jak kto woli). Mózgowcom z NASA zamarzyło się wówczas stworzenie gigantycznego pojazdu, który na swym pokładzie zabrałby półtora tysiąca ludzi.

Zjednoczona Europa nie chciała być gorsza, więc również zaczęła budować swój pojazd kosmiczny. Tak oto dwa mocarstwa zaczęły prześcigać się w budowie międzyplanetarnych stacji.

Nową Europę, podobnie jak amerykański Spacebreaker składano w kosmosie przez około trzydzieści lat. W okolicach roku 2250 oba ogromne krążowniki były już gotowe do startu.

Europejski statek był nieco większy od swojego, konkurenta, wykonanego przez kolegów zza oceanu. Miał bez mała półtora kilometra długości i wyposażony był w najnowocześniejszy generator grawitacji. Do ciekawostek należał fakt, że na jego pokładzie mieściły się aż dwa reaktory jądrowe. Poza tym potrafił (no i oczywiście potrafi do dzisiaj) rozpędzić się w ciągu miesiąca do prędkości 0,38 C.

Najbardziej jednak zastanawia mnie fakt, skąd wzięło się tylu chętnych, którzy wyruszyli w misję, ze świadomością, iż już nigdy nie zobaczą swojej rodzimej planety. Półtora tysięczna załoga, wśród której znaleźli się moi rodzice, była wybrana z niemal sześciu tysięcy ochotników.

Nie sądzę, że moje wywody jakoś szczególnie mnie podniosły na duchu. Byłem bogatszy może o tyle, że znałem przyczynę swojej obawy, ale nic poza tym. We wszystkim widziałem tylko znaki zapytania.

3

Bycie specjalistą od kontaktów to w gruncie rzeczy całkiem wdzięczne zajęcie. Głównym tego powodem jest fakt, iż w zasadzie przez całe życie nie miałem nic do roboty. Spędziłem, oczywiście, dużo czasu na nadzorze komputerów, odbierających sygnały ze wszystkich możliwych stron świata. Było to jednak „szukaniem dziury w całym” i z braku efektów z roku na rok pracy miałem coraz mniej. W końcu proces analizy sygnałów ograniczono do koniecznego minimum i całkowicie zautomatyzowano. Wymyślono za to, jakby na siłę, że specjaliści od kontaktów będą uczyć dzieci w szkołach podstaw swojej profesji. Większość moich kolegów przekwalifikowało się i znalazło sobie normalną pracę. Ja jednak nie kwapiłem się do tego i tak oto po dziś dzień użeram się z piętnastolatkami. Nie uważam jednak, że jest to jakieś specjalnie nieprzyjemne zajęcie. Dzieci ukrywają swe uczucia tylko powierzchownie i łatwo można poznać po mimikach ich twarzy prawdziwe

zamiary. Poza tym pracuję tylko przez dwa dni w tygodniu. Czyż to nie luksus?

Gdybym był na przykład tak jak Helmut statystykiem, spędzałbym po osiem godzin dziennie w pracy (zwłaszcza teraz, gdy u kresu ekspedycji, przyszedł czas na wszelkiego rodzaju podsumowania i zestawienia).

Właśnie byłem w trakcie prowadzenia zajęć. Tłumaczyłem piętnastolatkom w jaki sposób wyczytać z gestów drugiego człowieka wszelkie obawy i fobie, gdy jedna z dziewczyn spytała mnie: „W jaki sposób można dać chłopakowi do zrozumienia, że chce się z nim iść do łóżka?”

To pytanie zaskoczyło mnie kompletnie. Jednak pospieszyłem się z odpowiedzią, albowiem każdy moment zwłoki mógłby uwidocznić moje, starannie skrywane zmieszanie.

— Bardzo dobre pytanie — odparłem z uśmiechem, zastanawiając się nad odpowiedzią.

Nie przyszła mi do głowy żadna wymówka do zmiany tematu, więc chcąc nie chcąc musiałem odpowiedzieć.

W momencie gdy wymieniałem chyba szesnasty sposób, usłyszałem dyskretny sygnał mojego multikomunikatora. Nie było to zwykłe wezwanie do rozmowy, tylko krótka wiadomość tekstowa. Zaskoczył mnie ten fakt, ale nie okazałem tego nawet najmniejszym mrugnięciem powieki.

— To wszystko na dzisiaj — powiedziałem do uczniów.

Młodzież, mimo wcześniejszego końca zajęć, była raczej niezadowolona. Najwyraźniej spodziewała się jeszcze co najmniej kilkunastu sposobów uzewnętrznienia chęci spędzenia upojnej nocy z wybraną osobą.

Wyszedłem na korytarz i już miałem przeczytać otrzymaną wiadomość, gdy ujrzałem...

Siedziała naprzeciw drzwi, sądząc po jej pozycji i mimice twarzy, około piętnastu minut. Jej jasne, mleczne włosy opadały na twarz tak samo jak wtedy...

Zrozumiałem w jednej chwili, że to ona wysłała wiadomość tekstową, aby wywabić mnie z sali lekcyjnej.

Uczniowie wychodzili, a my patrzeliśmy na siebie, nie zwracając na nic uwagi.

— Cześć Paweł... — szepnęła spuszczaając wzrok. Umiała doskonale udawać zmieszanie. Niemniej jednak nie chciałem być niegrzeczny i również spuściłem lekko głowę, w geście „niby-pojednania”.

— Kiedy wyszłaś z „lodówki”? — spytałem, pozując na zaciekawionego.

— Przedwczoraj — odparła z miną, jakby jej słowa miały kolosalne znaczenie na skalę co najmniej kilku pokoleń. — Pragnę zacząć nowe życie...

Byłem niemal pewien, że doda: „bez ciebie”. Myliłem się jednak.

— ...na Ziemi. Przepraszam cię za wszystko.

Rzekłszy te słowa zrobiła minę, którą zwykle określałem mianem „trzecia, wariant b” i ruszyła w głąb jasnego korytarza.

Najkrótsza droga do mojego mieszkania wiodła w tą samą stronę. Oczekałem moment, by Sarah zniknęła z mojego pola widzenia i dopiero po tym udałem się na spoczynek.

Miałem kilkanaście powodów by nienawidzić jej. To spotkanie udowodniło mi jednak, iż żaden z nich nie był dostateczny. Ta drobna, jasnowłosa Angielka miała coś w sobie.

Moje wspomnienia ożyły. Ileż to lat minęło od naszego rozstania... W sumie to trzydzieści, chronologicznie rzecz biorąc. Jednak tak naprawdę, dla mnie były to niecałe dwa lata.

Ostatnio myślałem o niej coraz rzadziej, jednak każdego wieczoru, tuż przed zaśnięciem wracały do mnie wspomnienia.

Sarah była moją pierwszą kobietą. Pierwszą i jedyną...

Ucieszyłem się, że Helmut miał dzisiaj więcej pracy. Dzięki temu miałem gwarancję, że dzisiejszy wieczór spędzę tak jak zaplanowałem, czyli sam.

Zamiast obiadu wyciągnąłem z lodówki piwo. Gdy wypilem pierwszy łyk, przypomniało mi się, że nie przeczytałem jeszcze wiadomości tekstowej, którą wysłała mi moja eks-towarzyszka życia.

„W imieniu rady naukowców zawiadamiam, że został wybrany Pan członkiem komisji, która jako pierwsza wyląduje na Ziemi w celu zbadania warunków życiowo-biologicznych. Proszę się jutro stawić w strefie 27.4 w sali 155.”

Od kilkuset lat nie byłem tak zaskoczony. Zwłaszcza, że pod tekstem, widniał podpis samej pani prezydent.

4

Aż śmiać mi się chciało z tego, że mogłem być taki naiwny. Początkowo bowiem wydawało mi się, że wybrano mnie do komisji LSSK ze względu na unikalne zdolności i kwalifikacje. Dopiero po drugiej z rzędu nieprzespanej nocy, którą spędziłem na wypełnianiu jakichś idiotycznych formularzy zrozumiałem całą prawdę.

Wybrano mnie abym odwalił całą mokrą robotę „ekipie uczonych”, którzy byli tak mądrzy, że nie potrafili nawet opracować szacunkowego planu badań. Pocieszała mnie jedynie myśl, że nie tylko ja miałem tak „dobrze”. Prócz ekipy rządzącej (o średniej wieku biologicznego oscylującej w obrębie pięćdziesiątki) była ze mną jeszcze młoda, dwudziestoparoletnia dziewczyna imponująca mi wyglądem i stylem bycia. Trzymałem jednak do niej stosunkowo spory dystans, albowiem nie mam zwyczaju romansowania z mężatkami.

Komisja, do której należałem składała się (włącznie ze mną) z siedmiu osób. Być może jestem subiektywny, ale jedynym człowiekiem naprawdę godnym zaufania wydał mi się czterdziestoparoletni pilot-mechanik – Ben. Był bardzo skryty i zdystansowany, ale udało mi się zaskarbić jego zaufanie. Cenilem w nim przede wszystkim łagodność i życzliwość oraz fakt, że był z pochodzenia Polakiem.

Pod kontrolą Bena wszyscy odbywaliśmy przeszkolenie w zakresie pilotażu wahadłowca. Współ z „instruktorem” i Carolin (tak miała na imię moja młoda współpracowniczka) nabijaliśmy się z powietrznych „wyczynów” naszego kierownika – Rogelio, który pilotując symulator, co chwila roztrzaskiwał się o skały albo spalał w atmosferze.

Tak nawiasem mówiąc, to nasz szef wyglądał na kawał drania. Jego spojrzenie dawało do zrozumienia, że nie patrzy, lecz nieustannie kontroluje. Był profesorem biologii (czy mikrobiologii, grzyb go tam wie) i wydawało mu się, że wszystko potrafi zrobić najlepiej. Na komputerze wystukiwał najwyżej sześćdziesiąt znaków na minutę, a robił przy tym minę jakby to był to wyczyn olimpijski. Poza tym na liście niezbędnych rzeczy do zabrania na Ziemię umieścił tyle aparatury (tłumacząc, że to same niezbędne urządzenia), że Ben poważnie zastanawiał się, czy *trzydziestka piątka*, którą zamierzaliśmy lecieć, nie będzie miała problemów ze sterownością.

Jak się później zorientowałem status Bena, podobnie jak mój i Karolin wynosił „1”, co było absolutnym minimum. Oznaczało to, że w komisji LSSK mieliśmy uprawnienia niewiele przewyższające przeciętny stojak na monitor.

Członkami zespołu o statusie 2 (czyli wyższym od naszego) byli kolejno: Elvira (chłodna i surowa lekarka, z twarzy może nieciekawa, ale bardzo zgrabna jak na swoje trzydzieści sześć lat), Alan (ciemnoskóry, wiecznie uśmiechnięty chemik i mineralog, który w najmniej oczekiwanych momentach poważniał i wybuchał gniewem) oraz Chris – młody ekolog, który najwyraźniej

dostał od pani prezydent tajne zadanie, przeszkadzania i wnerwiania całego zespołu.

Tak na marginesie, to nasz podział grupy był „interesujący”, tzn. trzy osoby podwładne i czterech zwierzchników. Idealnie! Przypominało mi to z historii Polski XX wiek i tzw. Bezrobocie ukryte odległych czasów PRL`u. Także i struktura płci była rozłożona w podobnie „równomierny” sposób. Pięciu facetów i dwie kobiety. Aż dziw, iż pani prezydent zgodziła się na taki skład.

Przez ostatnie dwa tygodnie przed lądowaniem strasznie się napracowałem. W zasadzie to jeszcze nigdy w życiu nie miałem tyle pracy. Mogłem wprawdzie poprosić o zwolnienie tempa, ale nie chciałem narażać się Rogeliemu. Przecież nie chciałem, aby zamiast mnie zabrano kogoś innego. Tyle nasłuchiwałem się o Ziemi, że chciałem zobaczyć ją na własne oczy jak najszybciej i obojętnie jakim kosztem.

5

Kiedy pozostały już tylko dwa dni do wejścia Nowej Europy na orbitę Ziemi (i co za tym stoi, lądowania naszej *trzydziestki piątki*), a ja miałem za sobą tysiące wypełnionych formularzy i napisanych raportów, postanowiłem zorganizować coś w stylu hucznego pożegnania (choć huczne, to wyraz jak najbardziej w tym miejscu przesadzony, bowiem zaprosiłem tylko garstkę osób).

Przygotowałem wszystko jak należy – tzn. zaopatrzyłem się w alkohol oraz niewielkie i łatwoodgrzewalne wytwory jedzeniopodobne. Poza tym posprzątałem mieszkanie na błysk (zrobiłem to tak dokładnie jak miała to zwyczaj czynić Sarah, kiedy jeszcze mieszkaliśmy razem). Potem usiadłem wygodnie, otworzyłem sobie butelkę piwa i czekałem.

Pierwszy oczywiście przyszedł Helmut i jak się można było tego domyśleć, zajął dobrą strategicznie pozycję w pobliżu kuchni. Miał stamtąd ułatwiony dostęp do lodówki, w której chłodziło się piwko. Tuż po moim kumplu przyszło zaprzyjaźnione małżeństwo ze szkoły (tzn. mojej pracy). Sądząc po ich przesadnie grzecznym zachowaniu i sztucznych uśmiechach, odniosłem wrażenie, że przyszli do mnie raczej z obowiązku i grzeczności. Nie znali nikogo prócz mnie, dlatego też byłem niemal pewien, że będą się źle bawili.

Próbowałem jakoś „rozkręcić” towarzystwo, opowiadając całkiem świeże dowcipy i maskując przy tym zmieszanie spowodowane nieobecnością reszty gości. Na szczęście kwadrans po ustalonej godzinie przyszła najbardziej przeze mnie oczekiwana osoba. Był nią mój nowy znajomy, pilot-mechanik – Ben. Z góry wiedziałem, że to impreza nie dla niego (dlatego tak bardzo obawiałem się, że nie przyjdzie), ale z drugiej strony chciałem wykorzystać ostatnią okazję, aby bliżej go poznać. Bądź co bądź Ben był jedyną osobą, której ufałem z całej komisji LSSK.

No i jakoś rozkręciło się. Goście zaczęli rozmawiać, wznosić toasty (głównie za moją wyprawę) i nakładać sobie jedzenie. Nawet Ben, który bądź co bądź był chronologicznie starszy od reszty towarzystwa o dobre kilkadziesiąt lat, aktywnie włączał się do rozmów. Kiedy moje obawy, że spotkanie przeobrazi się w stypę niemal całkowicie się rozwiały, usłyszałem dzwonek. Goście najwyraźniej wyczytali z mojej miny nie tylko fakt, że wiem kto to może być, ale i to, iż nie jestem z tego zadowolony, ponieważ momentalnie umilkli.

Otworzyłem drzwi, a moje obawy nie tylko się potwierdziły, ale i uwypukliły. Powodem tego była stojąca w drzwiach Sarah, wtulona w ramię mojego kolegi ze studiów i pracy – Edwarda. Była ubrana w elegancką popielatą garsonkę i miała tak śliczny makijaż, iż przez moment niemal

zapomniałbym o utrzymaniu swojej lekko uśmiechniętej miny i otworzyłbym z zachwytu usta.

— Wybacz spóźnienie — wyszeptała swoim miłym głosem (zwykle zwracała się do mnie takim tonem, gdy czegoś potrzebowała) — ale nie chcieliśmy przyjść z pustymi rękoma. — Mówiąc te słowa wręczyła mi butelkę szampana.

Podziękowałem i poprosiłem gości do środka. Zaczynało się robić ciekawie. W sumie najbardziej nie mogłem sobie wybaczyć tego, że zaprosiłem Sarę. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że może skorzystać z tego zaproszenia, a tym bardziej kogoś przyprowadzić. Nie byłoby w gruncie rzeczy w tym nic złego, gdyby nie fakt, iż elegancko ubrany towarzysz mojej eksdziewczyny był moim kolegą ze studiów i co za tym stoi specjalistą kontaktów i mowy niewerbalnej.

Nowoprzybyli goście usiedli, a ja wówczas uświadomiłem kolejną ciekawostkę. Zrozumiałem bowiem, iż tamtego, pamiętnego dnia, kiedy zostałem wybrany do komisji LSSK, Sarah nie przyszła do mnie, tylko do Edwarda, najwyraźniej myląc jego godziny pracy z moimi. To wyjaśniało zmieszanie (które nieopatrznie wziąłem za udawane) oraz jej szybkie odejście.

Edwarda nie znałem za dobrze. Na studiach widywaliśmy się rzadko, on miał swoich znajomych – ja swoich. Naukę skończył o rok później ode mnie. Po redukcji wydziału analizy sygnałów zajął się handlem płytami HD-DVD, ale nie szło mu najlepiej. W końcu, tak jak ja wylądował w szkole. Tam dopiero lepiej się poznaliśmy, ale w dalszym ciągu trzymaliśmy wobec siebie dystans. Jest taka, nie udowodniona przez nikogo, ale prawdziwa zasada, że jeśli dwóch, takich jak my, „facetów od kontaktów” przebywa razem dostatecznie długo, to w końcu jeden drugiemu wbije w plecy siekierę. Oboje doskonale o tym wiedzieliśmy i dlatego zawsze staraliśmy się ograniczać spotkania do minimum, a wymianę zdań spłycałymi najczęściej do chłodnego „cześć”.

Ogarnąłem wzrokiem gości zebranych w głównym pokoju. Stwarzali wrażenie dobrze się bawiących i całkowicie pochłoniętych rozmową. Tak było jednak tylko na pozór, albowiem dokładniej przyglądając się im dostrzegałem mimowolne gesty zdradzające ich samopoczucie. Sarah pod wpływem mojego spojrzenia uciekała wzrokiem na ściany i od czasu do czasu nerwowo ogarniała włosy za uszami, okazując nieświadomie, że czuje się zmieszana. Tylko jej towarzysz – Edward uśmiechał się do mnie życzliwie i przyjaźnie (gdybym nie wiedział jaki kierunek studiów skończył dodałbym jeszcze, że szczerze). Był w tym tak dobry, że nawet jego oczy tkwiły w uśmiechu, a ruchy dłoni (np. przy nalewaniu szampana) były niemal naturalnie płynne. Ja oczywiście nie chciałem być gorszy i rewanżowałem się równą „naturalnością”.

Zaproszone małżeństwo Weambley’ów sprawiało wrażenie, iż za moment oświadczy, że zapomniało wyłączyć żelazka, wstanie i po prostu wyjdzie. W sumie zauważyłem, że byli lekko zszokowani zachowaniem Helmuta, który wypijał właśnie piątą butelkę piwa. Ogólnie mówiąc lubiłem ich. Byli zawsze dla mnie mili i życzliwi. Nie podobał mi się tylko fakt, iż oboje byli biologami, co w ostatnich dniach kojarzyło mi się tylko i wyłącznie z moim nowym przełożonym – Rogeliem.

Ben siedział jakby na uboczu towarzystwa. Jego wtrącenia do rozmowy były rzadkie i zwięzłe. Czuł się nieswojo, o czym świadczyły złożone ręce, którymi podpierał głowę. Przynajmniej nie udawał.

Gdy wyczerpały się tematy politycznie (do których należała głównie krytyka pani prezydent) oraz wszystkie dowcipy z serii „Dlaczego Nowa Europa jest lepsza od Spacebreakera”, a zawartość mojej lodówki uległa znacznemu opustoszeniu, towarzystwo podzieliło się na pary tworząc mini-

strefy intymne. Helmut (na którego tak jakoś nieparzyście wypadło) przyspieszył tempo picia. Jejku, ileż on potrafił wlać w siebie alkoholu! Gdybym znał kogoś, kto potrafi wypić jedną trzecią tego co on, powiedziałbym o nim, iż ma mocną głowę.

Weambley'owie kilka razy pytali go, które piwo pije. Za każdym razem otrzymywali jednoznaczną odpowiedź: „pierwsze”. Raz nawet spytany dodał, że jest statystykiem i nikt nie potrafi liczyć lepiej od niego.

Przysiadłem się do Bena. Zaczęliśmy rozmowę łagodnie, wspominając swoich rodziców i ich odwagę wyruszenia w drogę, z której się nie wraca. Pilot-mechanik mówił łagodnie, starannie dobierając słowa. Wtrącał nawet niektóre idiomy po polsku. Bez zahamowań otworzyłem się przed nim i naświetliłem mu postać Sary w moim życiu. Pod wpływem spojrzeń mojego rozmówcy w kierunku „omawianej” kobiety, Edward objął ją przytulił, jakby dając do zrozumienia wszystkim „ona jest ze mną!”. W ramach rewanzu spojrzałem na niego niby ze zdziwieniem i po chwili wzruszyłem delikatnie ramionami (jak sądzę tylko on to zauważył), dając do zrozumienia, że Sarah nic mnie już nie obchodzi.

Gdy wróciłem do rozmowy Ben wyznał mi, że świadomość lądowania na Ziemi fascynuje go i zarazem przeraża. To ostatnie strasznie mnie zaskoczyło, albowiem uważałem go zawsze za człowieka, który niczego się nie boi. Widocznie tak jak ja, swoje lęki skrywał głęboko pod maską obojętności.

6

W ostatnią noc przed odlotem miałem koszmarne sen. Widziałem w nim komisję LSSK, panicznie biegającą po pokładzie *trzydziestki piątki*. Podszedłem do przerażonej Carolin i spytałem o co chodzi, ale ona nie słyszała mnie. Spostrzegłem nienaturalną biel w jej oczach. Po chwili zrozumiałem, że są pozbawione źrenic. Wzdrygnąłem się i wówczas usłyszałem głos Bena, przykładającego sobie do skroni miotacz plazmy.

— Rogelio nas zdradził, on nie jest człowiekiem — wykrzyknął obłąkanym głosem, po czym usłyszałem suchy trzask i w miejscu gdzie powinna znajdować się jego głowa, ujrzałem małą, zwęgloną kulkę.

Serce załomotało mi szybciej, wzdrygnąłem się, po czym zacząłem odzyskiwać świadomość. Usłyszałem jeszcze dobiegający niewiadomo skąd chichot pani prezydent i otworzyłem oczy. Gdy otrząsnąłem się mimowolnie spojrzałem na multikomunikator, ale nie ujrzałem w nim wizerunku rozbawionej zwierzchniczki Nowej Europy.

Przetarłem z ulgą spocone czoło. Włączyłem ochrypłym i niemal bezdźwięcznym głosem światło. Spojrzałem na multikomunikator – dochodziła trzecia. Byłem niemal pewien, że nie zasnę już tej nocy. Nieco bardziej ludzkim głosem przyciemniłem oświetlenie i zacząłem zastanawiać się nad przesłaniem mojego snu. To dziwne, bowiem uczyłem się analizy marzeń sennych i wiedziałem o nich naprawdę sporo, lecz mimo to nigdy do końca nie wierzyłem, iż ich nadawcą jest tylko i wyłącznie mózg śniącego. Innymi słowy moja wizja nie wróżyła nic dobrego. Czy w związku z tym powinienem zrezygnować? Nie miałem wyboru, wszystko było już zapięte na ostatni guzik. Gdybym dzisiaj o ósmej rano nie stawił się przy hangarze, najprawdopodobniej start odłożonoby o kilka dni. Oczywiście szybko znalazłoby kogoś na moje miejsce, a media roztrąbiłyby że to właśnie ja jestem przyczyną opóźnień i zostałbym zlinczowany przez wszystkich mieszkańców Nowej Europy. Innymi słowy nie miałem wyboru...

Gdy człowiek ma dobry nastrój najczęściej nachodzą go barwne wspomnienia. W moim przypadku było dokładnie odwrotnie.

Miałem około dwunastu lat biologicznych (chronologicznych tyle samo, albowiem nie można hibernować się przed ukończeniem osiemnastki), gdy

przyśnił mi się podobny koszmar. Wówczas jednak katastrofa przybrała szerszy wymiar, albowiem dotyczyła całej Nowej Europy, która w moim śnie niefortunnie zderzyła się z jakimś meteorem. Wizja, jak na wyobrażenia nastolatka, była nad wyraz realna. Po tym jak poczułem wstrząs i usłyszałem świst rozhermetyzowywanych pomieszczeń, ujrzałem ludzi biegnących w panice, podobnie jak w dzisiejszym koszmarze. Czułem się wówczas taki bezsilny i tak się bałem.

Początkowo wziąłem dzisiejszy sen za zły znak. Jednak doszedłem do wniosku, że skoro w efekcie kosmaru sprzed lat nie wydarzyło się nic złego, to i tym razem miałem do czynienia z niewinnym, niczego nie zwiastującym snem. Ta myśl uspokoiła mnie nieco, ale mimo wszystko nie udało mi się już tej nocy zmrużyć oczu.

ROZDZIAŁ DRUGI

1

Zejsście z orbity w praktyce okazało się dużo mniej przyjemnie niż podobna procedura na pokładzie symulatora. Najbardziej przyczyniły się do tego olbrzymie przeciążenia, które spowodowały że od razu zrobiło mi się niedobrze i rozbolała mnie głowa. Poza tym pasy bezpieczeństwa były tak ciasne, iż myślałem, że się uduszę. Na szczęście *trzydziestka piątka* sprawowała się bez zarzutów i po półtoragodzinnym „rajdzie piekieł” przystąpiła do procedury lądowania. Najpierw rozwinęła spadochron, zwalniając „zgubnie”, po czym jakby było za mało hałasu, włączyła dysze hamujące. Jedyną rzeczą, jaka mnie uspokajała był widok siedzącego przy sterach Bena, który czuwał nad poprawnością lotu. Gdyby cokolwiek poszło nie tak, odłączyłby autopilota i „wziął sprawy w swoje ręce”. Na szczęście taka konieczność nie zaistniała.

Gdy wahadłowiec osiadł na Ziemi, poczułem lekki wstrząs. Byłem już niemal zupełnie spokojny i od razu nabrałem tak wielkiej chęci, że chciałem na poczekaniu otworzyć właz i wyjść na zewnątrz.. Jednak mój zapał szybko ostudził Rogelio, który zaczął wykonywać jakieś bezsensowne badania ciśnienia i promieniowania, twierdząc, iż nikt nie może opuścić *trzydziestki piątki* przed ich ukończeniem. Później dla odmiany mierzył jeszcze temperaturę i wilgotność powietrza (przez moment miałem wrażenie, że sprawdzi jeszcze zachmurzenie i ustali pogodę na jutro). W końcu szef, zanotował coś swoim żółtym tempem w laptopie, po czym jakby od niechcenia, zezwolił na wyjście. Kazał oczywiście najpierw założyć niewygodne skafandry kosmiczne. Postanowiłem, że pozbędę się swojego przy pierwszej możliwej okazji.

Po wklepaniu kodu otwierającego (projektantom *trzydziestek trójek* chyba się nudziło; aż dziwne, że nie zamieścili cyfrowego zamku w drzwiach od ubikacji) główny właz otworzył się ze świstem.

Wyszedłem jako trzeci. Powoli i ostrożnie (z racji niewygodnego kombinezonu) zszedłem po szczeblach wysuniętej drabinki, aż w końcu dotknąłem betonowej powierzchni. Szczerze mówiąc nieco inaczej wyobrażałem sobie pierwszy kontakt z Niebieską Planetą. Byłem przekonany, że zobaczę słońce, rozdzierające swym blaskiem błękit nieba. Tymczasem Ziemia przywitała mnie mrokiem nocy i jakby tego było jeszcze za mało – ulewnym deszczem. Byłem gotów założyć się, że Rogelio wiedział o tym wcześniej, jednak z jego twarzy, skrytej pod hełmem skafandra niewiele mogłem wyczytać. A’propos kombinezonu, gdy zobaczyłem panującą ulewę, zacząłem doceniać fakt, że mam go na sobie.

Szliśmy w szóstkę (Ben musiał zostać w *trzydziestce piątce*), oświetlając drogę znajdującymi się w standardowym wyposażeniu latarkami. Już na pierwszy rzut oka zauważyłem, że przynajmniej od kilkunastu lat nie wylądował tutaj żaden pojazd. Świadczyły o tym przewrócone latarnie halogenowe oraz spękany beton, z którego przebijała trawa. Udaliśmy się w kierunku stojącej kilkaset metrów od naszego lądownika wieży kontrolnej. Wspomniany budynek wyglądał na opuszczony. Przemawiały za tym popękane mury i skruszony, tkwiący w bezruchu radar. Szczerze mówiąc nie zdziwiłbym się, znajdując we wnętrzu wieży szczerzącego zęby kościotrupa.

Ucieszyłem się, widząc że drzwi, wykonane z jakiegoś solidnego stopu były zamknięte. Jednak Rogelio szybko przytłumił moją nietrwałą radość, nakazując użycie wypalarki plazmowej. Posłano po nią oczywiście mnie.

— Nieźle — pomyślałem sobie i z obrażoną miną, skrytą pod hełmem skafandra udałem się w kierunku *trzydziestki piątki*. Pocieszała mnie jedynie idea, że zdam relację Benowi, z „genialnego” pomysłu naszego kierownika. Gdy szedłem, niebo pojaśniało bielą i niemal w tej samej chwili usłyszałem głośny huk. Był tak potężny, że mimo hermetycznego skafandra, który nieco stłumił głośność, serce omal nie wyskoczyło mi z klatki piersiowej. Wiele razy w filmach widziałem burzę, ale czegoś takiego nie śniłem nawet w najgorszych koszmarach. Tradycyjnie wziąłem całe zdarzenie za zły znak.

Gdy nieco ochłonałem przyszła mi do głowy myśl, że na Ziemi, panuje teraz wieczna ciemność połączona z niekończącą się burzą. Odpędziłem jednak od siebie ten pomysł. Ciemność to brak słońca, a przecież od wielu lat widziałem naszą gwiazdę przez wizjery Nowej Europy. Lekko uspokojony wszedłem do trzydziestki piątki (hm, nie ma nic gorszego, niż wchodzenie w skafandrze po drabinie). Po krótkiej rozmowie z Benem, wziąłem nie grzeszącą małymi gabarytami wypalarkę i zszedłem z nią na dół. Ledwie zdjąłem nogę z ostatniego szczebla, usłyszałem dźwięk wezwania w wewnętrznym komunikatorze. Gdy potwierdziłem odbiór, naciskając jeden z przycisków poniżej lewego ramienia, usłyszałem stanowczy i lekko wystraszony głos Elviry.

— Paweł, mamy kłopoty. Nie ujawniaj swojej obecności do odwołania!

Pod wpływem usłyszanych słów wyostrzyły mi się zmysły. Od razu dostrzegłem zbliżającą się do pięcioosobowej grupy parę jasnych punktów. Mielśmy do czynienia najwyraźniej z pojazdem, albowiem światła, które dostrzegłem były skierowane na powierzchnię lądowiska. Zostawiłem wypalarkę i postanowiłem (dla własnego bezpieczeństwa) jak najszybciej wykonać rozkaz. W praktyce okazało to się rzeczą niezwykle trudną, albowiem znajdowałem się na otwartym terenie. Pierwsze co uczyniłem, to okrążyłem *trzydziestkę piątkę* w taki sposób, że znalazłem się po przeciwnej stronie niż zbliżający się pojazd. Ostatnią rzeczą, którą zauważyłem, chowając się za lądownicą była reszta komisji LSSK, wyłączająca latarki i rozbiegająca się we wszystkie możliwe strony. Oddaliłem się od wahadłowca i schowałem za stojącym kilkaset metrów dalej, niewielkim budynkiem. Pocieszałem się myślą, że jeśli coś poszłoby nie tak, „gospodarze” zaatakują mnie i Bena w ostatniej kolejności. Chyba jeszcze nigdy poziom adrenaliny nie podniósł mi się tak wysoko.

Połączyłem się z siedzącym w *trzydziestce piątce* Benem i symulując opanowanie spytałem co widzi. Dowiedziałem się jednak tylko tyle, że samochodopodobny pojazd zatrzymał się w okolicach wieży kontrolnej i wysiadło z niego dwoje ludzi. Zanim zdążyłem o cokolwiek zapytać, usłyszałem wezwanie Elviry.

— Alarm odwołany. Mamy tutaj dwójkę nieuzbrojonych mężczyzn. Przyjdź szybko, będziesz potrzebny do konwersacji.

Odetchnąłem z ulgą i ruszyłem w kierunku tajemniczego pojazdu. Czułem dreszcz emocji i jednocześnie niesamowitą ciekawość. Za moment miał nastąpić długo oczekiwany kontakt cywilizacji, które prawie osiemset lat temu rozdzieliły swoje szlaki. Cieszyłem się, że z racji swojej funkcji, miałem pewnego rodzaju monopol na pierwszą rozmowę. Ominąłem obojętnie porzuconą wypalarkę, po czym zwołałem kroku. Chciałem nadać mojemu „wejściu” charakter uroczysty i jednocześnie ukryć przed pozostałymi członkami komisji LSSK jak bardzo zależy mi na pierwszym kontakcie.

Zbliżając się, dostrzegłem coraz wyraźniejsze sylwetki dwójki szczupłych mężczyzn, otoczonych przez członków komisji, którzy w grubych skafandrach wyglądali trochę jak „nie z tej bajki”. Rogelio próbował pokazać coś przy pomocy gestów, które jak na mój gust nie były w stanie przynieść efektu,

który byłby chociaż lekko zbliżony do oczekiwanego. Stałem między obiema stronami „dialogu”. Poczułem się trochę niczym rozjemca. Silne reflektory pojazdu, powodowały, że nie widziałem twarzy Ziemian, a jedynie kontury ich głów.

Wykonałem symbol „I come in peace”, wyciągając prawą dłoń, po czym uczyniłem małe kółko, wskazując na siebie oraz dwóch przemokniętych do suchej nitki rozmówców. Później szybko pokazałem na stojący obok nich pojazd. Zrozumieli od razu, w efekcie czego po chwili siedzieliśmy w trójkę we wnętrzu dziwnego, samochodu, który tak na dobrą sprawę bardziej kojarzył mi się z samolotem. Pierwszym co uczyniłem siadając w wygodnym fotelu, było ściągnięcie hełmu. Wiedziałem, że Rogelio za to da mi półgodzinny wykład o przemieszczaniu się wirusów chorobotwórczych, ale zależało mi na bezpośrednim kontakcie wzrokowym. Bałem się trochę, że jeszcze będą chcieli mnie pocałować na powitanie, ale na szczęście nie wykazali takiej inicjatywy.

Mężczyźni wyglądali na jakieś trzydzieści lat. Mieli na sobie ciemne, obcisłe stroje. Materiał, z którego były zrobione przypominał gąbkę, lecz mimo to, absolutnie nie absorbował wody. W ogolonych twarzach Ziemian, malowało się zdziwienie i lekki strach. Koloru włosów nie mogłem rozpoznać, bowiem pod wpływem deszczu przybrały ciemną barwę.

— Rozumiecie mnie? — spytałem z czystym, brytyjskim akcentem.

Gdy oboje przytaknęli odetchnąłem z ulgą. Zapowiadało się, że za bardzo nie natrudzę się w roli tłumacza w komisji LSSK.

— Czy-przycie-inej-pnety? — spytał nagle jeden z nich.

W pierwszej chwili zupełnie mnie zamurowało. Na szczęście miałem na tyle wyrobione gesty dyplomatyczne, iż szybko i instynktownie uśmiechnąłem się i dopiero później zacząłem zastanawiać o co chodzi.

Angielski był urzędowym językiem na pokładzie Nowej Europy. Słyszałem i uczyłem się wielu jego odmian. Wydawało mi się, że nic w tej dziedzinie nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Spodziewałem się co najwyżej lekkich zmian akcentowych, które zaszły przez te wszystkie lata, ale nie czegoś takiego!

Na szczęście mimo wszelkich skrótów i uproszczeń był to bądź co bądź język, który przy odrobinie wyobraźni był całkowicie zrozumiały. A o to przecież chodziło...

Jak wywnioskowałem z modernistyczno-angielskiej wypowiedzi jednego z Ziemian, pytał czy przybywamy z innej planety. Nie wykazał się przy tym zbyt dużą bystrością, albowiem gdyby tylko spojrzał na widniejące na moim lewym ramieniu skafandra, żółte gwiazdki na niebieskim tle – symbol Zjednoczonej Europy, zrozumiałby jak zbyteczne jest jego pytanie.

— Nie, jesteśmy Europejczykami — odparłem, wskazując gestem okolice swego lewego ramienia. Zrozumiał od razu.

— Wy dluo byście w kossie? — spytał dla odmiany ten drugi. Powoli zaczynałem „chwycić” ich język. Po dokładniejszym wsłuchaniu się w wyrazy rozumiałem, że w gruncie rzeczy nie różnił się aż tak bardzo jak zdawało mi się na początku. Każdy wyraz na dobrą sprawę brzmiał podobnie, z tą tylko różnicą, iż był wymawiany jak gdyby trzy razy szybciej i tak jakoś skrótowo.

Uśmiechnąłem się i odparłem: „Prawie osiemset lat”. Najwyraźniej oboje spodziewali się odpowiedzi typu „pięć” czy „siedem”, albowiem ze zdziwieniem popatrzyli na siebie. Doszli pewnie do wniosku, że się przesłyszeli, albo nie zrozumieli mnie, ponieważ po chwili zadali pytanie:

— Osiemset? — Tym razem rozumiałem dokładnie. Poczułem, że język, który przed momentem był dla mnie tak bardzo obcy, jest prosty do tego stopnia, że jeszcze trochę i będę nim władał zupełnie swobodnie.

— Tak, osiemset — powtórzyłem z twierdzącym akcentem, naśladowując ich mowę.

Sądząc po twarzy tego, który mówił pierwszy (po dokładniejszych oględzinach starszemu o kilka lat od swojego kolegi) wywarłem na nim wrażenie. Lubię jak ludzie doceniają moją zdolność szybkiego uczenia się. Jednocześnie czułem, że wypowiedziane przeze mnie „osiemset” podziałało na niego, niczym magiczna liczba. Po chwili, jakby nie dowierzając moim słowom, wskazując na stojącą w pobliżu *trzydziestkę piątkę* zapytał:

— Podróżowaliście takim małym pojazdem?

Uśmiechnąłem się (już przyswajanie słów zmodernizowanego języka nie przysparzało mi żadnych kłopotów) i zaprzeczyłem delikatnym gestem głowy.

— To tylko wahadłowiec. Główna jednostka krąży na orbicie okołoziemskiej — powiedziałem z trudem dobierając słowa. Starąłem się, użyć języka moich rozmówców i nieskromnie mówiąc... byłem z siebie dumny.

— Na jego pokładzie jest dwa tysiące osób!

Wówczas i on się uśmiechnął, po raz pierwszy od początku naszej rozmowy.

— A jednak stało się! — powiedział, a w jego głosie wyczułem podniecenie. — Nowa Europa wróciła!

Rozłożył ręce w geście powitania i dodał:

— Witamy na Ziemi!

2

Podróż w ósemkę pojazdem, który jak na moje odczucie był zaprojektowany dla sześciu osób, nie należała do przyjemnych. Głównie przyczyniły się do tego skafandry kosmiczne, które zwiększały naszą objętość niemal dwukrotnie.

Rogelio na moje samowolne ściągnięcie hełmu nawet nie zareagował. Mało tego – po wejściu do pojazdu i odczytaniu wartości na jednym z dwudziestu aparacików, które niósł ze sobą zezwolił całej grupie na uczynienie tego co ja. Pomyślałem, że jeszcze trochę i zacznę tolerować swojego zwierzchnika.

Jedyną zaletą przeładowania naszego środka transportu był fakt, że Carolin siedziała mi na kolanach. Mimo iż przez gruby kombinezon nie czułem dotyku jej ciała, świadomość, że jestem tak blisko seksownej kobiety w pewien sposób sprawiała mi przyjemność.

Samochodopodobny pojazd, jak na ciemne i nierówne bezdroża, którymi podążaliśmy, poruszał się wyjątkowo szybko. Nie wiem czy poprawnie odczułem prędkość, ale byłbym gotów się założyć, iż pędziliśmy przeszło sto kilometrów na godzinę. Rzęsisty deszcz, uderzał dużymi kroplami w przednią szybę, skąd był przy pomocy bliżej mi nie znanego, sprzężonego gazu błyskawicznie usuwany.

Gdy znużyło mnie patrzenie na pogrążone w mroku okolice (jak na złość do tego wszystkiego szyby były przyciemniane, w efekcie czego jedynymi elementami jakie widziałem były drzewa i większe krzewy) zająłem się wpatrywaniem w kolorowy pulpit pojazdu. Próbowałem też porozmawiać z kierowcą i jego starszym towarzyszem, ale Rogelio stanowczo mi zabronił. Tłumaczył, że powinniśmy pierwszą rozmowę przeprowadzić z osobą odpowiednio do tego przygotowaną, zajmującą wysokie stanowisko (Po tym stwierdzeniu pomyślałem, że chyba nieprędko narodzi się moja tolerancja do jego osoby).

Kiedy podróż zaczęła robić się długa i męcząca, a ja uświadomiłem sobie, iż trzymanie na kolanach Carolin tak właściwie to nie jest dla mnie żadną przyjemnością, starszy z nowopoznanych „tubylców” wskazał gestem jasno oświetlony punkt przed nami i powiedział:

— Zbliżamy się do miasteczka Greensloty.

Oczywiście, najprawdopodobniej nikt prócz mnie nie zrozumiał tego (albo też wziął całą sentencję za nazwę własną), ale nawet mi na myśl nie przyszło abym miał się wysilać i tłumaczyć.

Początkowo wskazane miejsce było dla mnie miniaturowym zbiorem światła. Jednak, gdy się do niego zbliżyliśmy, określiłem je w myślach mianem prądawnej oazy. Posłużyłem się pojęciem „oaza”, bowiem był to drobny element cywilizacji na kompletnym bezludziu. Stwierdzenia „prądawna” użyłem natomiast dlatego, że budynki w Greensloty niewiele różniły się od tych, które znałem z filmów sprzed ośmiuset lat.

W każdym razie – jak to mówią: na bezrybiu i rak ryba – byłem w takim stanie, że nawet najbardziej kiepski kompleks zabudowań wydawał mi się arcydziełem architektonicznym (nie zapominajmy, że całe życie spędziłem w kosmosie).

Najbardziej podziałały na mnie kolorowe światła latarni oraz lamp podświetlających budynki, stwarzające niesamowity kontrast z mrokiem nocy. Gdy zaś zobaczyłem kolorowe neony reklamowe na ulicy, przez którą aktualnie przejeżdżaliśmy postanowiłem sobie, iż w tym miasteczku pragnę spędzić resztę życia.

Na ulicach dostrzegłem kilkunastu ludzi i parę pojazdów podobnych do tego, którym się poruszaliśmy. Wywnioskowałem, że tak mały ruch spowodowany jest najprawdopodobniej późną porą, w jakiej przybyliśmy do miasteczka. Mimo to, byłem oczarowany.

3

Muszę przyznać, iż nieco rozczarował mnie kompletny brak powitania ze strony mieszkańców Greensloty. Rogelio zapewne rozczarował się jeszcze bardziej, albowiem przed lądowaniem na Ziemi opowiadał nam swoją wizję wielkiego festynu powitalnego. W każdym razie nie było źle – zaprowadzono nas do dużego budynku i przydzielono dwuosobowe pokoje. Jak można się było tego domyśleć moja współlokatorką została Carolin. Stało się tak wcale nie za sprawą mojego (ani jej) „widzimisie” tylko dlatego, że taka była decyzja Elviry.

Pragnę przyznać, iż taki stan rzeczy bardziej krępował mnie niż bawił (oczywiście niczego nie dałem poznać po sobie). Carolin, jak już wielokrotnie wspominałem była kobietą niezwyklej urody. Na swoją łagodną i słodką twarz nakładała zawsze subtelny makijaż. Kolejną charakterystyczną cechą, którą u niej zaobserwowałem było straszliwie intrygujące mnie roztargnienie. Moja współlokatorka znała wprawdzie na pamięć całą układ okresowy pierwiastków, ale nigdy nie wiedziała gdzie położyła ostatnio multikomunikator. Taki brak przywiązywania wagi do drobnych spraw powodował, że aż „prosiło się” abym został czymś w rodzaju jej opiekuna i zastąpił obowiązki męża na czas rozłąki.

Jednak po wielu niełatwych przemyśleniach zrezygnowałem z tego pomysłu. Po pierwsze – zrobiłbym facetowi, którego prawie nie znam niezłe świństwo. Po drugie – nie wiedziałem tak do końca, czy moja roztargniona współpracowniczka w ogóle byłaby w stanie zdradzić (zarówno fizycznie jak i psychicznie) swojego małżonka. Po prostu nie znałem praw i zasad, na jakich opierał się ich związek.

4

Ucieszyłem się widząc, że pokój mojego zwierzchnika nie różni się standardem wyposażenia od mojego (tak, tak – gdy korzystało się z tandetnego prysznica, człowiek zaczynał tęsknić za Nową Europą).

Pierwsze co rzuciło mi się w oczy, to fakt, że jedno z dwóch łóżek było zaścielone. Z początku pomyślałem sobie, że Rogelio spędził z dzielącą pokój

Elvirą upojną noc. Prędko jednak odrzuciłem od siebie tą myśl – tłumacząc faktem, że kobiety zaraz jak tylko wstaną – pedantycznie ścielą łóżka. Poza tym nie sądziłem aby piła coś wczoraj wieczorem, a stosunek „na trzeźwo” z Rogeliiem kojarzył mi się mniej z przyjemnością, a bardziej z nekrofilia.

Szef nie spostrzegł, że w mojej głowie rodzą się jakieś wywody (zresztą nie dałem mu nawet szansy spostrzeżenia). Stanowczo nakazał mi usiąść (widocznie dosłownie wziął sobie do serca potraktowanie mnie „z góry”). Był w poplamionej pidżamie i na dodatek miał krzywo zapiętą bluzę.

— Słuchaj — rzekł tonem, jak gdyby za moment miał powiedzieć mi coś co tysiąckrotnie przerośnie mój intelekt — Za godzinę pójdę z Elvirą do zwierzchnika tego kompleksu.

— Rozumiem, z przyjemnością będę towarzyszył wam jako tłumacz. — odparłem pewny siebie i już miałem wyjść, gdy Rogelio zawrócił mnie wzrokiem.

— Nie po to cię tutaj wezwałem! O takie coś mogłem poprosić przez multikomunikator — powiedział, a mnie zaczynała coraz mniej podobać się ta rozmowa. Słuchałem więc z miną grzecznego ucznia, przytakując mniej więcej co dziesięć sekund. — Widzisz przecież, że tutaj jest coś nie tak. Widziałeś Cambridge? Kiedyś było tam nieco inaczej... Dawniej ludzie żyli w miastach, albo na wsi, a nie w takim czymś...

— No tak, zauważyłem, ale co do tego wszystkiego mam ja?

— To co za godzinę usłyszymy nie będzie mogło wyjść poza naszą trójkę. Cokolwiek to będzie — mówił starannie dobierając słowa. — Rozumiemy się?

Nie wiedziałem, czy mam być szczery, czy miły. Postawiłem więc na coś pomiędzy tym:

— Postaram się...

Mój zwierzchnik najwyraźniej nie miał siły na skomentowanie mojej wypowiedzi. Spojrzał tylko na mnie groźnym wzrokiem, znaczącym mniej więcej tyle co: „czekaj, ty się jeszcze doigrasz” i gestem dał mi do zrozumienia abym sobie poszedł.

Wychodząc omal nie uderzyłem szczęką o podłogę. Do pokoju bowiem weszła Elvira owinięta tylko ręcznikiem. W pierwszej chwili nie zauważyła mnie i... ściągnęła z siebie jedyne okrycie ciała. W jednej chwili nabrałem podziwu w stosunku co do jej ciała (jej biust prezentował się lepiej niż u niejednej nastolatki) i jednocześnie odrazy (zrozumiałem bowiem, iż z dwóch spostrzeżeń dotyczących zaścielonego łóżka – prawdziwe było to pierwsze). Ale cóż, ja byłem tylko pionkiem w tej grze... Udałem więc, że nic nie widzę i pospiesznie, ze spuszczoną głową ewakuowałem się...

5

Monumentalna sala, do której weszliśmy wywarła na mnie duże wrażenie. Sufit umieszczony na wysokości czterech metrów dla kogoś, kto całe życie spędził w Nowej Europie, był niemal cudem świata. Nawet dwójka moich zwierzchników, na ogół nie przywiązująca dużej wagi do otoczenia, była oczarowana.

Nie spostrzegliśmy nawet jak do pomieszczenia wszedł starszy mężczyzna. Jego ciemna, pomarszczona twarz zdradzała, że dawno już skończył sześćdziesiątkę. Mimo to, jego włosy zachowały ciemny, brązowy kolor, a ślady siwizny dawały się zauważyć tylko w niektórych miejscach. Był raczej wątłej budowy, w której (podobnie jak w łagodnym spojrzeniu) widziałem Bena.

— Witam — powiedział oficjalnie w mowie, którą od wczoraj zacząłem określać mianem „newenglish”.

Przywitaliśmy się z nim ciepło i życzliwie, dużymi uściskami (prócz Rogeliego, który ograniczył się do podania dłoni). Szczerze mówiąc czułem się nieco dziwnie. Była nas przecież (włącznie z gospodarzem) tylko czwórka, a zajmowaliśmy tak duże, niemal zupełnie puste pomieszczenie. Być może był to objaw jakiejś głęboko ukorzenionej w mojej psychice choroby, albo po prostu nie przywykłem do przebywania w pomieszczeniach, gdzie w tak rozrzutny sposób gospodarowano przestrzenią.

— Na imię mam Gorgelias i jestem w Greensloty kimś w rodzaju przywódcy. Z tego, co się orientuję nie było was na Ziemi 750 lat...

— Dokładniej mówiąc 776 — poprawiłem, po czym przetłumaczyłem całość Rogeliemu i... jego kochance.

— Jak się domyślam, nie natknęliście się na ślady obcej cywilizacji. Chyba byście od razu się pochwalili... — powiedział nasz gospodarz z ironicznym uśmiechem, na co ja zareagowałem smutnym przytaknięciem głowy.

Kiedy przetłumaczyłem to, Rogelio zaproponował abym pochwalił się znalezieniem nowego gatunku bakterii na odkrytej przez poprzednie pokolenie Nowej Europy planecie – Dreamblue. Powiedział to tonem, jakby było to wydarzenie, które odmienił o sto procent sposób myślenia Ziemiaków i w dodatku kazał mi powiedzieć to Gorgeliasowi.

Oczywiście powiedziałem gospodarzowi, że bardzo mi przykro, ale nasza wyprawa do udanych raczej nie należała. Popełniłem jednak błąd, bowiem mój zwierzchnik najwyraźniej domyślił się mej mistyfikacji (jak zauważyłem bardzo szybko się uczył i mimo trudności z wysławianiem, rozumiał naprawdę wiele). Spojrzał na mnie marszcząc czoło, ale nic nie powiedział.

— Musicie wiedzieć, że pod waszą nieobecność na Ziemi naprawdę wiele się zmieniło...

— Zdążyliśmy zauważyć — stwierdziłem z odrobiną ironii, ale natychmiast spoważniałem pod wpływem chłodnego spojrzenia Gorgeliasa.

— Tego nie da się opisać... Słowa to za mało... — powiedział jakby do siebie, po dłuższej chwili milczenia. — Trzeba to po prostu przeżyć. Niech ktoś z waszej ekspedycji uda się do centrum Londynu, do Worldgeneratora nr 14. Na stanowisku tysiąc osiemnastym wystarczy wstukać PIN 4421... Tam znajdziecie całą prawdę, a może nawet więcej.

Pospiesznie zanotowałem liczby w swoim multikomunikatorze i zacząłem tłumaczyć usłyszane słowa Elvirze i Rogeliemu. Jednak moi zwierzchnicy dali mi do zrozumienia, że to zbyteczny zabieg. Najwyraźniej zrozumieli słowa tajemniczego staruszka. Skoro jednak dotarła do nich wypowiedź, miałem nadzieję, że również jej sens będzie dla nich oczywisty, a przynajmniej nieco jaśniejszy niż dla mnie. Niestety myliłem się, bowiem odpowiedziało mi tylko ogromne zdziwienie z ich strony.

Cała sytuacja skojarzyła mi się z niskobudżetowym filmem klasy „B”, w którym główny bohater otrzymuje wskazówkę, będącą spójnikiem pomiędzy kolejnymi scenami. Mogłem w gruncie rzeczy „wyciągnąć” z mieszkańców Greensloty więcej informacji. Nie chciałem jednak drażnić, czując wszechogarniającą złość milczenia. Jednego tylko byłem pewien – Gorgelias nie chciał zapędzić nikogo z nas w pułapkę. Widziałem w nim życzliwego (choć nieco surowego) człowieka. Naprawdę rzadko myślę się w tych sprawach...

6

Jeszcze tego samego dnia dołączył do nas Ben. Zgodnie z rozkazami zamknął i zabezpieczył naszą *trzydziestkę piątkę*. Przyjechał na śmiesznym sześciokołowcu, który był tak małych rozmiarów, iż na pierwszy rzut oka trudno było uwierzyć, że zaprojektowano go dla trzech osób.

Starszy przyjaciel przez pierwsze kilka godzin przyglądał się, jakby z niedowierzaniem kompleksowi domków w Greensloty. Mimo iż nie skomentował nawet słowem swoich spostrzeżeń – z jego wzroku można było wyczytać retoryczne pytanie: „To na takie coś czekałem przez całe życie?”

LSSK miało już własny środek transportu, więc Rogelio wyznaczył „ochotnika” do wyjazdu. Szczerze mówiąc ani trochę nie zdziwiła mnie decyzja szefa. Byłem pewien już w momencie, gdy Gorgelias wspomniał o Londynie i Worldgeneratorze, że to zadanie właśnie dla mnie. Muszę jednak dodać, iż zostałem przez niego mile zaskoczony, bowiem pozwolił mi wybrać osobę towarzyszącą. Osobiście bardzo ucieszył mnie taki obrót rzeczy, ponieważ nie bardzo potrafiłem prowadzić sześciokołowy pojazd.

Zaraz po propozycji szefa zrobiłem poważną minę, jakby pełną wahania, chociaż tak naprawdę decyzję podjąłem jeszcze zanim Rogelio skończył wypowiedź.

7

Ben był zmęczony podróżą do Greensloty, ale chętnie przystał na moją propozycję. Poza tym, ignorując rozkaz Rogeliego, podzieliłem się z nim powierzona mi „tajemnicą”, w efekcie czego zawładnęła nim ciekawość.

Zaletą sześciokołowca, którym się poruszaliśmy była możliwość poruszania się niemal po każdym podłożu. Wadą natomiast – fakt, że naszej „przejażdżki” nie dawało się określić mianem „szybka”.

Pojazd nie był głośny – wydawał jednak tak buczący dźwięk, że po kilkunastu zdaniach straciliśmy ochotę na rozmowę. Poza tym dostrzegłem, że mój kierowca jest naprawdę zmęczony.

Po drugim postoju zaproponowałem, że samemu zasiądę za sterami. Ben spojrzał na mnie wzrokiem: „Masz rację, życie i tak jest krótkie”, ale nic nie powiedział.

W sumie nie prowadziło mi się najgorzej (pomijając dwukrotne ugrzęźnięcie w błocie), ale mój przyjaciel był nieco odmiennego zdania.

Po pewnym czasie natknąłem się na coś, co kiedyś musiało być drogą asfaltową. W efekcie tego jazda niemal w pełni zautomatyzowanym sześciokołowcem nie przysparzała by większych trudności nawet małpie.

— Och, cóż za samokrytyka — skomentował Ben, po tym jak podzieliłem się z nim swoimi spostrzeżeniami.

8

Londyn w niczym nie przypominał miasta, które znałem z filmów pochodzących z XXIII wieku. Bardziej kojarzył mi się ze zniszczoną po Drugiej Wojnie Światowej Warszawą. Spodziewałem się wielu dziwnych rzeczy, ale nie tego, że przez pierwsze dwie godziny od momentu wjechania w obręb „miasta”, nie spotkam żywej duszy. Budynki (jak na moje subiektywne odczucie – nie używane od kilkuset lat) rozsypywały się ze starości. Te które jeszcze stały – raziły swoim wyglądem.

Powoli zaczynaliśmy rozumieć ironiczną metaforę Gorgeliasa: „słowa to za mało”. Załamany i dezorientowany zatrzymałem sześciokołowca. Widziałem jak mój pasażer ukradkiem ociera łzę. Nie na taki świat czekaliśmy...

9

Chwile zwątpienia nachodziły mnie często. Niejednokrotnie w kosmicznej otchłani zamykałem na dwa kody swoje mieszkanie, włączałem melancholijne piosenki i roniłem łzy. Nie mówiłem o tym nawet Helmutowi i to nie dla tego, że mu nie ufałem. Po prostu nie sądziłem, że potrafiłby mnie zrozumieć, a jeśli nawet tak – to w żaden sposób nie byłby w stanie mi pomóc.

Jednak w wielkiej puszcze zwanej Nową Europą smutki miały to do siebie, że szybko przychodziły i równie prędko (najczęściej następnego ranka) znikwały

ze świadomości. Niestety nic nie wskazywało na to, że nasz, ziemski smutek podzieli losy swoich poprzedników. W świadomości mojej i Bena kiełkowały wizje przyszłego życia, czy raczej egzystencji. Sytuacja była zupełnie beznadziejna. Wtedy właśnie pojawił się on.

Nie był to żaden pers, ani syjamczyk – ot, zwykły, bury dachowiec. Jednak było to najmniej ważne. Im potrzeba jest silniejsza, tym łatwiej ją zaspokoić. Tak było właśnie w naszym przypadku. Przechodzący kot okazał się dla nas iskrą nadziei.

Ben usiłował przywołać zwierzaka i jak na osobę, która nigdy w życiu nie widziała kota szło mu całkiem nieźle. Jednak kiedy zaczął wołać „taś, taś” nie wytrzymałem i przejąłem inicjatywę w swoje ręce (jeszcze trochę i poczęstowałby naszego kocurka marchewką).

Kucnąłem aby nie patrzeć z góry na swojego „rozmówcę”. Wydałem z siebie dźwięk przypominający „kici, kici” i powtarzałem go w równomiernych odstępach czasu. Starałem się nie być natrętny, bowiem to mogłoby zrazić zwierzaka.

Przyglądał mi się podejrzliwym, ale ciepłym wzrokiem. Podchodził powoli, jakby od niechcenia. Bałem się, że będę mniej cierpliwy od niego.

Gdy znalazł się dostatecznie blisko, unikając gwałtownych ruchów, bezszelestnie podszedłem do niego na ugiętych nogach. Nie wyciągałem ku niemu dłoni i nie pokazywałem zębów. Po prostu patrzyłem w oczy i czekałem.

W końcu ruszył nieco szybciej (nie tracąc ani na moment swojej klasy) i otarł się policzkiem o moją prawą łydkę. Miauknął przy tym, mówiąc nasze ludzkie, niewiele znaczące „hej”.

Po wstępnych oględzinach spostrzegliśmy z Benem, iż kot jest zdrowym i zadbanym samcem. Postanowiliśmy zabrać go ze sobą, ale tylko na trochę, bowiem bałem się, że Rogelio w Greensloty zacznie na nim robić jakieś eksperymenty.

Jechaliśmy teraz pewniej, aczkolwiek, mimo usilnych starań nie udało nam się przyspieszyć. Mieliśmy wprowadzić komputerowe plany miasta, lecz nawet do nich nie zaglądaliśmy, bowiem zostały wykonane jeszcze przed powstaniem Nowej Europy. GPS oczywiście nie działał, więc byliśmy zdani wyłącznie na kompas oraz własną intuicję.

Po kolejnym przystanku za stery chwycił Ben, a ja zająłem się uspokajaniem kota, który pod wpływem drgań pojazdu zaczął się wiercić. Kiedy już niemal całkowicie uspokoiłem nieprzyzwyczajonego do podróży zwierzaka usłyszałem westchnienie. Był to dźwięk zachwyty mojego starszego przyjaciela. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, mój wzrok powędrował za szybę sześciokołowca. Zza horyzontu wyłoniła się monumentalna budowla. Nie oceniałem nigdy wysokości, ale jak na moje, znacznie przekraczała sto metrów.

Być może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że oszacowana przeze mnie wielkość była nie jednocześnie wysokością, szerokością i zarazem głębokością.

Ogromny sześcian, który wystawał ponad poniszczone budowle pokryty był czarnym, matowym tworzywem. Ku memu zdumieniu nie spostrzegłem na jego ścianach żadnych okien. Dach był pusty, wolny od jakichkolwiek radarów i anten. Szczerze mówiąc bardziej spodziewałem się natknięcia na Big Ben’a albo Tower Bridge, aniżeli na coś takiego. Zauważyłem jednak, iż po dniu pobytu na Ziemi coraz mniej rzeczy było w stanie mnie zdziwić.

Kiedy już nieco ochłonęliśmy z wrażenia spostrzegłem, że spuszczone z oczu kot zwymiotował na tylne siedzenie.

— Nasz nowy pasażer przed momentem się uzewnętrzniał — skomentowałem.

Ben najwyraźniej nie miał humoru (bądź co bądź braki snu nie napawają optymizmem). Natychmiast zatrzymał sześciokołowca i stanowczo nakazał abym posprzątał. Po raz pierwszy od momentu gdy się poznaliśmy podniósł na mnie głos. Nie miałem mu tego za złe (choć omal sam nie zwymiotowałem przy czyszczeniu), w końcu to na mój pomysł zabraliśmy „dodatkowego pasażera”.

Podążając w kierunku ciemnego monolitu obserwowaliśmy zmieniającą się scenerię. Ruiny występowały w coraz mniejszym natężeniu, a drogi były bardziej przejezdne. W momencie, gdy dostrzegliśmy w oddali wolno poruszające się pojazdy poczułem na plecach dreszczyk emocji. Podekscytowanie osiągnęło swój szczyt w momencie, kiedy naszym oczom ukazały się sylwetki ludzi.

Mieliśmy do czynienia z „osadą” przypominającą nieco Greensloty, jednak już na pierwszy rzut oka dawało się zauważyć, iż jest bardziej zaludniona. Budynki co prawda były nowocześniejsze niż te, spotkane wcześniej, ale jak na moje, były to tylko odnowione ruiny...

Gdy podjechaliśmy bliżej zorientowałem się, że większość przechodzących ludzi ma twarze skierowane w naszą stronę. Sześciokołowiec najwyraźniej wzbudzał sensację. Moje przypuszczenia potwierdziła grupka młodych chłopców, którzy oderwali się od zabawy świecącym dyskiem i ze zdziwieniem przyglądali się naszemu pojazdowi. Początkowo myślałem, że towarzyszył im zachwyt, jednak analiza innych samochodopodobnych tworów (z których niektóre potrafiły nawet unosić się nad ziemią) przekonała mnie, iż mogli czuć co najwyżej zdziwienie.

W końcu dałem do zrozumienia Benowi, aby się zatrzymał. Najwyraźniej czekał na tą decyzję od dłuższego czasu, albowiem zareagował z ulgą.

Po wyjściu na zewnątrz podszedłem do życzliwie wyglądającej, trzymającej się za ręce pary. Dziewczyna wyglądała na jakieś dwadzieścia kilka lat i miała naprawdę śliczne oczy. Błyszczące kolczyki, które wystawały z jej łuku brwiowego i nosa ślicznie lśniły na tle śniadej twarzy. Natomiast mężczyzna (wyraźnie starszy od swojej dziewczyny) wydał mi się wyjątkowo brzydki. Miał za duży nos i włosy przypominające rabarbar.

Popatrzeli najpierw na mnie, później podejrzliwym wzrokiem na sześciokołowca. Następnie nieco już pewniej wrócili spojrzeniem na moją sylwetkę. Nie uciekli, a to już wiele...

Postanowiłem zrezygnować z opowieści o kosmosie i Nowej Europie. Oszczędziło mi to wielu wyjaśnień. Spytałem po prostu:

— Jestem nietutejszy i szukam Worldgeneratora.

Kobieta nie zrozumiała od razu, ale ten z rabarbarowymi włosami szybko „przetłumaczył” jej moje słowa. W efekcie spojrzała na mnie jak na głupka. Jej chłopak najwyraźniej nie przejął się tym i bez żadnych ceregieli wskazał na unoszący się ponad „osadą” ciemny sześcian.

— To jest „czterdziestka szóstka”, a około kilometra za nią znajdziecie „czterdziestkę siódmką”.

Zaskoczył mnie kompletnie, ale zgodnie ze swoim zboczeniem zawodowym zrobiłem minę, jakbym usłyszał coś oczywistego.

— Tyle to wiem — blefowałem. — Szukam Worldgeneratora „czternastki”.

Na te słowa wyraźnie się uśmieł, a rabarbarowe włosy aż mu się zatrzęsły. Dziewczyna najwyraźniej poczyniła postępy w pojmowaniu moich słów, albowiem bez żadnych wyjaśnień dołączyła do niego. Doszedłem jednocześnie do wniosku, że uroda i inteligencja nie chodzą w parze.

Nie wiedząc jak się zachować spojrzałem ironicznie w niebo, dyskretnie „popędzając” moich rozbawionych rozmówców.

— „Czternastka” jest o kilka godzin jazdy w tą stronę — mówiąc to, wskazał kierunek, z którego przybyliśmy.

Zrobiło mi się głupio. Zawsze bowiem mam takie szczęście, że jeśli robię coś, czego nie jestem pewien, to najczęściej okazuje się, iż wykonuję to z odwrotnym skutkiem do zamierzonego. Poza tym wydawało mi się, że fakt, iż ktoś zbłądził nie powinien być dostatecznym powodem do śmiechu. Postanowiłem więc „uraczyć” swoich rozmówców w podziękowaniu jakąś złośliwością. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek uczynić, spostrzegłem, że chłopak stłumił śmiech. Widziałem, że chce mi coś jeszcze powiedzieć. W mgnieniu oka zrobiłem życzliwą minę grzecznego chłopczyka i całą swą uwagę skoncentrowałem na słuchaniu.

— „Czternastka” jest nieczynna od wielu lat...

ROZDZIAŁ TRZECI

1

Zatrzymany na podziemnym parkingu monumentalnego Worldgeneratora nr 46 sześciokółowiec wzbudził czujność ochrony. Strażnicy przyglądali się nam podejrzliwym wzrokiem. Zacząłem nawet uważać, iż jest to zwyczajna procedura, ale w momencie, gdy zaczęto nas przeszukiwać przestało mi się to podobać. Na szczęście trwało to krótko i po chwili mogliśmy wejść do środka.

Wygląd wnętrza zaskoczył mnie i to mile. Nie przesadzę ani trochę, twierdząc iż było to najładniejsze miejsce, jakie zobaczyłem podczas mojego krótkiego pobytu na Ziemi. W gruncie rzeczy, ktoś złośliwy mógłby zauważyć, iż przesiedziawszy całe życie na pokładzie Nowej Europy, nie powinienem ulegać urokowi zamkniętych pomieszczeń. Jednak to było silniejsze ode mnie.

Jasne i przestronne pomieszczenia oraz stonowane światła podziślały na mnie. Ściany połyskiwały białym marmurem (albo czymś tego pokroju) Do tego jeszcze przyjemna wykładzina i sufit w kolorowe kółeczka...

Już na pierwszy rzut oka dostrzegłem na końcu ogromnego holu coś, co przypominało recepcję, albo informację. Za elegancką, połyskującą złotem ladą siedziała młoda, urocza kobieta. Miała co najwyżej dwadzieścia pięć lat. Z przyjemnością zatrzymałem wzrok na jej twarzy. Z bliska dostrzegłem iż ma bardzo subtelny makijaż, a jej jasne włosy układają się w setki zachwycających loków. Najbardziej jednak podziślały na mnie usta, skryte pod jasnoróżową szminką. Nie mogłem wprost oderwać od nich oczu.

Pomyślałem sobie, że coś ze mną nie tak... Jak tak dalej pójdzie, to zacznę mi się podobać każda napotkana przedstawicielka płci pięknej. Usprawiedliwiłem się jednak faktem, że od momentu, gdy rozszedłem się z Sarą, minęło sporo czasu. Po chwili zauważyłem jednak, iż mój stojący po prawej stronie przyjaciel również wpatruje się w kształtne usta jasnowłosej piękności.

Z początku byłem niemal pewien, że pani, w którą wpatrywaliśmy się dobre kilkanaście sekund siedzi tutaj, aby robić dobre wrażenie i zapytana o cokolwiek weźmie multikomunikator i poprosi o wskazówki. Jednak okazało się, że byłem całkowicie w błędzie, albowiem nie dość, iż zrozumiała o co ją pytałem, to w dodatku udzieliła wyczerpujących odpowiedzi. Jak znam życie, to zwolnią ją przy najbliższej okazji... ale nie odbiegajmy od tematu.

Dowiedzieliśmy się, że Worldgenerator nr 14 jest od długiego czasu nieczynny z powodu przedłużającego się remontu. Kiedy wspomniałem o stanowisku tysiąc osiemnastym, dziewczyna zapytała mnie o moje uprawnienia. Odpowiedziałem jej, że znam tylko PIN. Kiedy wstukałem go na dziwnie wyprofilowanej klawiaturze, powiedziała, że to wystarczy. Po chwili dodała, iż może załatwić mi przeniesienie do jakiegoś innego stanowiska. W dalszym ciągu nie wiedziałem o co chodzi, ale zgodziłem się. Podejrzewam, że nawet gdyby wmówiła mi, iż może zafundować mi trzydziestoletnią podróż Nową Europą, przytaknąłbym. Naprawdę zaczynałem ją lubić.

Moja sympatia do znającej się na rzeczy blondynki osiągnęła punkt kulminacyjny w momencie, gdy pokazała mi na wyświetlaczu stan konta. Może się nie znam, ale dziewięć, albo dziesięć cyferek obok siebie (z czwórką na początku) to według mnie sporo. Uśmiechnąłem się, życzliwie i wówczas... Ben palnął gafę:

— To dużo? — spytał.

Spróbowałem obrócić całą tą sytuację w żart, więc lekko, aczkolwiek widocznie uderzyłem go łokciem, mówiąc z uśmiechem na ustach:

— Ależ z ciebie dowcipniś — przez moment zastanawiałem się jeszcze, czy nie dodać na końcu słówka „tato”, ale zrezygnowałem z tego. Wymyślanie kłamstewek ma to do siebie, że niepotrzebnie obciąża pamięć.

Dziewczyna najwyraźniej nie była w nastroju do żartów. Popatrzała na nas wzrokiem „mam nadzieję, że następnym razem przyjdzie tu ktoś normalny” i rzekła szorstko:

— Piętro numer 23, pokój 238... I jeszcze jedno: Proszę najpierw zarejestrować się u administratora.

Odeszliśmy nieco zmieszani w kierunku wind, wskazanych przez kobietę. Na szczęście, mimo drobnego incydentu, nie opuścił mnie dobry nastrój.

Winda okazała się „user friendly”, więc bez problemu dostaliśmy się na planowany poziom. Obawiałem się jednak tego, w jaki sposób będziemy mogli znaleźć administratora oraz przede wszystkim rozmowy z nim.

Pierwszy problem rozwiązał się sam, albowiem dwudzieste trzecie piętro „przywitało nas” pokojem z dużym napisem na drzwiach: „administrator”. Co prawda ujrzeliśmy jeszcze wiele pomieszczeń, jednak wszystkie miały u wejścia tylko numerek.

Stanęliśmy przed wyszczególnionymi drzwiami i zanim zdążyliśmy zastanowić się, w jaki sposób zadzwonić – stanęły przed nami otworem. Początkowo myślałem, że zareagowały na fotokomórkę, albo jakiś czujnik ruchu. Jednak po wejściu do pomieszczenia i zobaczeniu kilkunastu monitorów zrozumiałem, że byliśmy przez cały czas obserwowani przez kamery.

— Witam — gruby, łysawy człowieczek w beżowym stroju uśmiechnął się do nas. — Który z panów dostał przeniesienie pod *dwieście trzydziestkę ósemkę*?

Zamiast odpowiedzi uniosłem prawą dłoń.

— Rozumiem... Kiedy ostatnio był pan skanowany?

— Hm — westchnąłem. — Dość dawno...

Administrator zaprowadził mnie do tajemniczo wyglądającego pomieszczenia, po czym zostawił samego. Zupełnie nie wiedziałem co robić, ale napisy na ścianach bardzo mi pomogły. Co prawda nie był to angielski, którym władaliśmy w Nowej Europie, aczkolwiek na podstawie skojarzeń i intuicji zrozumiałem prawie wszystko.

Postępując zgodnie z instrukcjami rozebrałem się do naga i wziąłem gorący prysznic. Po wyczerpującej podróży, ta część procedury okazała się dla mnie bardzo przyjemnym doświadczeniem. Później, gdy gorący nawiew osuszył moje ciało, wszedłem do tajemniczego urządzenia, przypominającego z zewnątrz szafę na ubrania. Miły, aczkolwiek bezosobowy głos automatu poinformował mnie, w jakim momencie mam zamknąć oczy, aby strumień lasera nie uszkodził mi wzroku. W momencie, gdy rozpoczęło się skanowanie poczułem, że podłoga maszyny, w której się znajduję, zaczyna się obracać. Bałem się, że zacznie kręcić mi się w głowie, ale na szczęście urządzenie wykonało mną tylko jeden obrót.

Gdy bezosobowy głos poinformował mnie, że to już koniec, wyszedłem z automatu i ubrałem się. Administrator sprawdził u siebie wyniki skanowania (mam nadzieję, że nie był homoseksualistą), po czym zaprowadził mnie pod drzwi pokoju numer 238.

Ben przez cały czas czekał na korytarzu. Gdy dowiedziałem się, że nie może ze mną wejść, pośpiesznie umówiliśmy się, że za trzy godziny wrócę zdać mu relację i uzgodnimy, co robić dalej. Szczerze mówiąc bardzo podobał mi się fakt, że nasze multikomunikatory działały tylko w promieniu kilku

kilometrów. Dało nam to całkowite odcięcie od ekipy rządzącej i co za tym stoi – pełną swobodę działania.

Weszliśmy razem do obszernego pomieszczenia. Pierwszą rzeczą, która zainteresowała mnie było dziesięć plastikowych skrzynek rozstawionych pod ścianami. Ich dolne połowy miały kształt prostopadłościenny, natomiast górne – półkolisty. Wysokość przekraczała półtora metra, natomiast ich długość i głębokość oscylowały w granicach trzech. Całość, połączona ze sobą pajęczyną przewodów, wyglądała niczym wylęgarnia obcych. W pomieszczeniu nie było ani jednego okna, a jedyną rzeczą, różniącą się od wspomnianych, plastikowych obiektów było biurko, niemal uginające się od elektronicznych urządzeń, które przypominały nieco pracownię medyczną mojej zwierzchniczki – Elviry.

W normalnych warunkach zażartowałbym, jednak miałem przeczucie (a nawet coś, co odważyłbym się nazwać namiastką pewności), że za moment będę musiał wejść do jednej z wylęgarni, a to z lekka napawało mnie przerażeniem. Nie to, żebym miał klaustrofobię (w końcu byłem dzieckiem Nowej Europy), albo nie ufał administratorowi, ale... tak jakoś się trochę bałem.

Łysawy człowieczek podszedł do jednego z plastikowych urządzeń i wstukał jakiś kod. Natychmiast wierzchnia, półkolista pokrywa odsunęła się i naszym oczom ukazało się ciasne wnętrze, dopasowane kształtem do mojego ciała. Od razu skojarzyło mi się to ze średniowiecznym łóżem tortur, ale mój sztuczny uśmiezek nie zniknął ani na moment z twarzy.

— Proszę — powiedział administrator, wskazując gestem, abym wszedł do środka.

Przełknąłem ślinę. Powoli zbliżyłem się do krawędzi tajemniczego urządzenia. Już miałem unieść nogę, gdy nieoczekiwanie mój towarzysz powiedział:

— Ubrania najlepiej zostawić w tamtej szafce.

No i co miałem zrobić? Musiałem... Rozebrałem się, stojąc plecami do administratora, schowałem ciuchy we wskazanym miejscu, wyłączyłem i zostawiłem multikomunikator. Następnie, zasłaniając dłońmi swoje intymne miejsce, wróciłem do automatu.

Położyłem się w środku. Co prawda nie było to moje łóżko w Nowej Europie, ale o dziwo, leżało mi się całkiem wygodnie. Administrator podłączył mi do karku, klatki piersiowej i nadgarstków jakieś elektrody (teraz dla odmiany czułem się niczym na elektrycznym krześle) i włożył do ust gumową, niesmaczną rurkę. Później zaś kazał mi założyć jakiś wężyk na... członka. Popatrzałem na niego, niczym na idiotę, ale wcale go to nie zraziło. Powiedział tylko, że to niezbędne. Przestała mi się podobać ta zabawa, ale za daleko doszedłem, aby teraz rezygnować, więc wykonałem polecenie. Łysawy człowieczek obejrzał mnie jeszcze dokładnie ze wszystkich stron, po czym wcisnął jakiś przycisk i kłapa zaczęła się powoli zamykać. Z każdą sekundą robiło się ciemniej, a serce biło mi coraz szybciej. Gdy zostałem całkowicie zamknięty, zadrzałem.

Zdarzało mi się od czasu do czasu na pokładzie Nowej Europy pójść do solarium. Jednak tam przynajmniej mogłem podrapać się po nosie, czy ruszyć nogą. Tutaj byłem całkowicie unieruchomiony. Czułem wszechogarniającą bezsilność. Jakby tego wszystkiego było mało, rurka, którą miałem w ustach rozszerzyła się tak, iż mogłem oddychać jedynie nosem. Najciekawsze było jednak to, że wbiło mi się coś w tylną część ciała. Tego było za wiele! Chciałem wyrwać się i krzyczeć, ale mogłem co najwyżej poruszać lekko palcami i wydawać z siebie jedynie bezdźwięczne pomrukiwanie. Na szczęście po kilkunastu sekundach stałem się senny, bardzo senny...

2

W jednej chwili poczułem jakbym przestał istnieć i po trwającym niewiadomo ile odcinku czasu, pojawił się na nowo. Uformowałem się w nicości, która na początku wydała mi się wszechobecną jasnością. Jednak było to coś innego niż światło. Blask tej bezprzestrzeni był tysiącokrotnie jaśniejszy niż Słońce, ale nie oślepiał. To było tak, jakbym nie ja patrzył w nicość, tylko ona spoglądała na mnie...

Znowu upłynął niemierzalny odcinek czasu. Z antyblasku zaczęła wyłaniać się ciemność. Gdy zrobiło się już zupełnie czarno, z chwili na chwilę mrok zaczął ustępować. Tym razem jednak miałem już do czynienia ze światłem.

Stałem nagi pośrodku rozległej równiny, otoczony pustką. Stąpałem po ciepłym, aczkolwiek twardym podłożu białego koloru. Wokół mnie nic nie istniało. Horyzont był bardzo daleko, a powyżej niego znajdowało się niebo, które było tylko minimalnie jaśniejsze od podłoża. Poczułem strach. Być może zareagowałbym inaczej, ale lubię być nagi tylko w sytuacjach, kiedy tego sobie życzę.

Zacząłem biec z nadzieją, że dokądś dotrę, jednak czułem się jakbym stał w miejscu. Być może rzeczywiście nie zmieniałem swojej pozycji ani o milimetr. Nie było jednak żadnego, choćby najdrobniejszego przedmiotu, na podstawie którego mógłbym sprawdzić, czy znajduję się w ruchu.

W końcu wpadłem na pomysł. Wyrwałem włos (pozwolę sobie pominąć skąd) i rzuciłem go na podłogę. Gdy wykonałem kilka kroków – oddalił się ode mnie. Nareszcie miałem jakiś punkt zaczepienia. Ruszyłem szybko, ale nie biegiem. Byłem wyczerpany. Minęło kilka minut i diabli wiedzą ile metrów. Zupełnie straciłem orientację i zaczęło kręcić mi się w głowie. Wówczas nieoczekiwanie dostrzegłem przed sobą pozostawiony włos. Załamałem się i straciłem ostatni kawałek nadziei. Myślałem, że nigdy do tego nie dojdzie, ale zatęskniłem za Nową Europą. Za całodobową telewizją, za zimnym piwem, za nocami, które przegadałem z Helmutem... Upadłem na kolana i byłbym się rozpłakał, gdyby nie on...

Przyszedł niewiadomo kiedy i skąd. Był kolorowy i malutki. Przypominał trochę krasnoludka z kreskówek, ale nie miał brody.

— Potrzebujesz pomocy? — spytał w dobrze mi już znanym, nowoangielskim języku.

Był bardzo sympatyczny, ale najwyraźniej mało domyślny. W pierwszej chwili chciałem odpowiedzieć kpiąco: „Jakiej tam pomocy... Chciałbym harmonijkę ustną, trzydzieści deko maślanych ciasteczek i siatkę do łapania motylków”. Ugryzłem się jednak w język, bowiem nie byłem pewien jak może zareagować ten liliputek. Odparłem więc:

— Tak.

— Nie możesz przywołać swojego ID? Nie pamiętasz hasła?

— Hm — westchnąłem. — Niezupełnie... Jestem tu pierwszy raz i nie mam zielonego pojęcia, co to jest ID.

Spodziewałem się ujrzeć uśmiech na ustach mojego rozmówcy, ale zareagował zupełnie poważnie. Powiedział tylko:

— Jestem Glinkey, bot-pomocnik.

— Miło mi — powiedziałem podając mu rękę — Jestem Paweł... Możesz mi jeszcze powiedzieć, kto to jest „bot”?

— Oczywiście — odparł z uśmiechem. — Boty, to postacie kierowane przy pomocy specjalnych algorytmów. Jednak fakt, iż jestem botem, nie świadczy o tym, że jestem lepszy albo gorszy. W zasadzie różnimy się tylko tym, że twoją postacią kieruje mózg, a moją program. Prawda, że proste?

Przytaknąłem, chociaż w zasadzie nie miałem takiego zamiaru. Tak naprawdę, chciałem dodać, że każdy bot według mnie różni się jeszcze paroma detalami, takimi jak ograniczona inteligencja, brak uczuć, ale po raz kolejny, ugryzłem się w język. Rzeczą, którą najbardziej chciałem zrobić, było obsypanie mojego doradcy lawiną pytań. Wiedziałem jednak, że to spowoduje jeszcze większy mętlik w mojej, przeładowanej wrażeniami głowie. Postanowiłem więc pytać powoli i konkretnie. Na „pierwszy strzał” padła kwestia: „Gdzie my właściwie jesteśmy?”.

— Dobrze pytanie — zaśmiał się Glinkey, a ja dopiero wówczas zauważyłem jak złożona jest mimika jego twarzy. Dosłownie trudno było uwierzyć, że mam do czynienia z programem, a nie człowiekiem. Widziałem każdy kawałek rzęsy, każdą, nawet najdrobniejszą krzywiznę twarzy. Spostrzegłem również, że mój rozmówca był nieco inny, niż ktokolwiek spośród znanych mi osób. Nie chodzi mi o charakterystyczną, oryginalną budowę ciała, która jest cechą jedyną w swoim rodzaju (pomijając przypadek bliźniaków jednojajowych). Po prostu bot, z którym rozmawiałem wyglądał jakby nadrealnie. Dla przykładu, jego oczy były tak intensywnie błękitne, że niemal przyprawiały o mdłości. Poza tym nie miał ani jednej zmarszczki, a jego skóra była tak równomiernie ubarwiona, jakby opalał się przez zanurzenie. — Aż dziwne, że wchodzisz do czegoś, o czym nie masz, jak sam to ująłeś, zielonego pojęcia. To jednak chyba normalne dla was, ludzi...

— Miałeś mi pomagać, a nie pouczać — odparłem nieco zirytowany. Nie dość, że bot, to jeszcze przemądrzalec...

— Jesteś w pomieszczeniu inicjującym wejście do wirtualnego świata — powiedział udając, że nie usłyszał moich ostatnich słów. Uśmiech jednak ani na moment nie zniknął z jego twarzy. — Wszystko, co nas otacza, z naszymi ciałami włącznie, jest częścią algorytmu wielkiego programu, który nieprzerwywalnie działa od ósmego czerwca 2421 roku. Czy mam przytoczyć Ci notkę historyczną?

— Może innym razem... — odparłem w obawie przed natłokiem zbytecznych informacji. — Lepiej zdradź mi jakieś ciekawostki...

— Cóż, z tego co zauważyłem, dla Ciebie największą z ciekawostek, jest sam fakt, że istnieje coś takiego jak wirtualny świat...

Dosłownie we mnie zawrzało. W normalnych warunkach wykorzystałbym swoje umiejętności i wytknął Glinkey'owi którąś z zaobserwowanych słabości (wiem, wiem, to niemoralne, ale za to jakie skuteczne!). Problem jednak tkwił w tym, że miałem do czynienia z botem, który takowych słabości był pozbawiony. Zgroza...

— Słuchaj mały — rzekłem nieco ostrzejszym tonem. W końcu musiałem pokazać, kto tu jest górą. — podejrzewam, że twoim obowiązkiem jest coś innego niż wymądrzanie się.

— W sumie masz rację — odparł nie przejmując się ani trochę, — ale tylko w pewnym stopniu. Prawdą jest fakt, iż stworzono mnie, abym pomagał ludziom. Regulamin jednak mówi otwarcie, iż muszę to uczynić jedynie na wyraźną prośbę potrzebującego.

— Myślisz, że cię poproszę? — spytałem ze sporą dozą ironii w głosie.

— Nie myślę, ja to po prostu wiem — odparł, a uśmiech na jego twarzy rósł z każdą chwilą. — Nie wiesz przecież, w jaki sposób wywołać ID, ba, nawet nie masz pojęcia coż to takiego...

Tym razem zrzędł mi uśmiech. Leżałem nagi i bezbronny i nie miałem siły, ani ochoty na dyskusję. Szepnąłem więc:

— Proszę...

— Słucham? — zapytał wredny liliput. Tym razem uśmiech na jego wargach, pomijając aspekt kolorystyczny, wyglądał zupełnie jak banan. — Czy możesz powtórzyć?

— Proszę!

— Widzisz, jak chcesz, to potrafisz. Jeśli pragniesz wywołać ID, pomyśl sobie pięć razy pod rząd wyraz „ID”. Obojętnie czy wyobrazisz sobie dźwięk, czy obraz. Ważna jest przede wszystkim ilość.

W mgnieniu oka zapomniałem o zmęczeniu oraz gniewie i przywołałem wskazane „coś”. Ponieważ czuję się bardziej wzrokowcem, posłużyłem się obrazem. Gdy tylko tego dokonałem, dookoła mnie zawirował jasny ogień, który rozszerzył się w duże lustro, które zawisło w powietrzu kilkadziesiąt centymetrów przede mną.

— Przyciski, które widzisz poniżej swego odbicia, przywołują odpowiednie menu. Ten czerwony z lewej służy do ustawiania wyglądu otoczenia...

Muszę przyznać, iż spodobała mi się zabawa w kształtowanie otoczenia. Na początku zmieniłem kolor nieba i temperaturę powietrza. Później, kiedy Glinkey, z łaski swojej trochę objaśnił mi co do czego służy, zacząłem nawet przywoływać różne przedmioty. Oczywiście wybór nie był rewelacyjny (tzn. lustro, fotel, stojący zegar etc.), ale strasznie podobało mi się, jak wybrane przeze mnie obiekty, przy pomocy jednego muśnięcia przycisku, wyskakiwały z ziemi. Bawiłem się dopóki mój niski doradca, nie określił mnie mianem „wyrośniętego dzieciaka”. Wówczas przeszedłem do nauki obsługi drugiego menu, które odpowiadało za mój wygląd. Tutaj rzecz okazała się o wiele bardziej skomplikowana niż przypuszczałem. Sprawa, na pierwszy rzut oka banalna – wybranie koloru i kształtu oczu. Ech, cóż w tym trudnego? Nic? To wystarczy sobie wyobrazić kilka tysięcy oczu do wyboru. Gdy wybierzesz odpowiednie – sekundę później dostrzegasz jeszcze lepsze. Co ciekawe, kiedy udaje się w końcu któreś wybrać, okazuje się, że ani trochę nie pasują do twarzy i geometrii nosa... Zgroza!

Mogę powiedzieć wiele złych rzeczy o moim bocie–strózu. Jednak muszę pochwalić go za cierpliwość. Przez całe pół godziny wybierałem coraz to bardziej wyszukane elementy, a on nie powiedział nawet słowa. Przez moment poczułem się niczym kobieta, która znika „na chwilę” w łazience.

Ostatecznie zdecydowałem się na „kreację” zbliżoną do mego rzeczywistego wyglądu. Oczywiście dodałem sobie kilka centymetrów wzrostu i ująłem kilka kilogramów. Wygładziłem całkowicie cerę, dodałem nieco opalenizny, wybieliłem zęby i zmieniłem oczy na zielone. Do tego wybrałem luźny strój w kolorze kawy z mlekiem. Obcisłe, jasne ciuchy, które były modne na Nowej Europie już mi się dawno przejadły.

Gdy stwierdziłem, że już jestem gotowy (oczywiście nie obyło się bez szyderczego komentarza pod adresem mojego wyglądu) złośliwy liliput pokazał mi w jaki sposób korzystać z ostatniego, podobno najważniejszego menu.

Dowiedziałem się, że dzięki kolejnym opcjom, mogę przenieść się w dowolne miejsce jednego z trzech wybranych wirtualnych światów, oznaczonych kolejno klasami „A”, „B” oraz „C”. Glinkey, doradził mi, abym na początku udał się to tego pierwszego, albowiem dla takiego, jak sam to określił, nowicjusza–naiwniaka jest to jedyne miejsce, gdzie nie powinno mi „paść na mózg”. Oczywiście potraktowałem jego „cenną” radę półżartem, półserio, ale ostatecznie na nią przystałem. Wybrałem świat klasy „A”. Gdy tego dokonałem, ekran mojego „ID” rozszerzył się i ukazała się przede mną wielka mapa świata, na której migąło kilkadziesiąt punktów.

Doradca powiedział, że najlepiej będzie, jeśli wybiorę sobie któreś z amerykańskich miast (tak na marginesie mówiąc, najczęściej migających punkcików było właśnie na kontynencie północnoamerykańskim), ale nie zdecydowałem się na tą propozycję. Mój wzrok powędrował w kierunku Europy, do państwa, w którym urodzili się moi rodzice – Polski. Co prawda, na tle innych rejonów świata (większości z nich nawet nie potrafiłem nazwać – zawsze spałem na wykładach z geografii) znikoma ilość kilkunastu migających miast–punktów prezentowała się nieco skromnie, ale to mi w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało. Przyłożyłem niepewnie palec w miejsce, gdzie jak na moje znajdowała się Warszawa. Na szczęście spory napis „Warsaw”, który pojawił się, gdy tylko zbliżyłem dłoń do mapy, ostatecznie rozwiał moje wątpliwości. Pojawił się komunikat z pytaniem, czy chcę przenieść się do wskazanego miasta. Nawet nie pytałem Glinkeya, co mam robić tylko potwierdziłem swój wybór przyciskiem „Yes”. Po kilku sekundach mapa przede mną zmieniła się w plan miasta.

— Widzę, że już nie jestem ci potrzebny — stwierdził bot.

— Gratuluję domyślności... — odparłem z kpina w głosie. Tak! Nareszcie odpłaciłem mu pięknym za nadobne.

— Jednak wcześniej czy później będziesz mnie potrzebował. — powiedział, a na jego twarzy zaczął pojawiać się, dobrze już znany, bananopodobny uśmiech. — i to raczej wcze...

Ostatniego wyrazu już nie słyszałem. Wybrałem największy z punktów migających na planie miasta i zniknąłem. Przez pewien czas znowu znalazłem się pośród nicości. Tym razem jednak byłem bardziej pewny siebie niż ostatnio. Zmaterializowałem się czymś podobnym do budki telefonicznej. Wyszedłem, z zaciekawieniem przyglądając się oświetlonemu kolorowym światłem korytarzowi. Było w nim coś niesamowitego. Z jednej strony stwarzał wrażenie chłodnego, z drugiej jednak miał coś, co kojarzyło mi się z Nową Europą – był czysty, jasny i wąski. Nie musiałem długo zastanawiać się nad przeznaczeniem pomieszczenia, w którym się znajdowałem. Silny podmuch ciepłego powietrza dał mi do zrozumienia, że mam do czynienia ze stacją metra. Nie myliłem się, bowiem po kilkudziesięciu sekundach od momentu, gdy poczułem podmuch nadszedł kilka wagoników. Co ciekawe, nie poruszały się na szynach, tylko lewitowały kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią. Przyjrzałem się wysiadającej kiluosobowej grupce ludzi. W większości wyglądali na dwudziestoparolatków. Byli zajęci rozmową, a na ich twarzach malowały się uśmiechy. Bałem się, że zwrócą na mnie uwagę (bądź co bądź wyróżniałem się nieco zachowaniem), ale nawet nie spojrzeli w moją stronę.

Ich ruch w znaczny sposób różnił się od zachowania, botów. Byli nieco bardziej naturalni i tacy, jakby bardziej ludzcy.

Tylko jeden mężczyzna z szybko oddalającej się ode mnie grupki poruszał się nieco inaczej. Początkowo pomyślałem, że jest botem. Jednak był o wiele za bardzo chaotyczny, jak na postać kreowaną przez algorytm. Wyciągnąłem więc wnioski, że mam do czynienia z kimś, kto dopiero uczy się poruszać w nowej postaci.

Zaskakiwał mnie fakt, że wszystko wokół było takie realne. Gdybym nie miał świadomości, że byłem w świecie wirtualnym i ni stąd ni zowąd się w nim znalazł, nawet nie przyszłoby mi na myśl, iż całe moje otoczenie jest tylko częścią komputerowego programu.

W miejscu gdzie pięć minut temu zmaterializowałem się, pojawiła się dwójka młodych ludzi: chłopak i dziewczyna. Wyminęli mnie trzymając się za ręce, po czym udali w tym samym kierunku co grupa, która przed momentem wysiadła z metra. Podążyłem za nimi wjeżdżając kilkanaście metrów w górę ruchomymi schodami. Wyszedłem na zewnątrz.

Nigdy jeszcze nie widziałem, ba nawet nie wyobrażałem sobie czegoś podobnego. Warszawski rynek lśnił setkami kolorowych neonów. Podświetlone mury zamku wraz z niemal podgrzewanym przez halogen pomnikiem jakiegoś kolesia z krzyżem w ręku naprawdę podziałały na mnie. Pragnąłem cieszyć się pięknem tego wirtualnego świata, który jak postanowiłem sobie już po kilku sekundach, będzie na zawsze moim.

Otoczające mnie ciepłe, letnie powietrze zawierało dużo wilgoci. Spacerowałem jak oszalały. Bardzo dawno na mej twarzy nie pojawiał się tak naturalny uśmiech jak teraz. Radość tkwiła we mnie i z każdą chwilą jej ilość się potęgowała. Przez moment aż zakręciło mi się w głowie i niemal się zachwiałem. Najwyraźniej był to efekt uboczny upojenia szczęściem.

Miałem wprowadzić jasno i wyraźnie sformułowane rozkazy Rogeliego, które mówiły, że muszę jak najszybciej dotrzeć do najwyższego zwierzchnika i powiadomić go o naszej ekspedycji. Jednak była przecież noc, a o zmroku nie załatwia się takich spraw (tak na marginesie mówiąc, nic tak nie cieszy jak udowodnienie samemu sobie słuszności za pomocą głupiej wymówki). Udałem się więc do baru.

Lokal mieścił się tuż przy rynku, w jednej z kolorowych kamieniczek. Zanim zdążyłem przekroczyć próg owego przybytku, do mych uszu dotarła głośna muzyka. Nie było to żadne ostre techno (czego spodziewałem się wirtualnym świecie), tylko spokojny rock. Wszedłem.

To było to, czego przez całe życie brakowało mi na pokładzie Nowej Europy. Chłodna, spelunkowata piwnica pogrążona w półmroku, muzyka na żywo i bar z kilkudziesięcioma gatunkami alkoholu (ech, gdyby był ze mną Helmut).

Może to głupie, ale mimo iż czekał na mnie cały wirtualny świat, miejsce, gdzie rzekomo sny i marzenia krzyżowały się z rzeczywistością, postanowiłem spędzić najbliższe kilka godzin właśnie w tym barze.

Przedarłem się poprzez gęsto rozstawione stoliki do baru i usiadłem na jednym z dwóch wolnych, wysokich krzeseł.

Początkowo muzyka wydała mi się zbyt głośna, jednak już po kilkudziesięciu sekundach mój słuch się do niej przyzwyczaił.

Jakiś kolesz z długimi włosami przy pomocy elektrycznej gitary pokazywał co potrafi. A muszę przyznać, że był niezły w te klocki, a solówki grał z taką łatwością, jakby smarował chleb masłem. Oczywiście to tylko subiektywne odczucie człowieka, który gitarę miał może ze dwa razy w ręku, ale raczej się nie myliłem. Poza tym był jeszcze perkusista, który momentami tak szybko uderzał w instrumenty, że w skąpym oświetleniu ledwo dostrzegałem w jego dłoniach pałeczki.

Popatrzyłem na gości siedzących przy stolikach. Większość z nich miała ustawione przed sobą kufle z piwem. Co poniektóre pary całowały się, co akurat wydało mi się rzeczą zupełnie zwyczajną. Kilka osób paliło, z czego niektórzy dawali do zrozumienia swoim zachowaniem, że nie są to papierosy.

Narkotyki w wirtualnym świecie... hm... to również mnie nie dziwiło. Poczułem się jednak zaskoczony wyglądem ludzi, których dyskretnie obserwowałem. Mianowicie wydawało mi się, że w świecie, gdzie każdy może wybrać sobie dowolną postać, będą przeważali przystojni młodzieńcy i zgrabne nastolatki. Myliłem się, albowiem szacowana średnia wieku oscylowała nie w granicach dwudziestki, ale trzydziestki. Nie powiem, ludzi brzydkich nie zauważyłem, ale nie wszyscy byli młodzi. Być może, gdyby działa się inaczej, życie okazałoby się nudne (choć nie znałem panujących tam obyczajów, kto wie, być może obserwowani przeze mnie ludzie zmieniali swój wygląd przed każdym wyjściem).

Z pewnością gdyby wszystko miało być idealne, byłoby nierealne. W końcu Marks i Engels na swój sposób też mieli rację, ale... czy można mówić o rzeczach realnych i nierealnych, będąc w wirtualnym świecie?

— Co podać? — wyrwała mnie z głębokiej zadumy barmanka. Miała śliczne oczy w stosownym do wykonywanej pracy piwnym kolorze. Uśmiechnęła się sympatycznie, więc odwzajemniłem podobny gest. Zaskoczył mnie natomiast fakt, iż zwróciła się do mnie po polsku. Co prawda nie był to ten sam język, którym porozumiewałem się z Benem, ale mimo to mile zaskoczyło mnie jego brzmienie.

— Proszę jakieś dobre piwko — powiedziałem głośno, starając się przekrzyknąć muzykę.

— Może być Hakroiler? — spytała wskazując na kranik z kolorową literką „H” i ślicznie zamrugnęła do mnie oczami. Zacząłem się zastanawiać czy jest człowiekiem, czy botem.

— Jasne — odparłem, po czym dodałem: — Mam jeszcze mały problem...

Na szczęście uśmiech z jej twarzy nie zniknął ani na moment. Zbliżyła głowę w moją stronę, przez co nie musiałem krzyczeć. Poczułem też, że używa bardzo ślicznych perfum. Po usłyszeniu mojego pytania jasno i wyraźnie wyjaśniła mi w jaki sposób przywołać kartę kredytową.

Uiściłem należną kwotę i dzierżąc w ręku chłodny kufel udałem się do jednego z niewielu wolnych stolików. Przysłuchiwałem się donośnej muzyce, gdy nagle z zaplecza wyłoniła się długowłosa dziewczyna, która usiadła przed mikrofonem i zaczęła śpiewać.

Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak bardzo pochłonięty muzyką. Chociaż tak naprawdę bardziej niż artyzm działała na mnie uroda wokalistki. Tajemnicza nieznajoma siedziała, jakby od niechcenia na wysokim taborecie. Wzrok miała spuszczonej, obojętnej. Długie, czarne włosy opadały jej na twarz. Mikrofon, do którego śpiewała umocowany był na stojaku, ale mimo to przez cały czas obejmowała go jedną z dłoni. Drugą natomiast, jak gdyby szukając odpowiedniego miejsca, przesuwiała powoli wzdłuż lewego uda. Tak nawiasem mówiąc widok jej ud, podobnie jak i całych nóg sprawiał mi niemałą przyjemność. Miała bowiem czarne, lateksowe, obcisłe spodnie i siedziała w lekkim rozkroku.

Podczas pierwszej piosenki była trochę nieśmiała. Raz tylko odważyła się podnieść wzrok i jakby rozejrzeć po widowni. Dopiero pierwsze oklaski, do których czynnie i ochoczo się włączyłem dodały jej pewności siebie. Przez moment nawet spojrzała na mnie i jakby lekko się uśmiechnęła. Dostrzegłem wówczas błysk w jej ciemnych oczach.

Po drugim utworze (znacznie żywszym, chociaż równie nieznanym dla mnie jak poprzedni) czuła się już niczym ryba w wodzie. Teraz nie prosiła o uwagę, teraz panowała. Część męskiej publiczności opuściła nawet zajmowane miejsca i podeszła pod samą scenę. Przez moment nawet pomyślałem, aby do nich dołączyć, ale prędko zrezygnowałem z tej idei. Może czułem się niepewnie, albo po prostu wypilem zbyt mało piwa.

Następne piosenki były dla mnie powodem do rozczuleń. Bynajmniej tego powodem nie były ich słowa, z których i tak niewiele rozumiałem. Podzielał na mnie widok rozbawionych, tańczących ludzi (o ile wygibasy, które wyprawiali w ogóle można było nazwać tańcem) i sączony małymi łyčzkami złoty trunek. Przez te parę chwil przetoczyło się w mej pamięci całe życie: nauka wszystkich durnych przedmiotów, które zapominałem zaraz po zaliczeniu, moich świętej pamięci rodziców, którzy odważyli się wybrać w podróż, z której się nie wraca oraz cała bezsensowna ekspedycja na pokładzie Nowej Europy, która niejednego z moich znajomych doprowadziła do choroby

psychicznej. Najwięcej jednak moich skołowanych myśli powędrowało ku Sarze. O ile nie rozumiałem powyższych zdarzeń w moim życiu, o tyle kwestii tej jasnowłosej, drobnej angelki nie mogłem pojąć jeszcze bardziej.

Dlaczego właściwie tak to się skończyło? Na początku przecież jeszcze dawaliśmy sobie szanse, przepraszaliśmy się. Później Sara popełniła błąd – chciała przejąć kontrolę nad naszym związkiem. Ja jednak chciałem być zupełnie niezależny i nie pozwoliłem jej na to. Trochę jednak przesadziłem, bowiem w efekcie przestała się mi zwierzać, a później ufać...

Gdybym tylko wyciągnął do niej rękę, powiedział „przepraszam” – wszystko ułożyłoby się inaczej. Wiem jednak, że gdyby ona uczyniła podobny gest – przyjąłbym ją z otwartymi ramionami. Jednak my chcieliśmy być twardzi niczym tytan tworzący Nową Europę i przez to wszystko popsuliśmy.

Gdy dostałem nakaz rocznej anabiozy nie napisałem wniosku o zmianę terminu, ba nawet się nie pożegnałem. Kiedy zaś wyszedłem z „lodówki” ona dla odmiany była zahibernowana. Potem było już za późno na „przepraszam”.

Moje postrzępione myśli pierzchły w nicość w momencie, gdy wróciłem do realnego świata. Może nie tak zupełnie realnego, ale mniejsza o to. Otóż zauważyłem, że długowłosa wokalistka, której parę chwil temu tak intensywnie się przypatrywałem uśmiechnęła się w moją stronę. Przez moment myślałem, że to tylko złudzenie, ale dyskretny rzut okiem na okolicę mojego stolika dał mi do zrozumienia, że w sąsiedztwie jest pusto. Spojrzałem więc w oczy piosenkarki i odwzajemniłem uśmiech. Ona dokładnie w tym samym momencie odwróciła wzrok, jakby nie zauważając, że patrzę. Rzadko mi się coś takiego zdarza, ale nie byłem pewien, czy zrobiła to celowo. Jeśli tak – była mistrzynią kamuflażu, jeśli nie – po prostu miałem pecha.

Po kolejnym utworze obiekt mojego zainteresowania odłożył mikrofon i udał się wraz z całą orkiestrą pod bar. Przez moment obserwowałem jak wymieniają między sobą wrażenia, popijając piwko. Powiedziałem sobie: „teraz, albo nigdy” i ruszyłem. Wiedziałem, że jeśli coś pójdzie nie tak, stracę humor na resztę wieczoru i samotnie się upiję. Chciałem co prawda przez całe życie kierować się zasadą: „Kto nie gra, nigdy nie przegrywa” i spasować, ale przełamałem się.

To ciekawe, znajdowałem się przecież w wirtualnym świecie, moja postać była tylko tworem powstałym z połączenia komputerowych informacji z reakcjami mózgu, a czułem ze strachu najzwyklejszy ból brzucha.

Wiedziała, że mężczyźni otaczający długonogą piosenkarkę patrzą na mnie kpiąco. To jednak było dla mnie mało ważne.

Wyglądała ślicznie, tak jakbym sobie wymarzył. Nie spotkałem w swoim monotonnym życiu nic, co mogłoby równać się z nierealną (czy może nadrealną) urodą tej dziewczyny. Najbardziej podzielało na mnie jej spojrzenie. Nie wyrażało, jak się spodziewałem: „Czego ode mnie chcesz”, tylko mniej więcej: „Myślałam, że już się nie doczekam”.

Początkowo uknułem sobie plan, że zaproponuję jej piwo. Wszystko było okay, do momentu, gdy nie uświadomiłem sobie, że kupowanie komuś trunku, zanim ten skończył poprzedni może okazać się nietaktem.

Na szczęście problem rozwiązał się sam, bowiem wokalistka, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zaproponowała byśmy udali się razem do mojego stolika.

Z jednej strony strasznie się cieszyłem, z drugiej jednak bałem, że za sprawą jakiegoś detalu nadwerzę jej cierpliwość i zawiodę zaufanie, którym mnie obdarzyła. Zastanawiałem się w jaki sposób zagać rozmowę. Czy na początku ją pochwalić, albo może po prostu się przedstawić. Gdy w końcu zdecydowałem się na jeden z powyższych wariantów, kobieta nie dając mi dojść do słowa spytała, wskazując na mój pusty kufel:

— Napijesz się piwa?

Zamiast odpowiedzi wstałem i ruszyłem w kierunku baru, z zamiarem kupna kolejnego trunku dla siebie i nowopoznanej towarzyszki. Jednak ku mojemu wielkiemu zdumieniu, długowłosa dziewczyna wyciągnęła, jakby spod stołu dwa naczynia pełne piwa. Zamaskowałem jak najszybciej swoje zaskoczenie i powróciłem na miejsce.

— Jestem ANN — powiedziała wystawiając ku mnie dłoń. Musnąłem delikatnie jej rękę. Była subtelna i gorąca.

— Paweł — szepnąłem, po czym zdałem sobie sprawę, jak dziwnie brzmi pierwsza wypowiedziana przeze mnie sentencja w obecności dziewczyny. Być może wirtualny alkohol miał nieco silniejsze działanie...

— Gdzie mieszkasz? — zapytałem dla zakamuflowania swojego zakłopotania. Od razu zauważyłem, że przyjąłem dobrą strategię, bowiem ANN uśmiechnęła się.

— Grzeczni chłopcy nie pytają o takie rzeczy — odparła, a uśmiech z jej twarzy nie zniknął ani na sekundę. Zauważyłem, że ma idealnie białe zęby.

— A grzeczne dziewczynki po usłyszeniu takich pytań spuszczają wzrok, rumienia się albo odchodzą obrażone...

Parsknęliśmy oboje śmiechem.

— Jesteś Polakiem? — zmieniła po chwili temat.

— Czyżbym niedostatecznie władał polszczyzną?

— Nie — odparła odwracając głowę i patrząc na mnie swymi brązowymi oczami lekko z ukosa. Nie mogłem rozpoznać, czy było to spojrzenie drwiące, czy też flirtujące. — Tylko ten twój akcent jest taki jakiś...

— ...starodawny — dokończyłem za ANN, widząc jak układa usta do wymówienia głoski „s”.

— Ho, ho, ho — powiedziała z odrobiną ironii przechylając kufel z piwem — jaki z ciebie Sherlock Holmes. Masz może jeszcze coś do powiedzenia na mój temat?

— W zasadzie to nic — rzekłem, a uśmiech na mojej twarzy tworzył już niemal zamknięty okrąg. — Może tylko tyle, że sposób z jakim szacujesz objętość piwa w naczyniu oraz wykonane przez ciebie trzy gwałtowne spojrzenia w kierunku baru świadczą o tym, iż zaraz masz zamiar wrócić na scenę.

Zaskoczyłem ją. Co prawda doskonale się zamaskowała, ale o ułamek sekundy za późno. Wiedziała, że zauważyłem, dlatego od razu przygotowała mi ripostę, która wydała mi się najgłupszą rzeczą, jaką tylko można było wymyślić.

— Skoro pan Paweł jest taki mądry, to może zgadnie... jakiego koloru są moje oczy — powiedziałszy te słowa natychmiast zmrużyła powieki.

Co prawda są rzeczy, w których się mylę (np. liczba wypitych piw). Jest wiele takich, co do których zdarza mi się nie być pewnym. Jednak co do kobiet i ich wyglądu — nie ma dla mnie rzeczy bardziej oczywistej.

— Daj spokój — zaśmiałem się, przykładając do ust chłodne naczynie — przecież nie jestem ślepy...

— Doprawdy? — odrzekła ironicznie, ani na moment nie otwierając oczu. — Wiec jakie?

— Hm — chrząknąłem, zaczynając pomału rozumieć grę, w którą się ze mną bawi. — W normalnych warunkach powiedziałbym, że brązowe, ale... wietrzę w tym jakiś podstęp...

Zielonooka ANN wstała od stolika. Poprawiła sobie opuszkami palców brwi i szepcząc mi „Pawełek będzie grzecznym chłopcem i poczeka, aż jego koleżanka skończy śpiewać” oddaliła się w kierunku siedzącej przy barze orkiestry. Nie patrzyłem w jej kierunku. Złapałem się tylko za głowę i sam do

siebie uśmiechnąłem. Jakby na dokładkę niesamowitych zdarzeń, spostrzegłem, że stojący przede mną kufel jest znowu pełen.

Przez następne kilkanaście – może nawet dwadzieścia parę – minut nic nie istniało, tylko ANN i jej barwny głos. Co prawda spoglądała na mnie z rzadka, ale wiedziałem, że śpiewa tylko dla mnie. Jej głos przeszywał całe pomieszczenie i wypełniał je niepowtarzalnym klimatem. Poczułem się szczególnie wyróżniony w momencie, gdy zadedykowała mi jedną z piosenek, jak się później domyśliłem – ostatnią. Zapowiadając, określiła mnie mianem czarodzieja, który przybył niewiadomo skąd.

Nie zrozumiałem całkowicie, ale utwór opiewał wielką miłość pewnego podróżnika, który zdradził swoją pasję niezależności na rzecz kobiety. Kiedyś był wolny, mógł chodzić dokąd chciał. Z chwilą, gdy spotkał na swej drodze wspaniałą kobietę, przytwierdził się do jednego miejsca. Ballada kończyła się smutno – śmiercią podróżnika, lecz w ostatnim refrenie doszukałem się nutki optymizmu. Brzmiał on mniej więcej tak:

*Nareszcie jesteś wolny, Podróżniku
Możesz udać się w kolejną, najpiękniejszą podróż*

Zadumałem się. Nigdy nie rozumiałem poezji tak jak autor to zaplanował. Prawie każdy utwór traktowałem subiektywnie i doszukiwałem się analogii do własnego życia.

Na szczęście jedno spojrzenie ANN wystarczyło, aby wyrwać mnie z melancholijnego nastroju i przywołać do rzeczywistości. Pożegnała kolegów z orkiestry i ruszyła w moim kierunku. Jej oczy znowu były brązowe, a na twarzy malował się delikatny uśmiech. Nie wiedziałem jak dalej potoczy się dzisiejszy wieczór, jednak jednego byłem pewien – wydarzy się coś niezwykłego.

4

Wyszliśmy ramię w ramię, nie powiedziawszy ani słowa. Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, ANN niespodziewanie skręciła w kierunku damskiej ubikacji, nakazując mi wzrokiem, abym podążył za nią. W normalnych okolicznościach pomyślałbym, że trafiłem na napaloną, niewyżytą seksualnie nimfomanekę. Jednak w jej spojrzeniu dawało się wyczuć, iż nie chodzi tu o jakiś szybki numerek. Z drugiej strony, nawet gdybym się mylił – raczej nie straciłbym na tym interesie.

W lśniącej czyściu łazienko-ubikacji piosenkarka, upewniwszy się, że jesteśmy sami, zatrzymała się kilkanaście centymetrów przede mną. Patrzyła mi w oczy, ale mógłbym się założyć, że nie mnie widziała. Nie był to bynajmniej wzrok obojętny. Po prostu jej uwaga była pochłonięta czymś innym, tak jakby opuściła swoje ciało i załatwiała w odrębnym miejscu jakąś sprawę. Całość trwała może ze dwadzieścia sekund, ale to już wystarczyło...

Niespodziewanie poczułem silny impuls wewnątrz umysłu. Usłyszałem świst i poczułem, jakbym przez ułamek sekundy spadał w ogromną przepaść. W jednej chwili wszystko dookoła zniknęło i natychmiast po tym pojawiło się zupełnie inne otoczenie. Ku memu zaskoczeniu, byliśmy w miejscu z którego przybyłem – na stacji metra.

Zaraz po tym jak wyszedłem z głębokiego szoku, spytałem swoją nową przyjaciółkę, w jaki sposób dokonała tego niezwykłego przemieszczenia. Szczerze mówiąc, nie oczekiwałem wielu wyjaśnień. Jednak powiedziała mi jeszcze mniej niż przewidywałem:

— Mam swoje sposoby...

Uśmiechnęła się, na co ja zareagowałem podobnym gestem. Może nie do końca jej ufałem, ale strasznie mi imponowała.

Weszliśmy razem do jednego z wielu pomieszczeń, przypominających budki telefoniczne. ANN spowodowała, że pojawił się ekran wraz klawiaturą i wstukała coś na niej. Nie byłoby w tym nic dziwnego (sam wcześniej czy później nauczyłbym się podobnych czynności), gdyby nie fakt, że wszystkiego dokonała bez pomocy rąk, jedynie patrząc na klawisze.

Nie pytałem o nic więcej. Nie poczułem się też zbytnio zaskoczony, w momencie, gdy zacząłem rozpląwać się w powietrzu.

5

Pojawiliśmy się w jednym z boksów niewielkiego pomieszczenia, które po wyjściu na zewnątrz okazało się pokrytą lustrami piramidą. ANN prowadziła mnie przez szeroki deptak wzdłuż dziwnie powykręcanych budynków, z których co niektóre swobodnie unosiły się nad ziemią. Cechowała je żywa i różnorodna kolorystyka, chociaż natknąłem się na jeden zupełnie czarny, który nie posiadał (przynajmniej od widocznej przeze mnie strony) ani jednego okna. Największe jednak wrażenie wywarła na mnie mijana kamieniczka, której mury raz po raz zmieniały barwę.

Pochłonięty podziwem nawet nie spostrzegłem momentu, gdy ANN przestała iść i zaczęła... lewitować. Westchnąłem z podziwu, a ona uśmiechnęła się do mnie tak ślicznie, że momentalnie przestałem zwracać uwagę na otaczające mnie cuda architektoniczne.

Muszę przyznać, że w swobodnym unoszeniu się w powietrzu (o ile takowa mieszanina gazów rzeczywiście znajdowała się w wirtualnym świecie) ANN była prawdziwą mistrzynią. Poruszała się bowiem ze stałą prędkością idealnie dorównując mi tempa, jednocześnie nie zwracając na to najmniejszej uwagi. Lewitacja była dla niej czymś tak pospolitym i naturalnym, jak dla mnie chodzenie. Drażnił mnie jedynie fakt, że patrzyła na mnie z góry.

— Jak to robisz? — powiedziałem nie wytrzymując z ciekawości, jednocześnie zdając sobie sprawę, że zadając niniejsze pytanie mogłem popełnić nietakt.

ANN zamiast odpowiedzi ponownie się uśmiechnęła odsłaniając przede mną rząd białych zębów:

— Bardzo dobrze.

I ja się uśmiechnąłem, postanawiając nie pytać już o nic więcej. Zająłem się obserwacją umieszczonych na środku długiego deptaku fontann i donic z kwiatami. Ku memu zdumieniu (choć określenie zdumiony od czasu, gdy administrator zamknął mnie w dziwnej skrzynce, zaczynało w moim słownictwie coraz mniej znaczyć) w niektórych z nich zamiast róż czy bratków przechadzały się krasnoludki. Zauważyłem też w jednej z wypełnionych ziemią, marmurowych mis, walczące między sobą ołowiane żołnierzyki.

„Ładnie” – pomyślałem sobie i zacząłem się zastanawiać, co odpowiedziałbym, gdyby przypadkiem drzewo, do którego do którego się zbliżaliśmy zapytało mnie: „Jak leci?”

Na szczęście wyminięta roślina zachowywała się normalnie – to znaczy nie poruszała się i milczała. Chociaż może był to tylko przebiegły bot, który tylko udawał drzewo?

Z płątaniny myśli, które przestawały już zawierać nawet odrobiny sensu, wyrwała mnie atrakcyjna blondynka w skąym różowym stroju, która wyszła z bramy raz-różowej-raz-żółtej kamienicy. Adorował ją rosły młodzik uczesany na jeża.

— Cześć ANN — krzyknął w naszym kierunku.

Spostrzegłem na jego ustach wyjątkowo durny uśmiech i pomyślałem sobie, że musi być głupi jak bot.

Moja towarzyszka życzliwie odwzajemniła pozdrowienie i jednym ruchem gałki ocznej przeteleportowała się ku znajomym. Przez moment wahałem się

czy podejść, ale ostatecznie dałem sobie spokój. Tym bardziej, że gdyby zależało ANN, przeniosłaby mnie wraz z sobą, tak jak zrobiła to na warszawskiej starówce.

Po wymianie kilku zdań dziewczyna pożegnała swych rozmówców i zmaterializowała się po mojej lewej stronie. Nie powiedziałem ani słowa, ale spojrzałem na nią z pytaniem w oczach. ANN najwyraźniej zrozumiała moją obawę przed zadawaniem kolejnych pytań. Pospieszyła więc z wyjaśnieniami.

— To Baku-Baku, koleś którego nigdy jeszcze nie widziałam nienajarangeo. Poderwał jakąś nową laskę...

— Fajny gość — podsumowałem z ironią.

Mój ton najwyraźniej zdenerwował dziewczynę. Przylewitowała przede mną, zmuszając abym spojrzał jej prosto w oczy.

— Jesteś tu obcy, nie znasz nas, ani naszych obyczajów, a już krytykujesz... — powiedziała takim poważnym tonem, że aż zrobiło mi się przykro.

— Przepraszam — wyszeptałem spuszczać wzrok.

Wówczas stało się coś, co zaskoczyło mnie totalnie. ANN przestała lewitować, stanęła obok mnie i... chwyciła mnie za rękę.

Podążając dalej skręciliśmy w jedną z bocznych uliczek, nie przerywając ani na moment uścisku dłoni. Zabudowa przerzedziła się, dzięki czemu znacznie wzrosło pole widzenia.

Miasteczko cechowało się dużą nierównością terenu. Budynki były nieliczne, ale za to ogromne i piękne. Przeplatały je stonowane połacie zieleni. Nie to jednak najbardziej mnie poruszyło.

Nieopodal, na jednym z wyższych wzgórz spoczywał ciemny, niemal zupełnie czarny monument. Był to ogromny zamek, z wysoką, kilkudziesięcio – może nawet stu – metrową wieżą, której szpiczasty dach rozcinał niebo.

Jednak ten widok również nie był rzeczą, która poruszyła mnie najbardziej. Tan naprawdę wgniotło mnie w ziemię dopiero wypowiedziane skromnym głosem stwierdzenie ANN:

— Tam mieszkam. Sama go wykreowałam.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1

Tańczący ogień w kominku był jedynym źródłem światła w salonie. Otaczały mnie marmury i miękkie kanapy. Pod ścianami zaś stały złote posągi. Jednak dziewięćdziesiąt pięć procent mojej uwagi pochłaniało co innego...

ANN siedziała przede mną, opierając się plecami o moją klatkę piersiową. Gładziłem i całowałem jej długie włosy, od czasu do czasu przejeżdżając dłońmi wzdłuż jej szczupłej talii. Oddała się całkowicie pieszczotom, raz po raz odwracając głowę i ocierając się o mnie policzkami.

— Zjemy coś przedtem? — spytała szepcząc mi do ucha.

Mimowolnie musiałem się uśmiechnąć. Byłem co prawda głodny, ale bez wahania odparłem:

— Po TYM.

2

Zmiana pomieszczenia ani na moment nie ostudziła drzemiących w nas żądz. Rozebrałem ANN, nie wysuwając ani na moment języka z jej ust. Zacząłem pieścić jej gorące piersi, ale odepchnęła mnie delikatnie, po czym położyła się na przezroczystym, sypialnianym łóżku. Delektowałem się widokiem jej ciała, przyodzianego wyłącznie w białe, lśniące pończoszki, wykończone ozdobną koronką. Pstryknęła palcem, a paznokcie u jej dłoni zaczęły lśnić, jakby płonął w nich ogień. Następnie rozsunęła nogi, odsłaniając najbardziej pożądany przeze mnie punkt swego ciała. Patrzyłem na nią łakomie.

Każdy ruch dłoni ANN powodował, że w powietrzu, przez ułamek sekundy pozostawały jasne smugi światła, ciągnące się od jej ognistych paznokci. Wstałem i zacząłem się rozbierać, ale dziewczyna jednym spojrzeniem wyręczyła mnie z tego obowiązku. W ułamku sekundy zniknęły ze mnie wszystkie ubrania i pojawiły się przy łóżku, złożone w kostkę.

Spojrzałem na swoje naprężone mięśnie. Ku memu zaskoczeniu miały dużo większe gabaryty niż w rzeczywistości. Byłem ciekawy czy tak był zaprogramowany model, w którego się wcieliłem, czy też maczała w tym swe płonące palce ANN.

— Jak tam rycerzu? — spytała kuszącym tonem. — Jesteś gotowy do turnieju?

— Mhm — przytaknąłem, kładąc się obok niej.

— Tylko uważaj, bo jestem mistrzynią w tej konkurencji.

— Na razie panuję nad sytuacją — odparłem pewnym głosem, wplatając dłonie w lśniące, czarne włosy dziewczyny.

Wysunąłem koniuszek języka i przejechałem nim po policzku ANN. Wtuliłem się w nią i kochaliśmy się długo i namiętnie. Gdy szczytowała, dostrzegłem w jej oczach jasność. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale wiercie mi – jej oczy nie lśniły, lecz świeciły!

Przez kilkadziesiąt sekund trwaliśmy w bezruchu. Po upływie tego czasu partnerka spojrzała na mnie już normalnymi oczami i spytała zasapanym, aczkolwiek pewnym siebie głosem:

— I jak tam rycerzu po rozgrzewce? Czy jesteś gotowy do rozpoczęcia pierwszej rundy?

— Nigdy nie byłem w lepszej formie — odparłem z uśmiechem, jednocześnie zastanawiając się do czego może być zdolna ANN, skoro nasze dotychczasowe przeżycia określiła mianem „rozgrzewki”.

Przyznam, że czułem się niczym algorytm programu, który po wykonaniu określonej procedury natrafił na komendę: „czynność powtórzyć”.

Po kolejnym razie zrobiliśmy sobie dłuższą przerwę. ANN usiadła i zmaterializowała sobie w rękę zapalonego papierosa. Paliła powoli, delektując się każdym pociągnięciem, a gdy skończyła spojrzała mi z uśmiechem w oczy i zwróciła się zaczepnie:

— Oj, rycerzu, rycerzu — westchnęła. — Zadziwiasz mnie...

— Jeszcze niejednym cię zaskoczę — odparłem z uśmiechem.

Jednym spojrzeniem otworzyła szafę. Stało w niej kilkanaście ułożonych w szeregu plastikowych pudełek, wyglądem przypominających okładki z płytami HD-DVD.

— Teraz zabawimy się troszeczkę inaczej — szepnęła.

Jedno z plastikowych pudełek zniknęło nieoczekiwanie i w tej samej chwili pojawiło się w dłoni ANN. Dziewczyna otworzyła je, w efekcie czego tuż obok nas pojawił się wysoki, dobrze zbudowany i zupełnie nagi mężczyzna.

— To John — powiedziała z uśmiechem — mój ulubiony seks-bot. Co powiesz na mały trójkącik?

— Brr — wzdrygnąłem się na samą myśl — Za żadne skarby świata!

ANN zrozumiała mnie całkowicie. Otworzyła ponownie pudełko, wcisnęła jakiś przycisk, dzięki czemu John zdematerializował się.

— A co powiedziałbyś na trójkącik: „dwie plus jeden”?

W odpowiedzi na mych ustach pojawił się uśmiech. Dziewczyna jednym ruchem gałki ocznej odłożyła pudełko i przywołała inne. Po uruchomieniu pojawiła się jasnowłosa piękność – jak można było przewidzieć – w stroju Ewy. Jej ciało było równie nieskazitelnie piękne, co ANN. Położyła się na łóżku pomiędzy mną, a moją partnerką.

ANN przywołała stojącą w pobliżu pudełek z seks-botami plastikową butelkę z olejkim i wylała część jej zawartości na brzuszek wirtualnej kochanki.

— To Virginia — oświadczyła ANN. — Jest trochę nieśmiała, ale zaraz dodamy jej odwagi.

Rzeczywiście pod wpływem naszych ciepłych dłoni botka zrobiła się dużo odważniejsza.

Gdy po kolejnym udanym szczytowaniu odwołaliśmy bota, ANN ponownie spaliła papierosa. Tym razem i ja – co mam w zwyczaju czynić niezwykle rzadko – skusiłem się na spożycie w podobny sposób porcji nikotyny.

Widziałem, że moja przyjaciółka najwyraźniej ma już dosyć. Ja co prawda byłem zmęczony, ale nie aż tak, żeby przewrócić się na drugi bok i zasnąć. Chciałem też za wszelką cenę udowodnić jej, że jestem od niej lepszy.

— Jak tam, jesteś gotowa do kolejnego starcia? — spytałem, starając się ukryć zmęczenie.

— Nigdy nie byłam w lepszej formie — odparła cytując jedną z moich poprzednich sentencji. Wiedziałem, że udaje. Mało tego, byłem pewien, że prędzej umrze z wycieńczenia, niż przyzna się do słabości.

Zgasilem pospiesznie papierosa, po czym wskoczyłem na ANN, powodując że przeszła z pozycji siedzącej w leżącą. Usłyszałem suchy trzask i na ułamek sekundy zrobiło mi się ciemno przed oczami. Gdy wszystko wróciło do normy, spostrzegłem ze zdumieniem, że leżę na plecach, a moja niesamowita towarzyszka znajduje się na mnie.

ANN z pewnością spodziewała się, że ujrzy w mej twarzy jakąś oznakę zachwyty. Ja natomiast – trochę z przekory i nieco z faktu, że z chwili na chwilę coraz mniej rzeczy mnie dziwiło – nie uzewnętrzniałem żadnej reakcji.

Była najwyraźniej rozczarowana, ale z grobową miną próbowała dalej (naturalnie nie przerywając ani na moment wykonywanej na spółkę ze mną czynności). W jednej chwili zrobiła się bardzo ciężka, albo – co również bardzo prawdopodobne – po prostu zwiększyła grawitację. Nie miałem już siły udawać, że nie robi to na mnie wrażenia, więc powiedziałem z nieco przesadzonym zachwytem:

— Wow!

ANN uśmiechnęła się odsłaniając przede mną rząd białych zębów. Odwzajemniłem gest, po czym przyspieszyłem szaleńczy rajd, spalając ostatnie zapasy energii. Nie trudziliśmy się tym razem na różnorodność. Na szczęście doszliśmy błyskawicznie.

Zdyszana ANN, która w jednej chwili wróciła do normalnej wagi zsunęła się z mego spoconego ciała. Leżąc u mego boku, pocałowała mnie w policzek. Wtuliłem się w nią i wsłuchany w szybki oddech pogrążyłem w odmętach snu.

3

Tamtej pamiętnej nocy nie było jednak dane nam tak po prostu zasnąć. Gdy tylko odzyskaliśmy odrobinę sił, na pierwszy plan wysunęła się drzemiąca w nas od dłuższego czasu, zupełnie inna potrzeba.

ANN przeniosła nas do salonu. Pomału zacząłem przyzwyczajać się do znikania i pojawiania w różnych dziwnych miejscach i pozycjach. Siedziałem w swoim ubraniu przy stole, na którym uśmiechała się do mnie gorąca, ogromna pizza.

Człowiek to dziwne stworzenie. Każde zwierzę, gdy jest głodne i widzi przed sobą jedzenie, po prostu nic się nie zastanawiając rozpoczyna konsumpcję. Człowiek natomiast, nawet gdy jest sam, sili się na szereg gestów i ceremonii, aby wprawić się w nastrój odpowiedni do posiłku. Tak właśnie było w naszym przypadku.

Usiedliśmy przy stole i zanim przystąpiliśmy do jedzenia uśmiechnęliśmy się do siebie. Delikatnie musnąłem ANN wzdłuż uda. Miała cienką, luźną pidżamę w błękitne kwiatki. W zamian pocałowała mnie w policzek. Nikt z nas nie śmiał poczęstować się pierwszy. W końcu przełamałem się. Wziąłem kawałek pizzy i... podałem go swojej partnerce. Uśmiechnęła się jeszcze bardziej i uczyniła podobny gest.

Oboje jedliśmy powoli, starając się robić to jak najładniej. Jedyną rzeczą, która zdradzała nasze wilcze apetyty było towarzyszące nam milczenie oraz braki przerw pomiędzy kolejnymi kawałkami.

Gdy większość placka została przez nas pochłonięta, ANN jednym spojrzeniem na żyrandol zmieniła barwę światła na zieloną i znacznie obniżyła jego natężenie. Usiadła na miękkiej sofie, a ja od razu dołączyłem do niej.

Siedzieliśmy raz po raz spoglądając sobie w oczy. ANN miała nogi podkurczone pod siebie i lekko muskała mnie kolanami. Zacząłem snuć opowieść o Nowej Europie i o całej naszej bezsensownej wyprawie. Bałem się, że moja historia zanudzi ją na śmierć, ale na szczęście do tego nie doszło. Mimo olbrzymiego zmęczenia poświęcała mi całą uwagę.

Nawet nie zauważyłem momentu, gdy od suchych historyczno-naukowych wywodów dotarłem do wątków osobistych. Przeszedłem samego siebie opowieściami o młodzieńczych przygodach. Mojej partnerce najbardziej spodobała się historia, w której po całonocnej popijawie odczytałem w swoim multikomunikatorze zaległą wiadomość zawierającą nakaz hibernacji. Nie miałem wyjścia – nakaz, to nakaz! Poszedłem więc chwiejnym krokiem do anabiozerni i dałem się „zapuszkować”. Najciekawsze w tym było jednak to, że gdy po piętnastu latach wyszedłem z „lodówki” – miałem jeszcze kaca!

W momencie, gdy wypowiedziałem ostatnie zdanie ANN parsknęła śmiechem. Po chwili dołączyłem do niej.

Opowiadałem jeszcze długo, wybierając te fragmenty mojego życia, które uważałem za najciekawsze. Starłem się robić to bez pośpiechu, bowiem nie chciałem zupełnie wyekspluatować swoich złóż. Dziewczyna słuchała mnie uważnie, raz po raz wtrącając komentarze (najczęściej złośliwe, ale mniejsza o to). Zmieniła pozycję kładąc głowę na moich kolanach. Gładziłem jej długie, lśniące włosy i szeptem odsłaniałem kolejne blaski i cienie swojego życia. Czułem lekką obawę, czy wykładając na stół tak dużą ilość kart nie zrażę do siebie ANN. Nie chciałem przecież, aby nasza znajomość skończyła się tak po prostu – po jednej nocy.

W momencie, gdy jedna z moich opowieści zawędrowała do Greensloty, dziewczyna odebrała mi głos. Mówiła o tym, co wydarzyło się w Zjednoczonej Europie i na świecie w minionym tysiącleciu. Jej punkt widzenia wprawdzie daleki był od historycznego, ale nie o to przecież chodziło. Dowiedziałem się, że w niedługim czasie po starcie mojego krążownika (XXIII wiek) znacznie rozwinęła się wirtualna rzeczywistość. Wprawdzie rodzice opowiadali mi, że coś takiego istniało już wcześniej, niemniej jednak było to dalekie od ideału. Cały problem polegał na tym, że świat symulowany w dawniejszych urządzeniach tego typu był kreowany za pośrednictwem narządów wzroku, słuchu oraz dotyku, przez co był niedoskonały i bardzo ograniczony. Dopiero w trzeciej dekadzie XXIV wieku, po wieloletnich i kosztownych badaniach naukowcy w USA skonstruowali urządzenie, które zasłużyło na miano przełomowego. Oficjalnie nazywało się VR 2327, ale w mediach przytaczano mu określenie „generator marzeń”.

W jego skład wchodził superszybki komputer oraz instrument, który przymocowywało się z tyłu głowy, u szczytu rdzenia kręgowego. Podłączony do niego użytkownik, po wprowadzeniu się przy pomocy środków chemicznych w odpowiedni trans, odbierał wirtualny świat bez pośrednictwa zmysłów. Wrażenia, jakie VR 2327 wywierał na użytkownikach były wręcz porażające. Co ciekawe – wszystkie realne ruchy ciała były na czas sesji niemal całkowicie tłumione.

Początkowo generator marzeń był wykorzystywany wyłącznie w celach militarnych. Gdy spadły koszty produkcji i zastosowano miniaturyzację stopniowo zaczął trafiać „pod strzechy”, jako urządzenie do wirtualnego seksu. Oczywiście natychmiast zaczęły krytykować go niektóre środowiska lekarskie, nie wspominając o stowarzyszeniach religijnych, które próbowały doprowadzić do zakazu produkcji. W efekcie przyniosło to wręcz odwrotny efekt i w czwartej dekadzie nie było praktycznie człowieka, który nie słyszałby o VR 2327.

Jednak nie ma się co okłamywać, żaden wirtualny świat nie mógłby się rozwinąć na szerszą skalę bez szybkiej sieci i uniwersalnego systemu. O ile pierwszy z wyżej wymienionych warunków był spełniony (dziewięćdziesiąt procent użytkowników Worldnetu korzystało z urządzeń światłowodowych o transferze 32 terabitów na sekundę), to drugi był daleko w polu.

Firma, która wykupiła Microsoft i prawa do królującego wówczas Windows 3D, procesowała się przez jedenaście lat z przedstawicielami amerykańskiego rządu, próbując udowodnić, że nie jest monopolistą. W końcu ten proces przegrała...

Dzięki temu kilkanaście światowych koncernów opracowało własne systemy operacyjne. Co ciekawe – dzięki udostępnieniu kodu źródłowego, większość z nich była niemal w stu procentach kompatybilna w Windowsem 3D.

Z połączenia generatora marzeń, szybkiej sieci i uniwersalnego systemu powstały pierwsze MUD'y, czyli wirtualne obszary, w których spotykali się użytkownicy. Początkowo byli nimi tylko pasjonaci, później poszukiwacze

nowego stylu życia i miłośnicy mocnych wrażeń. Z dnia na dzień powstawały dziesiątki MUD'ów, w których można było poflirtować, bądź przytulić się do osoby z drugiego końca świata.

Sceptycy jak zwykle byli przeciwni. Nazywali VR 2327 generatorem złudzeń i potępiali jego entuzjastów – jak można się było domyśleć – z odwrotnym skutkiem.

MUD'y szybko się rozwijały. Po kolorowych parkach i zielonych łąkach nastąpił rozkwit działek na księżycu, centrów erotycznych, torów z wyścigami superszybkich pojazdów, poligonów wojskowych, westernowych miasteczek itp. Doznania odwiedzających je użytkowników dorównywały niemal całkowicie realnym przeżyciom i miały niezliczoną liczbę zalet. Największą z nich był fakt, że pilotując helikopter, bądź wyzywając kogoś na rewolwerowy pojedynek, nie ryzykowaliśmy zdrowia, ani życia. Poza tym, każdy wybierając dany MUD mógł wcielić się w dowolną postać. Likwidowało to kompleksy typu „jestem za stary”, „mam za grube uda”, „nie toleruję swojej płci”, etc.

MUD'y były jednak tylko początkiem – bądź mówiąc dokładniej – tylko kamykami pod budowę ogromnego obiektu, zwanego początkowo WorldMUD'em, istniejącego po dziś dzień pod nazwą wirtualny świat.

Wspomniany wytwór połączył wszystkie, najlepsze MUD'y w jeden, nadając im względem siebie odległości. Tu trzeba podkreślić, że takowe posunięcie zamiast spodziewanej rewolucji wprowadziło chaos. Sąsiadujące obszary oddziaływały na siebie powodując różne anomalie typu trolle wchodzące na linię ognia ufoludkom, nie wspominając o takich „drobiazgach” jak wybuchy nuklearne. Dlatego po niespełna trzech latach funkcjonowania WorldMUD'a podzielono go na trzy równoległe istniejące światy.

Pierwszym z nich został Quasireal – nazywany obszarem klasy „A”. Zaprojektowano go z myślą o odzwierciedleniu prawdziwego świata, z całkowitym zachowaniem praw fizyki. Co prawda granice pomiędzy realnym, a nierealnym są bardzo płynne, jednak zostały one racjonalnie wyaprosymowane. Tak więc po dziś dzień w Quasirealu nie ma lewitacji, teleporterów, zmniejszaczy przedmiotów, dematerializatorów, generatorów materii, ani tym podobnych urządzeń.

Kolejny z trzech równoległych światów nazwano Eposquantin. Zyskał on sobie ogromną popularność dzięki lekkiemu nagięciu praw fizyki. Nawiązywał w pewnym stopniu do świata magii, bazując na odwiecznych marzeniach ludzkiej populacji.

Eposquantin (albo jak kto woli – świat klasy „B”) z roku na rok zyskiwał coraz większą popularność. Przyciągał perfekcyjnie zaprojektowanymi miastami, zaludnionymi częściowo przez inteligentne i sympatyczne boty. Na każdym kroku użytkownik napotykał technikę, kuszącą urządzeniami, działającymi niekiedy wbrew prawom fizyki.

Dla koneserów mocnych wrażeń powstał Hardcore (świat klasy „C”), w którym zerwano ze wszystkimi konwencjami. Jego najbardziej wyszukane fragmenty cechowały się obniżoną, a niekiedy nawet odwrotną grawitacją. Co ciekawe – w Hardcorze nie istniała zasada zachowania proporcji, ani ciągłości przestrzeni. Zjawisko to objawiało się występowaniem pomieszczeń o większych wymiarach po stronie wewnętrznej, aniżeli na zewnątrz. Natomiast kwestia przedmiotów istniejących w niniejszym świecie była ograniczona jedynie wyobraźnią ich projektantów. Nikogo nie dziwiły więc kieszonkowe pokrowce na samoloty, pigułki na przechodzenie przez ściany ani orangutany w sprayu.

Aby uniknąć niepotrzebnego bałaganu, przy przemieszczaniu między światami nie stworzono możliwości przenoszenia żadnych przedmiotów. Poza tym powstały restrykcje, zakazujące osobom niepełnoletnim wchodzenia do

Hardcore'u i niektórych miejsc w Eposquantinie. To jednak nie było wszystko. Ludzie mając świadomość, że świat w którym przebywają jest nieprawdziwy – zachowywali się tak, jakby ustalone w nim prawa i zasady postępowania w ogóle nie istniały. Początkowo wprowadzono kary pieniężne za poważniejsze wykroczenia oraz za umyślne spowodowanie „śmierci” (sfragowanie) innego użytkownika lub siebie samego. Poza tym, po takim zejściu każdego „denata” obowiązywał zakaz wstępu do świata, w którym został sfragowany, przy czym w Eposquantinie obowiązywał on przez jedną dobę, a w Quasirealu – aż trzy. Zakaz nie dotyczył Hardcore'u.

Powyższe środki okazały się jednak niewystarczające, ponieważ użytkownicy nie czując na sobie wzroku stróża porządku, niechętnie przestrzegali prawa. Stworzono wówczas specjalną policję, ale i to nie przynosiło oczekiwanej poprawy sytuacji.

Porządek zapanował dopiero po dwudziestu latach od utworzenia wirtualnego świata, gdy pojawili się pierwsi Kreatorzy. ANN niechętnie i niewiele o nich mówiła, tak jakby miała niemiłe wspomnienia z tymi tworcami. Dowiedziałem się od niej tylko tyle, że byli stróżami prawa o ogromnych możliwościach, mający własne zasady i honor. Byli czymś na obraz średniowiecznych rycerzy, posługujących się mieczem i magią. Najbardziej niesamowite określenie na ten temat, które udało mi się „wydusić” z ust mej przyjaciółki brzmiało: „Kreatorzy to sen na jawie”.

Nie powiedziała mi tego, ale wiedziałem, była jedną z nich...

Gdy w wirtualnym świecie nastał porządek, jego popularność stała się większa niż radio, telewizji, a nawet klasycznego Worldnetu. Co ciekawe – powstały pierwsze wirtualne firmy, w których ludzie mogli pracować niezależnie od części świata, w którym się znajdowali. Zestawy VR 2327 oraz jego następców wytwarzano coraz tańsze i mniejsze. Z czasem stały się niezbędnikiem w niemal każdym domu. Niosło to jednak za sobą kolejne zagrożenie.

Użytkownicy (głównie młodszy) szybko przystosowali się do reguł rządzących wymagowanym światem. Jednak po pewnym czasie przyzwyczajenie przeobrażało się w nałóg. Świat wirtualny kusił oderwaniem od szarej codzienności. Każda chwila spędzona w ponurym, realnym świecie; każde spojrzenie w zniechęczone, lustrzane odbicie powodowało tęsknotę za pełną blasku i kolorów nierzeczywistością.

Kiedy w 2348 roku wirtualny świat zaoferował swym użytkownikom pełen wachlarz zapachów, granica pomiędzy realnym, a nierealnym została raz na zawsze zatarta. Nie było już od tego czasu na świecie miejsca, ani żadnego przedmiotu, którego nie dałoby się wiernie odtworzyć w sposób wirtualny. Nastała wówczas moda na tworzenie replik najsłynniejszych obiektów, dzielnic, a z czasem nawet miast. Ludzie oszaleli na punkcie wycieczek do komputerowo wykreowanych miejsc. Wszystko było tam takie proste, piękne oraz przede wszystkim tanie.

Skoro już mowa o pieniądzu, to zestawy VR 2327 i jego następców staniały niemal stukrotnie. Jednocześnie wprowadzono na rynek VR 24H – urządzenie, które umożliwiło przebywanie w wirtualnym świecie niemal przez całą dobę. Posiadało ono wbudowany dozownik pożywienia, umożliwiało samoczynne wydalanie, a także zawierało podzespoły niwelujące efekt zesztywnienia nieużywanych mięśni.

Konsekwencją tego było powstanie nowej grupy społecznej, żyjącej prawie wyłącznie w nierealnym świecie. Tam mieszkali, pracowali, a nawet brali śluby...

Przedstawiciele władz kościelnych początkowo ostro krytykowani wspomniany typ życia, ale z chwilą powstania wirtualnych kościołów,

meczetów, synagog i tym podobnych obiektów, rozszerzyli patronat duchowny na świat wirtualny. Zaistniało więc poparcie ze strony władzy, mediów i kościoła. Czy trzeba było czegoś więcej?

Minął niespełna wiek, a liczba całodobowych użytkowników wirtualnego świata ciągle rosła. Gdy osiągnęła trzydzieści procent populacji, świat realny zaczął się zmieniać. Spadło zapotrzebowanie na wiele produktów (na przykład klasyczne jedzenie). Większość megakorporacji, którym udało się uniknąć splajtowania zmieniła branżę.

Świat dążył do unierealnienia i w końcu je osiągnął... W ostatnich dwóch wiekach trzeciego tysiąclecia klasyczny przemysł zatrzymał się, a dziewięćdziesiąt procent ludzi zrezygnowało z tradycyjnych mieszkań na rzecz ogromnych obiektów, będących skupiskiem tysięcy VR 24H. Nazwano je Worldgeneratorami, a ja znajdowałem się we wnętrzu jednego z nich...

Ilość informacji, którą uraczyła mnie ANN z pewnością była zbyt duża, jak na jedną noc. W mej głowie narodził się ogromny mętlik, narastający z każdą nową myślą.

4

Zbudziłem się nieco zdezorientowany. Potrzebowałem kilkunastu sekund, by uzmysłwić sobie, gdzie się znajduję i co ostatnio robiłem. Sypialnia wyglądała tak samo jak w momencie, gdy kładłem się spać, z małym tylko wyjątkiem. Na środku, nieopodal łóżka swobodnie unosiły się literki „utkane” z dymu. Napis, który tworzyły głosił:

Dzisiaj mam dyżur. Spodziewaj się mnie w okolicach 4 p.m. Chciałam Cię rano pożegnać, ale tak słodko spałeś, że nie miałam sumienia Cię budzić. Śniadanie czeka w salonie. Życzę smacznego! Proszę, czuj się jak u siebie w domu.

Twoja ANN

P.S. - Dziękuję za upojną noc.

Dokładnie przestudiowałem każdy wyraz. Z tego co zauważyłem, polski zmienił się nie tylko w formie ustnej.

Rozpędziłem ręką literki, po czym ubrałem się i pospiesznie ruszyłem w kierunku salonu, w którym kilka godzin temu spożywałem mocno spóźnioną kolację. Stół zastawiony kilkunastoma rodzajami potraw robił wrażenie, zwłaszcza na kimś, kto przez całe życie żywił się hamburgerami i zupami w proszku.

Po obfitym posiłku postanowiłem przejść się po zamkowych komnatach. Ich ogrom zaskakiwał mnie tym bardziej, że Nowa Europa zajmowała mniej więcej podobną przestrzeń, a przecież mieszkało na jej pokładzie przeszło półtora tysiąca osób!

Największe wrażenie wywarła na mnie ogromna sala projekcyjna, której ekran gabarytami nie odbiegał zbytnio od przeciętnego kortu tenisowego. Urzekło mnie też studio muzyczne, wypełnione po brzegi instrumentami, w którym samych gitar naliczyłem przeszło dwadzieścia. Długo się opierałem, ale w końcu drzemiąca gdzieś głęboko potrzeba wzięła nade mną górę. Chwyciłem w dłoń gitarę i zagrałem akord a-mol, będący jednym z dwóch, które znam. W zasadzie to gitarę trzymałem trzy, może cztery razy w życiu. Ostatni raz miałem przyjemność robić to na trzysetnych urodzinach Helmuta. Solenizant poprosił wówczas, żebym zrobił coś dla muzyki i przestał grać. Ktoś z gości powiedział mi natomiast, że osoba mojego pokroju powinna rozwijać swój „talent” w samotności. Hm, muszę przyznać, że oboje moi krytycy całkowicie mieli rację...

Gdy już wystarczająco nacieszyłem wzrok niezliczoną ilością salonów, zbrojowni i bibliotek – wszedłem na wieżę. Co prawda bardzo podobały mi się marmurowe schody prowadzące na jej szczyt, jednak mimo wszystko wybrałem przejażdżkę windą. Była szklana i znajdowała się w przezroczystym szybie, umieszczonym na zewnątrz budynku. Z każdą chwilą i każdym metrem widok coraz bardziej ekscytował, a wysokość zaczynała przerażać.

Może to dziwne, bowiem spędziłem całe życie w kosmosie, a mimo to cierpiałem na lęk wysokości. Nie byłoby jednak w tym nic niesamowitego, gdyby nie fakt, że dowiedziałem się o tym dopiero teraz.

Widok ze szczytu wieży urzekł mnie. Co prawda, czułem na sobie dreszczyk spowodowany wysokością, niemniej jednak nie przeszkodziło mi to w delektowaniu się urokliwym miasteczkiem. Wspomniane miejsce miało przyjazny klimat, do tego stopnia, że przed oczami przetoczyło mi się całe dzieciństwo. Dzieciństwo, którego nigdy nie miałem...

Łezka zakręciła mi się w oku, kiedy patrzyłem na zielone połacie, na których stały różnorodne budynki, idealnie wkomponowane w otaczającą przyrodę. Czułem powiew orzeźwiającego wiatru. Spoglądałem zmrużonymi oczyma w słońce, które zawsze kojarzyłem z niewielkim, jasnym punktem, obserwowanym przez chłodne wizjery Nowej Europy. Teraz wyglądało zupełnie inaczej. Czułem bijące ciepło, doświadczałem jego piękna.

Błękit nieba oślepiał mnie. Zachwycąłem się przecinającym je sznurem ptaków. Wszystko było takie urocze i piękne. W całym otoczeniu nie było nic niepotrzebnego. Dobrze wiedziałem, że to co widzę nie istnieje w fizycznej postaci, tylko w umysłach: moim oraz ludzi, na których sylwetki właśnie spoglądałem. Jednak od razu przetoczył się przez mą głowę szereg pytań. Pytań nigdy nie wypowiedzianych... Pytań, na które każda odpowiedź okazywała się błędną...

Gdzie jest granica pomiędzy realnym, a nierealnym? Czy takowa w ogóle istnieje? A jeśli naprawdę jej nie ma, to kim wówczas jest człowiek? Czy jego wygląd, sprawność albo model ciała to tylko kwestia przyzwyczajenia, bądź mody? A jeśli nawet tak, to czy o kimś takim można powiedzieć, że jest nieprawdziwy? Że jest kim chce, że mieszka gdzie chce... to zaraz nieprawdziwy? A może jest nawet bardziej prawdziwy od tego, który żyje w normalnym świecie? Chociaż tak naprawdę stwierdzenie „normalny świat” dawno przestało być synonimem „realnego”. Normalny – to taki, w którym żyje większość. Innymi słowy świat wirtualny jest teraz światem normalnym. Tutaj nasuwa się kolejne pytanie: czy to jest dobre?

Człowiek to tylko on sam, a nie jego rzeczy, nawet nie jego ciało... Jednak z drugiej strony człowiek to też otoczenie... Otoczenie złożone z innych ludzi oraz przedmiotów, których naprawdę potrzebuje i takich, które po prostu chce posiadać. Czyli jednak człowiek to nie tylko ego...

Poza tym docierał do mej świadomości fakt, że nie można żyć w dwóch światach jednocześnie. Na początku na pewno można podzielić swój czas, ale w jakimś momencie należy dokonać wyboru – po prostu się określić. Obawiałem się, że chwila podjęcia mojej decyzji zbliżała się coraz większymi krokami. Co gorsza – bałem się jej.

Gdy tak spoglądałem na okoliczny pejzaż, żal mi się zrobiło, że całe życie spędziłem w wąskich, bezdusznych korytarzach Nowej Europy. Przykro było mi, że straciłem swoje najpiękniejsze lata.

I wówczas stało się coś nieoczekiwanego. Zrozumiałem i uwierzyłem!

Przecież uczucia nie są wirtualne! Na przykład radość, czy miłość jest prawdziwa, niezależnie od czasu i miejsca... podobnie jak ból i cierpienie. Każda spływająca łza, obojętnie czy w świecie realnym, czy wirtualnym zawsze pozostanie tą samą łzą.

Otarłem policzki i wyciągnąłem ręce przed siebie. Spojrzałem na świat, na mój świat.

5

Kiedy wystarczająco nacieszyłem wzrok widokiem wszystkich dostępnych pomieszczeń, udałem się do sypialni. Wspomnienia minionej nocy ożyły we mnie, a przyćmione pałacowym blaskiem pragnienia ponownie się zbudziły. Podeszedłem do półki z seks-botami – bądź co bądź ANN napisała mi, abym czuł się jak u siebie w domu.

Wprawdzie większość botów widniejących na okładkach pudełek była mężczyznami, jednak udało mi się znaleźć dwie przedstawicielki płci pięknej: Virginie i Monique. Pierwszą z nich zdążyłem już bardzo dobrze poznać zeszłej nocy. Natomiast druga była ciemnowłosą piękną o ostrych rysach twarzy, rozpaloną niczym ogień. Patrzyła na mnie z ukosa. Jej spojrzenie konkretnie przemieszczało się wzdłuż mojej sylwetki, aczkolwiek ani na moment nie zatrzymało się na mych oczach. Miała na sobie obcisły strój, mieniący się metalicznym blaskiem. Wyglądało to tak, jakby ktoś polał ją rozpuszczonym srebrem. Muszę przyznać, że miałem dylemat. Nie było to nic poważnego, ale... nie miałem zielonego pojęcia kogo najpierw rozebrać – siebie czy ją. Rozwiązanie jak zwykle znalazło się samo (ech, dziwne realia rządzą tym wirtualnym światem), ponieważ Monique sama zaczęła mnie rozbierać. Stałem nagi i podniecony, a ona przesuwając języczkiem wzdłuż górnej wargi swych czerwonych ust, dawała do zrozumienia, że nie będę musiał długo czekać na reakcję z jej strony. Virginia tymczasem przyglądała mi się nieśmiało, siedząc na oddalonym ode mnie o jakieś trzy metry łóżku. Jej zielone oczy, pełne obawy i fascynacji rzucały blask spomiędzy wpadających na śliczną twarz, długich włosów.

Nagle znieruchomiałem. Uświadomiłem sobie co ja właściwie robię? Po co to wszystko? Jaki jest tego sens? Zacząłem się zastanawiać co powiem ANN, kiedy wróci z pracy. Czy z uśmiechem na ustach oznajmię jej: „Uprawiałem seks z twoimi botami”. Wybity z rytmu i pozbawiony koncepcji „schowałem” z powrotem do pudełek obie panie.

— Na szczęście panuję jeszcze nad sobą – pomyślałem z ulgą.

Nie minęło więcej niż trzy minuty, kiedy ponownie podeszedłem do półki z botami. Włączyłem Monique i Virginie.

— Powiem jej... powiem prawdę...

*

Tak jak przewidziałem, ANN zjawiała się w nieoczekiwanym momencie i miejscu. O mało nie przyprawiła mnie o zawał serca, materializując się tuż przede mną. Gdy nieco uspokoiłem się – zamiast przeprosin spojrzała na mnie kpiąco i dodała:

— Musisz mieć coś na sumieniu, skoro tak się boisz...

Obróciłem całość w dobry żart, chociaż tak naprawdę nie było mi do śmiechu. Zaledwie kilkanaście minut temu posłałem do pudełek jeszcze ciepłe seks botki... Na szczęście ANN szybko zmieniła temat.

Szczerze mówiąc nie wyglądała na przepracowaną. Poza tym tryskała dobrym humorem i co najważniejsze – nie dawała mi do zrozumienia żadnym słowem, ani gestem, abym sobie poszedł. Gdy udaliśmy się do salonu i zasiedliśmy do przyrządzonego w kilku sekundach obiadu, oznajmiła, że umówiła mnie na dzisiaj z Najwyższym Kreatorem. Omal nie zadławiłem się befsztykiem słysząc te słowa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

1

Stroma, masywna góra wynurzała się samotnie spośród bezgranicznego pustkowia. Jej majestat podkreślał stojący na szczycie ogromny zamek, pogrążony w czeluściach mroku. Górne partie wież wchodzących w skład ponurego monumentu były otoczone przez czarne, skłębione chmury.

Miejsce, w którym się znajdowaliśmy wzbudzało we mnie podziw i jednocześnie grozę. Niesamowite było to, że wszędzie wokoło panowała całkowita pustka. Prócz wspomnianej, spoglądającej na mnie z oddali góry nie było dosłownie nic... Istniało tylko szare pustkowie, stykające się na granicy widzialności z czerwonym niebem.

ANN patrzyła z dumą na zamek. Nie mrużyła oczu, mimo iż prosto w nie uderzał podmuch porywistego wiatru. Jej luźny, brązowy płaszcz powiewał, podobnie jak rozpuszczone włosy.

Słyszałem uderzenia piorunów, dochodzące z bardzo daleka. Widziałem jak czerwone niebo rozcina pajęczyna błyskawic. Słyszałem też bicie swojego serca...

Próbowałem przytulić dziewczynę, ale odepchnęła mą dłoń.

— Nie teraz — wyszeptała ruszając w kierunku zamku. Na jej twarzy dostrzegłem niespotykaną dotąd powagę. Poza tym pierwszy raz od bardzo długiego czasu nie teleportowała się, ani nie lewitowała, tylko zwyczajnie szła.

Udając, że wszystko jest w porządku pochyliłem głowę i ruszyłem u jej boku.

*

Wielkie, drewniane wrota, wzmocnione stalowymi okuciami rozchyłały się z wolna, odsłaniając coraz większy fragment zamkowego dziedzińca. Gdy stanęły otworem, naszym oczom ukazał się ogromny ogród przecięty wąskimi chodnikami, pasami wysokiego żywopłotu oraz grządkami pełnymi bujnego, wielobarwnego kwiecia.

Mniej więcej ze środka dziedzińca wyłaniała się, wysoka na kilka metrów fontanna – ku niej się kierowaliśmy. Wodotrysk przedstawiał dwa delfiny uchwycone w dynamicznym akcie wynurzenia z wody. Był stary, zszarzały i podobało mi się w nim to, że nie był tak idealny i cukierkowy, jak większość obiektów, z którymi spotkałem się w wirtualnym świecie.

Zanim dotarliśmy na miejsce, ANN podeszła do wysokiego, jasnowłosego mężczyzny, odzianego w brązowe, powiewne szaty. Blondyn przemawiał do kilkunastoosobowej grupy, siedzącej przed nim, na równo przyszyżonej trawie. Najwyraźniej tłumaczył przyszłym, lub początkującym Kreatorom coś zawiłego, ponieważ bardzo silnie gestykulował. Mówił powoli, akcentował z osobna co drugie słowo. Jednak słuchacze, wśród których dostrzegłem trzy całkiem ładne dziewczyny, nie dzielali jego entuzjazmu. Milczeli, a ich wzrok błądził na wszystkie strony. Wystarczyło jednak, że podeszła ANN, a męskie pary oczu skierowały się na nią.

Spostrzegłem też, że na ramieniu mężczyzny spoczywa czarny ptak (jak na moje był to kruk, ale nie zakładałbym się, bowiem nie jestem ornitologiem). Pierzaste stworzenie brało czynny udział w wykładzie. Reagowało na słowa swojego pana poruszeniem główki, a podczas kilkusekundowych przerw, jakby znudzone, chowało dziób w pióra.

— Myślicie, że jak wszczepię wam implant to już będziecie Kreatorami? Tak? — podniecał się jasnowłosy nauczyciel, wskazując palcem na jednego ze słuchaczy, który niechętnie oderwał wzrok od ANN. Ptak siedzący na ramieniu

wykładowcy poruszał szybko główką na boki, jakby mówiąc: „nie, nie” — I tu grubo się mylicie! Nawet jeśli posiadzicie całą wiedzę to jeszcze długa droga przed wami... Wiedza, a mądrość to dwie zupełnie inne sprawy, które niekoniecznie chodzą w parze... Ja wiem, że wy jesteście bystrzy... że wybrano was spośród tysięcy geniuszów, ale czy jesteście z tego dumni? Tak?

Towarzysząca mi dziewczyna wtrąciła się w wypowiedź, która jak na moje miała brzmieć: „I tu się grubo mylicie!”.

— Cześć JJ_EX!

— Witaj ANN... Wow! Wyglądasz jak zwykle ślicznie... — powiedział odziany w powiewne szaty blondyn, a jego kruk zrobił w powietrzu małe kółko, otaczając dziewczynę, po czym powrócił na miejsce.

Komplement jeszcze zniósłbym, ale w momencie, gdy pocałował ją na powitanie w policzek, zawrzała we mnie krew. Przez ułamek sekundy chciałem nawet podejść i powiedzieć mu, co o tym myślę. Prędko jednak odrzuciłem ten pomysł – lichy wie, co mogłoby „strzelić do łba” takiemu koleśowi.

Uśmiechnąłem się sztucznie, gdy ANN przedstawiła nas sobie. Kryłem oburzenie dość dobrze, ale JJ_EX – czy jak mu tam było – coś wyczuł. Przyznam, że był cwany i działał mi na nerwy. Stał tak blisko mojej przyjaciółki, że lekko muskał ją łokciem. Być może nie powinno się wysuwać pochopnych wniosków, ale jak na moje, dużo łączyło go z ANN i bynajmniej nie były to stosunki pozostające w sferze koleżeńskej.

Tak na marginesie to głupiej już nie mógł się nazywać – JJ_EX... Poza tym ten jego ptak tak się mi jakoś dziwnie przyglądał... Oj, naprawdę oboje działali mi na nerwy...

Fakt że zostaliśmy sobie przedstawieni miał jednak jedną zaletę. Po prostu, gdy ANN wypowiedziała jego imię, dodała słówko: „Kreator”. Tym samym rozviała obawy, jakoby darzony przeze mnie antypatią, blondyn był Najwyższym Kreatorem. Tego bowiem już bym nie zniósł.

Odetchnąłem z ulgą, gdy po krótkiej „gadce szmatce”, typu „Paweł jest kosmonautą i przyleciał wielkim krążownikiem”, ANN spojrzała w niebo i stwierdziła:

— Nie gniewaj się, ale musimy już iść, bo spóźnimy się na spotkanie szefem.

— Jasne, to ja wracam do wykładu. Trzymajcie się! A, i jeszcze jedno ANN... w przyszłym tygodniu postaram się Ciebie odwiedzić!

No nie! Tego już było za wiele. Ten koleś albo był zbyt mało spostrzegawczy, żeby zrozumieć, że ja z ANN jesteśmy parą, albo po prostu bezczelny. Gdy odwróciliśmy się, wziąłem spektakularnie dziewczynę pod ramię, ale odepchnęła mnie. Nic nie powiedziałem. Czułem się strasznie głupio.

— Uspokój się, to mój przyjaciel... — powiedziała do mnie z wyrzutem, spoglądając chłodno swoimi oczyma, które nie wiedzieć czemu były niebieskiego koloru.

— Przyjaciel... Jasne, teraz tak to się nazywa... — pomyślałem. Nie odważyłem się jednak powiedzieć tego na głos.

Czekaliśmy u podnóża fontanny przez kilka minut i muszę przyznać, że nie były to dla mnie chwile miłe. Moja towarzyszka stała nieruchomo, nie odzywając się ani słowem. Nawet na mnie nie patrzyła.

— Witaj, ANN! Witaj, przybyszu! — usłyszałem zza pleców.

Kompletnie zaskoczony obróciłem się prędko i dostrzegłem wysokiego, długowłosego mężczyznę. Nie usłyszałem jego kroków, więc musiał poruszać się bezszelestnie, albo po prostu przyteleportował się tutaj.

— Pawle, oto Najwyższy Kreator — przedstawiła mnie ANN, która nie wyglądała na zaskoczoną niespodziewanym pojawieniem się swojego przełożonego.

Skłoniłem się przed majestatem, od którego emanował spokój, powaga oraz życzliwość. Czułem też dobre nastawienie do mojej osoby, mimo iż ani na moment na jego ustach nie pojawiał się uśmiech.

LORD_SOUR – gdyż tak kazał nazywać się Najwyższy Kreator – był dobrze zbudowanym mężczyzną wyglądającym na trzydzieści lat. Miał długie, sięgające do ramion proste, krucze włosy. Nosił, podobnie jak ANN i nie lubiany przeze mnie JJ_EX długi, powiewny płaszcz, z tą tylko różnicą, że był czarnego koloru. Na szyi zwisał mu wielki, metalowy medalion, lśniący czerwonym blaskiem umieszczonego wewnątrz kamienia szlachetnego.

LORD_SOUR zaproponował abyśmy omówili moją kwestię w jednym z jego ulubionych miejsc – rzymskich Pompejach. W tym celu udaliśmy się do stojącego na tyłach ogrodu niewielkiego hangaru. Elegancko umundurowany bot-pilot dostarczył nas bezszelestnie poruszającym się pojazdem latającym na bezkresne pustkowia, z którego rozpoczęliśmy z ANN dzisiejszą wyprawę. Zrobił to tak szybko, że nie zdążyłem wygodnie rozsiąść się na miękkiej kanapie. Ech, daleko było *trzydziestce piątce*, którą wylądowałem na Ziemi do takiego wyposażenia, nie wspominając już o porównaniu poziomemu hałasowi...

Jak się później dowiedziałem, na szczycie góry i jej okolic nie była możliwa teleportacja, ani przekreowywanie. Dlatego właśnie wylecieliśmy poza tzw. strefę bezteleportową, skąd LORD_SOUR przeniósł nas w sam środek rzymskiego miasta.

ANN, która nie wiedzieć czemu odzyskała humor, wyjaśniła mi różnicę pomiędzy przekreowaniem, a często mylonym przeze mnie pojęciem teleportacji. To drugie bowiem polega na przeniesieniu się w przestrzeni przy pomocy odpowiedniego urządzenia, natomiast do przekreowania potrzebna jest jedynie Wola Kreatora.

2

Zmaterializowaliśmy się we wnętrzu sporego pomieszczenia, które zaskoczyło mnie brakiem okien. Jedynym i zupełnie wystarczającym źródłem światła okazał się okazały otwór w suficie. W miejscu, nad którym znajdował się nietypowy wywietrznik wmurowany był niewielki basenik. Urzekł mnie artystyczny wystrój pomieszczenia, do którego przyczyniły się głównie nagie i półnagie posągi, kolorowe mozaiki podłogowe oraz malowidła ściennie. Podobało mi się również to, że sufit pomieszczenia, w którym przebywaliśmy mierzył – jak na moje – dobre trzy i pół metra. Być może w porównaniu z zamkiem ANN nie było aż tak oszałamiająco dużo, niemniej jednak w stosunku do Nowej Europy było to niemal dwa razy więcej.

Nie było jednak mi dane za długo delektować się widokiem nietypowego przybytku, ponieważ LORD_SOUR, nie mówiąc zbyt wiele, otworzył szeroko drzwi i zaprosił nas na zewnątrz.

To było coś, co przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Dostrzegłem gęstą zabudowę jasnych budynków – jak się później dowiedziałem – wzorowanych na rzymskim mieście z pierwszego wieku. W oddali majaczyły zaś lekko rozmyte kontury ogromnego wulkanu. Z dumą patrzyłem na repliki obiektów wzniesionych rękoma naszych przodków sprzed trzech tysięcy lat. Wszystko było realne do tego stopnia, że ulice tętniły życiem, wypełnione poruszającymi się we wszystkich kierunkach mieszkańcami.

Wzdłuż wąskich dróg, wyłożonych kamiennym brukiem przewijali się piesi, konni, a czasem nawet rydwany. Przepęłniła mnie natychmiast ochota zamienienia kilku słów – jak mi się wówczas wydawało – w prาดawnym języku włoskim.

Mowy zakochanych nie znałem zbyt dobrze, choć zawsze mnie intrygowała. Jej brzmienie pamiętam z włoskich filmów, kilkudziesięciu lekcji, a także z rozmów z kolegą ze studiów.

Antonio – gdyż tak miał na imię ów kolega – był potężnie zbudowanym, ciemnowłosym Włochem. Szalały za nim kobiety i nie dziwię się, gdyż miał niesamowicie duże oczy. Jego spojrzenie było jakby zlepkiem sarkazmu i tajemniczości. Nie można było przejść obok niego obojętnie. Rozmawiając z Antoniem nigdy nie było się pewnym czy jest poważny, czy też żartuje. Pamiętam jego ciemną karnację o tak intensywnym brązie, że nawet po dziesięciu wizytach w solarium nie byłbym w stanie jej dorównać. Pamiętam też, że nigdy się nie uczył, a jego stopnie nigdy nie spadały poniżej dziewięćdziesięciu procent. Był bardzo zdolny... chyba nawet bardziej ode mnie.

Moje wewnętrzne wywody przerwała sympatycznie wyglądająca kobieta, odziana w stosunkowo skromny, intrygujący mnie strój. Natychmiast przebudziłem się z refleksyjnego transu, a moja uwaga została przeniesiona na uroczą niewiastę. Podeszedłem do niej, nie okazując zbytniego entuzjazmu, ponieważ czułem przez cały czas na sobie przenikliwe spojrzenie ANN. Powitałem po włosku kompletnie zaskoczoną kobietę, odsłaniając przed nią w uśmiechu rząd zębów. Najwyraźniej jednak zrobiłem coś wbrew powszechnie panującym obyczajom, bowiem odwróciła się i zmieszana uciekła, znikając we wnętrzu pobliskiego budynku. Co gorsza – po kilkudziesięciu sekundach wróciła z solidnie zbudowanym mężczyzną, który zaczął do mnie mówić po łacinie i nie były to bynajmniej zwroty grzecznościowe.

Być może wystraszyłby mnie taki obrót sprawy, wiedziałem jednak, że tuż za mną stoi ANN wraz z Najwyższym Kreatorem. Poza tym w tak nietypowym momencie uzmysłowiłem sobie, że popełniłem fatalną pomyłkę. Dosłownie głupio mi się zrobiło przed samym sobą, że mogłem pomyśleć coś takiego. Przecież Rzymianie nie władali włoskim tylko łaciną! Jak na ironię wpadłem na to dopiero, gdy rosły towarzysz skąpo odzianej kobiety obrzucił mnie wiązką wyzwisk. Na szczęście zanim doszło do rękoczynów ANN i jej zwierzchnik załagodzili sprawę. LORD_SOUR powiedział po angielsku do rzymskiej pary, że jestem przyjacielem i że nie mają na mnie zwracać uwagi.

Skąpo ubrana kobieta i jej adorator byli najwyraźniej botami, ponieważ na polecenie zareagowali natychmiast, a na ich twarzach nie pojawił się ani na moment najmniejszy ślad emocji. Natomiast jeśli chodzi o mnie, to poczułem się troszkę niczym obserwowana mrówka, której badacz postawił na drodze patyczek i czekał do ostatniej chwili jak się zachowa. Na szczęście swe naturalne reakcje skryłem pod maską uśmiechu i nie dałem po sobie poznać ani odrobiny towarzyszącego mi strachu, ani zmieszania.

Najwyższy Kreator zaproponował mi zwiedzanie koloseum, zapraszając do kibicowania krwawym pojedynkom na śmierć i życie. Myśl o rozrywanych na strzepy gladiatorach (oczywiście nawet ze świadomością, że mam do czynienia z botami) bardziej mnie zniechęciła niż urzekła, dlatego odmówiłem. Zaskoczył mnie fakt, że arena walk, którą kojarzyłem zawsze z Rzymem znajdowała się również w mniejszych aglomeracjach. LORD_SOUR wyjaśnił mi jednak, że miasto jest kopią Pompejów tak wierną, że istnieje w nim nawet dom uciech erotycznych. Odwiedzin tego przybytku jednak mi nie proponowano. Może to i lepiej...

Po długim spacerze wzdłuż wąskich uliczek przyszedł czas na główny etap mojej wizyty w Pompejach – spotkanie z senatorem. Był to bardzo smutny, elegancko ubrany pan, z którym mieliśmy omówić szczegóły przesiedlenia całej załogi Nowej Europy na Ziemię. Była to dla mnie sytuacja nieco niezręczna, ponieważ nie lubię robić rzeczy, do których nie jestem

kompetentny. Na szczęście chłód klimatyzowanej kawiarenki, w której prowadziliśmy rozmowy oraz smaczny obiad nastawił mnie do wszystkiego nieco optymistyczniej.

Senator był miły, aczkolwiek konkretny. Dobrze zdawał sobie sprawę z faktu, że nie mam uprawnień do podejmowania decyzji w imieniu mieszkańców naszego krążownika i pytał dosłownie o wszystko. Spodziewał się też naszych oczekiwań i mówił otwarcie, ile jest w stanie wynegocjować z rządem.

W rozmowach sporo pomógł LORD_SOUR, który mimo pozornej różnicy wieku w wyglądzie kojarzył mi się z Benem. Był taki opanowany, taki... życzliwy. Miał cechę, którą bardzo cenię – odzywał się tylko wówczas, gdy naprawdę miał coś do powiedzenia. Słuchając go miałem wrażenie, że mówi zaledwie ułamek z tego, co wie na dany temat. Natomiast ANN – zwykle gadatliwa – siedziała przez cały czas cicho niczym myszka. Nie poznawałem jej.

Zamieniliśmy jeszcze kilka zdań, po czym spostrzegłem, że Najwyższy Kreator na moment jakby wyłączył się i pograżył w swoim, wewnętrznym świecie. Nie zaskoczyło mnie jak oświadczył, że dostał właśnie ważną wiadomość i że musi nas pożegnać. Ucisnął mi dłoń, po czym rozplynał się w powietrzu. Pomału zaczynałem się przyzwyczajać do zasad panujących w wirtualnym świecie.

Wyteleportowanie (czy może raczej wykreowanie) się LORDA_SOUR'a spowodowało, że cała nasza trójka ucichła. Rozmowa, mimo usilnych starań nie chciała się kleić. ANN – zmieszana i najwyraźniej rozczarowana faktem, że jej zwierzchnik nie podzielił się z nią wiadomością – z małomówniej przekształciła się w milczącą. Senatorowi nie pozostało nic innego jak tylko umówić się na kolejne spotkanie. Poprosił mnie też abym stawił się na nim w towarzystwie osoby kompetentnej, najlepiej kogoś wysoko postawionego w hierarchii władzy Nowej Europy.

Udaliśmy się w trójkę do kompleksu kabin teleportacyjnych. Pożegnałem się oficjalnie z senatorem (muszę się pochwalić, że władałem „newenglish” już tak dobrze, że z pewnością sam mogłbym startować w wyborach do parlamentu), a następnie przeniosłem się wraz z ANN do wielkiego ogrodu, umiejscowionego na dziedzińcu jej okazałego, czarnego pałacu. Wiedziałem, że na pożegnanie powinienem powiedzieć coś wyjątkowego; coś, co będzie motywowało ją do myślenia o mnie podczas naszej rozłąki. Naprawdę rzadko mi się to zdarza, ale nie mogłem wydusić z siebie słowa. Stałem przed nią, niczym szesnastolatek po pierwszej randce, który boi się spytać: „umówimy się jeszcze?”.

Mam zasadę, która nieraz ułatwia mi życie, a niekiedy – w takim przypadku jak ten – wręcz staje się kulą u nogi. Nie proszę bowiem nigdy o rzeczy, których otrzymania nie jestem pewien.

Na szczęście ANN wyręczyła mnie. Udała, że nie dostrzega mego wahania i zadała retoryczne pytanie:

— Jak tylko wrócisz, to wiesz gdzie masz najpierw zajrzeć?

Zamiast odpowiedzi wtuliłem się w jej mięciutkie piersi i namiętnie pocałowałem. Nasze języki splotły się niczym pnącza winorośli otaczających wewnętrzne mury zamkowego dziedzińca.

3

Otworzyłem oczy z wyraźnym rozczarowaniem, tak jakbym zbudził się z cudownego snu. Przed oczyma miałem jeszcze kolorowy ogród ANN. Odsuwająca się półkolistą pokrywa urządzenia, w którym leżałem ostatecznie ukazała mi brutalny powrót do rzeczywistości. Gdy tylko mogłem swobodnie wstać, odłączyłem wszystkie elektrody i rurki poprzyczepiane do mnie lub

bardziej intymnych części mego ciała. Podeszedłem do szafki z ubraniami. Ledwie zdążyłem narzucić na siebie majtki i koszulkę, a do pomieszczenia wparował administrator. Przywitał mnie i spytał, czy nie mam zawrotów głowy. Gdy odparłem przecząco, podał mi jakieś pigułki – rzekomo profilaktycznie. W czasie, gdy przełykałem chemikalia – były gorzkie, ale na szczęście małe – przyjrzałem się bacznie administratorowi. Co prawda mogłem się mylić, ale jak na moje był pijany. Wyjaśnienie tej kwestii przyszło szybciej niż mogłem przypuszczać, bowiem pierwszą rzeczą, którą spostrzegłem po wejściu do pokoju administratora, były trzy (dwie puste, jedna w połowie pełna) butelki wódki stojące na stole. W pobliżu siedział Ben sącząc powoli alkohol ze szklanki. Jego czerwona twarz rozpromieniła się na mój widok, a lśniące alkoholowym blaskiem oczy stały się jeszcze bardziej krystaliczne. Najwyraźniej też nie miał mi za złe tego, że obiecane trzy godziny pobytu w wirtualnym świecie... trochę się przedłużyły. Z przyjemnością rzuciłem się w jego ramiona. Miałem mu tyle do powiedzenia i z tego, co mi się zdawało – on również przeżył tu na swój sposób oryginalną przygodę.

Powrót sześciokołowcem do Greensloty minął mi aż nazbyt szybko. Dosłownie czułem niedosyt rozmowy, mimo iż powiedziałem Benowi wszystko, co tylko się dało. O najważniejszych rzeczach (hm, wiadomo jakich) wspomniałem nawet kilka razy, tym samym podkreślając ich rangę. Mój starszy przyjaciel był dobrym słuchaczem, raz po raz tylko przerywał narzekając na ból głowy. Na szczęście wody mieliśmy dostatek, a częste postoje na załatwianie potrzeb fizjologicznych dodatkowo uatrakcyjniały nam podróż.

Już starożytni Rzymianie, którym notabene złożyłem niedawno małą wizytę, mawiali: „In Vino Veritas”. Muszę przyznać, że całkowicie się z tym zgadzam. Ben wskutek swojej obfitej libacji alkoholowej stał się bardziej szczery niż kiedykolwiek. Opowiedział mi, że gorzej niż strach dokucza mu samotność. Powiedział, że zaprzyjaźnił się z pracującymi na dwudziestym trzecim piętrze administratorami, którzy chętnie częstowali go procentowym trunkiem. Na pewien sposób rozumiałem go. Urzekł mnie też fakt, że cała idea wirtualnego świata zamiast przerazić go – czego spodziewałem się po mężczyźnie w jego wieku – ogromnie zafascynowała.

Widok światła pogrążonego w czeluściach nocy Greensloty nie ucieszył mnie za bardzo, bowiem chciałem porozmawiać z Benem jeszcze dłużej. Z drugiej jednak strony, dopiero gdy wjechałem w granice osady uświadomiłem sobie jak bardzo wielogodzinne prowadzenie pojazdu wyczerpało mnie. Marzyłem tylko o gorącym prysznicu i jak najszybszym znalezieniu się w łóżku. Rogelio jednak rozwiął me plany, gdy tylko wysiadłem z sześciokołowca. Wraz z Elvirą wypytał mnie o każdy szczegół, wtrącając się nawet w kwestie osobiste. Szczerze mówiąc nie spodziewałem się zbyt silnej reakcji po usłyszeniu mej opowieści, niemniej jednak oboje zwierzchnicy – podobnie jak reszta zespołu – byli pod ogromnym wrażeniem.

Położyłem się spać bardzo, ale to bardzo późno. Nie miałem jednak okazji powędrować myślami ku ANN, albowiem moja współlokatorka nie mogąc zasnąć pod wrażeniem długiej opowieści o wirtualnym świecie, obsypywała mnie lawiną pytań. Odpowiadałem na nie w półprzytomnie, aż w końcu, dokładnie nie zdając sobie sprawy, w którym momencie pogrążyłem się w głębokiej otchłani snu.

4

„(...) A teraz zapraszam na długo oczekiwany wywiad, z człowiekiem, który wrócił dzisiaj z Ziemi, członkiem komisji LSSK:

— Dzień dobry! — powiedziała ze sztucznym uśmiechem i udawanym entuzjazmem reporterka. Od razu rzuciło mi się w oczy, że miała na twarzy chyba z centymetrową warstwę fluidu.

— Witam... — odparłem mrugając życzliwie oczami w stronę kamery.

— Już wiemy, że ludzie na Ziemi żyją teraz znacznie inaczej. Czy mógłby pan wyjaśnić nieco dokładniej zjawisko masowej, wirtualnej rzeczywistości?

— Hm... — westchnąłem — To proste... Wystarczy wyobrazić sobie świat marzeń, a następnie pomnożyć to przez trzy...

— Skąd ta pewność, że to coś dobrego? — nie ustępowała reporterka. — Był Pan tam przecież zaledwie dwie doby. Czy to w ogóle jest bezpieczne? Czy nie powoduje uzależnienia?

— Po pierwsze nie jestem lekarzem — kontynuowałem z uśmiechem — ale skoro żyją w tamtym świecie prawie wszyscy mieszkańcy Niebieskiej Planety i nic im nie jest, to chyba wystarczający dowód. Natomiast, jeśli chodzi o drugie pytanie, to związek frazeologiczny „uzależnienie od świata” jest co najmniej określeniem dziwnym, niezależnie czy chodzi w nim o świat realny, czy wirtualny.

— No tak, ale przecież wirtualny świat to nie to samo, co realny. Na pewno istnieją w nim jakieś granice...

Kobieta usilnie starała się znaleźć dziurę w całym. Nie wiem, za co płacą reporterom; za godziny pracy, ilość wypowiedzianych słów, czy może denerwowanie ludzi udzielających wywiadów. Chyba raczej za to ostatnie. Jeśli tak jest w rzeczywistości, to kobieta polemizująca ze mną musiała zarabiać bardzo dużo (z pewnością wystarczało jej na ogromne ilości fluidu). Na szczęście swoje poirytowanie udało mi się całkowicie ukryć przed widzami. Uśmiechnąłem się z lekką ironią i odparłem:

— Nie... i mówię to z całą odpowiedzialnością! Granice pomiędzy tymi światami nie istnieją!

— W porządku. Mam nadzieję, że nasi widzowie sami będą mogli rozstrzygnąć naszą mini-dyskusję. Pragnę zadać jeszcze tylko jedno, małe pytanie. Kiedy i na jakich zasadach załoga Nowej Europy będzie mogła osiedlić się na Ziemi?

— Hm — pomału zaczynało mi się podobać wzdychanie na antenie publicznej telewizji. — Po pierwsze: nie jestem kompetentny, aby udzielać takich wyjaśnień. Natomiast po drugie: wiem z pewnych źródeł, że na razie nic nie zostało ustalone, a negocjacje zostaną wznowione za kilka dni.

— Dziękuję bardzo za wywiad. Specjalnie dla widzów „TV-NU” wywiadu udzielił Paweł(...).”

*

— W zasadzie to powiedziałeś wszystko i nic — stwierdził Helmut, odrywając wzrok od telewizora, po czym zamówił następną kolejkę. Siedziałem wraz z nim oraz Benem w jednym z niewielu pubów znajdujących się na pokładzie naszego rodzimego krążownika. Piliśmy już czwartą godzinę i w gruncie rzeczy nasz apetyt wzrastał z każdą wypitą szklanką.

Z reguły nietypowe wiadomości docierają do mnie w momencie, gdy robię sobie coś do jedzenia, jestem pod prysznicem, albo po prostu w stanie „wskazującym”... Tak samo było w tym przypadku, bowiem po dziesięciu minutach od nadania przez „TV-NU” wywiadu, na mój multikomunikator przyszła wiadomość z zaproszeniem do apartamentu pani prezydent. Prawdę powiedziawszy był to bardziej nakaz, niż prośba, ale i tak poczułem się wyróżniony.

5

Nazajutrz rano udałem się w rejony Nowej Europy, których nigdy nie miałem przyjemności wcześniej odwiedzać. Gdy jechałem kolejką i

spacerowałem wąskimi korytarzami zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie dostrzegałem wcześniej, że całe moje otoczenie to tylko ciasnota i chłód. W każdej chwili, z każdym krokiem tęskniłem za wirtualnym światem oraz, chyba jeszcze bardziej, za ANN...

*

Gdy wszedłem z obojętnością na twarzy w wytworne progi prezydenckiego apartamentu (po tym, jak zobaczyłem pałac ANN, miejsce to wydało mi się tylko skromną namiastką luksusu) umundurowani strażnicy zmierzili mnie podejrzliwym wzrokiem. Na szczęście nie musiałem czekać długo, bowiem jakiś siwowłosy, zabiegany człowiek z aktówką w lewej ręce poprosił mnie do jednej z sal.

Mym oczom ukazał się spory pokój, którego posadzka i ściany lśniły jasnym marmurem. Rozsiadłem się wygodnie na eleganckiej kanapie pośrodku. Mimo iż byłem tutaj pierwszy raz, znałem niniejsze miejsce dość dobrze z telewizji. Tutaj bowiem obecna pani prezydent, podobnie jak jej kilku poprzedników najczęściej udzielali wywiadów.

Głowa Nowej Europy nie kazała na siebie długo czekać. Zanim zdążyłem całkowicie zaaklimatyzować się w wystawnej sali, szczupła, jasnowłosa kobieta w towarzystwie siwego doradcy wyszła mi na spotkanie. Wstałem, po czym oficjalnie, ze wszystkimi honorami ją powitałem.

Gdy usiedliśmy przy kunsztownym stoliku, popijając pomarańczowy sok, przystąpiliśmy do konwersacji. Na początku byłem pytany o drobiazgi w stylu: jak minęła podróż itp. Ja również nie chciałem być dłużny pani prezydent, dlatego nie wahałem się spytać o kwestie a'la: jak tam mają się sprawy w polityce. Kiedy już nauśmiejaliśmy się wystarczająco do siebie i zakończyliśmy przysłowiową „gadkę-szmatkę” przystąpiliśmy do „dania głównego”. Dopiero wówczas uświadomiłem sobie, w jak sprytny sposób moja rozmówczyni umie operować słowami. Potrafiła wypytać mnie tak dobierając wyrazy, że byłem zupełnie zdezorientowany... Wyciągnęła ze mnie – niby tak ot, od niechcenia – ogromną ilość szczegółów. Mało tego, przez cały czas nie dawała mi poznać po sobie, które informacje są dla niej ważne, a które nie.

Nie mogłem jej za nic na świecie rozgryźć. Strasznie utrudniała mi to jej obojętna twarz. Dosłownie uśmiechała się, bądź marszczyła czoło tylko wówczas, gdy tego chciała. Czułem się, jakbym miał do czynienia z kimś o tej samej specjalizacji, co moja.

— Kobieta, którą poznał pan w wirtualnym świecie musi być wyjątkowa — rzekła wprost, a jej twarz nawet nie drgnęła.

— Po czym wnosi pani, że miałem przyjemność poznać właśnie kobietę? — spytałem, z trudem ukrywając odrobinę zmieszania.

— Był pan tam przecież przez dwa dni, a kobiet na świecie jest wiele... — nie ustępowała moja rozmówczyni.

— O, to prawda... Spotkałem wspaniałą kobietę... i to niejedną. Nie przywiązuje się tak od razu do ludzi...

— ...ale na pewno któraś była bardziej niesamowita niż inne. Tak bez powodu nie popada się w entuzjazm nowego otoczenia.

— Ludzie różnie reagują. Mi się tam podobało i dlatego chciałbym zamieszkać na stałe.

— Ech, doprawdy ta kobieta musi być wyjątkowa, skoro nawet chce pan z nią zamieszkać. Czy pan nadal za nią tęskni?

No i byłem w kropce. Dałem się nabrać niczym początkujący szachista. Teraz jakikolwiek ruch powodował matę. Innymi słowy każda moja odpowiedź (zarówno przecząca, jak i twierdząca) była przyznaniem się do romansu z ANN.

— To bardzo osobiste pytanie... — powiedziałem, uśmiechając się, jak gdybym próbował obrócić całą sytuację w żart. Jak można się było tego domyśleć, nie podziałało to ani trochę na panią prezydent.

— Och, przepraszam... — odparła kobieta, udając zaskoczoną. — Nie powinnam była pytać o takie rzeczy. Musiało pana z tą kobietą łączyć naprawdę bardzo wiele...

W ten oto sposób rozmawiałem z nią przeszło dwie godziny. Wychodząc, czułem się jakby ktoś obdarł mnie ze wszystkich tajemnic. Już nigdy nie zagłosowałbym na tą kobietę.

W drodze powrotnej, podczas podróży kolejką zadzwoniłem po swoją stałą ekipę. Gdy wszedłem do pubu Ben i Helmut już na mnie czekali. Barman na mój widok tylko się uśmiechnął i spytał: „Znowu?”

6

Przez kolejny tydzień nie ruszałem się nigdzie z Nowej Europy. Był to dla mnie okres szczególnie nietypowy i to bynajmniej nie z tego powodu, że niemal każdy wieczór spędzałem w barze. Po prostu nie było sekundy, w której nie myślałbym o swojej ukochanej ANN. Widziałem też siebie przez pryzmat nadchodzących zmian. Wiedziałem, że moje życie nie będzie już nigdy takie jak dawniej. Wiele wartości, w które do niedawna wierzyłem spadło z mej drabiny hierarchii, a na ich miejscu zaczęły kiełkować nowe. Rzeczy, do których byłem przywiązany nie będą wkrótce mi potrzebne. Będę musiał „pochować” je tutaj, w wielkim grobowcu zwanym Nową Europą. Trochę bałem się nadchodzących zmian, ale wiedziałem co robię i całkowicie tego chciałem.

Jak na ironię, gdy wszystkie sprawy dotyczące Nowej Europy przestawały mnie obchodzić, stawałem się coraz bardziej sławny. Wywiad w „TV-NU” spowodował, że ludzie zaczęli mnie rozpoznawać, zaczepiać w sklepie. Nieznajomi poklepywali mnie po ramieniu, pytali jak to jest w tym wirtualnym świecie.

Wiele uroczych kobiet próbowało mnie nawet poderwać, jednak niewiele mnie to obchodziło. Teraz, gdy byłem z ANN, żadna kobieta nie potrafiła wyrzucić na mnie najmniejszego wrażenia. Nawet „księżniczka” Sarah, zadzwoniła do mnie i zaproponowała randkę. Ech, kobiety to dziwne stworzenia!

Z odrobiną refleksji przechadzałem się korytarzami krążownika, na którym spędziłem całe życie. Wiedziałem, że najprawdopodobniej oglądam go po raz ostatni w życiu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

1

Sylwetka mego ciała uformowała się w lśniącej białej nicości. Zanim zdążyłem po trzykroć wyobrazić sobie wyraz „ID” pojawił się przede mną bot-przewodnik – Glinkey.

— Witaj, pewnie stęskniłeś się za mną — powiedział uśmiechając się ironicznie.

— Mam być szczery czy miły? — odparłem retorycznie, przywołując swoje ID.

— Nie spodziewam się po tobie wiele ciepłych słów — kontynuował złośliwie kolorowy karzełek. — Z tego, co widzę, zaczynasz już pomału orientować się w tym wszystkim.

— Hm... czy ja dobrze słyszę? Czyżbyś mnie chwalił?

Glinkey uśmiechnął się... Złapał się za brodę i spojrzał w górę, mrużąc jedno oko. Co prawda był botem, niemniej jednak wyglądał tak, jakby zastanawiał się nad wyborem odpowiednich słów.

— Dobrze pytanie — powiedział, a uśmiech na jego twarzy przekształcił się z subtelnego w szeroki, bananopodobny. — Ogólnie rzecz biorąc, pomijając fakt, iż wyglądasz jak genetycznie zmodyfikowany podrzutek szympansa i jeszcze gorzej poruszasz się, to wszystko jest okay. No i jeszcze może dodam, że przyglądasz się swojemu ID z takim zaciekawieniem, jakbyś zobaczył tuzin swoich nieślubnych dzieci.

Miałem ochotę odpłacić pięknym za nadobne głupkowatemu botowi, który śmiał nazywać się moim doradcą, ale ugryzłem się w język. Chciałem jak najszybciej opuścić to miejsce... jak najszybciej zobaczyć ANN. Na szczęście w ID parametry mojego ostatniego wyglądu były zapamiętane. Wprowadziłem więc kilka kosmetycznych poprawek i wybrałem numer żądanej lokacji. Glinkey drwił ze mnie nadal, jednak nie słuchałem go. Po zaakceptowaniu swojego wyboru, zawisłem na moment w nicości i zmaterializowałem się we wnętrzu pokrytej lustrami piramidy. Orientacyjnie rozejrzałem się i wyszedłem na zewnątrz. Stałem wpatrzony z utęsknieniem w zamek mej najdroższej i czekałem.

Nie nastałem się długo. Ben i towarzysząca mu kobieta dołączyli do mnie po kilku minutach. Mój przyjaciel był najwyraźniej zakłopotany, bowiem nerwowo rozglądał się we wszystkich kierunkach. Natomiast przedstawicielka płci pięknej, która ujęła sobie dobre dziesięć lat i dodała brakujące pięć kilogramów była zupełnie opanowana. Czuć było emanujący od niej spokój i dostojność. Bądź, co bądź od dwóch kadencji była prezydentem Nowej Europy.

Po chwili dołączył do nas doradca pani prezydent. Zawsze postrzegałem go jako spiętego, odrobinę sztywnego, siwowłosego człowieczka. Tym razem jednak zaskoczył mnie do granic możliwości. Jego włosy były długie i tak bardzo utlenione, że zapewne mógłby oddychać dzięki nim pod wodą. Poza tym odziany był w powiewne, kolorowe spodnie i jaskrawą bluzę. Brakowało mu tylko lufki z trawką oraz podkrążonych oczu i idealnie pasowałby na zbuntowanego nastolatka, reprezentanta stylu America New Age.

Szliśmy wzdłuż szerokiego deptaku. Mimo iż szedłem wtedy zaledwie po raz drugi, czułem się niemal jak „u siebie”. Tak jakoś śmiać mi się chciało, gdy patrzyłem na moich towarzyszy wpatrujących się ze zdumieniem na zmieniającą kolory kamieniczkę, w której mieszkał Baku-Baku. Ben po kilku

minutach opanował się. Szedł już znacznie pewniej. Jedyne, do czego nie mogłem się przyzwycząć, to jego nowy wygląd. Nie zaskoczył mnie fakt, że ujął sobie kilka zmarszczek z twarzy, wybielił zęby, a na głowie dodał nieco włosów. Raziło mnie jego wysportowane ciało. Do niedawna jedynymi sportami, które uprawiał było prowadzenie pojazdów, ćwiczenie bicepsów przy podnoszeniu kieliszka oraz bieg na orientację, do sklepu monopolowego. Teraz jednak wyglądał niczym połączenie maratończyka i złotego medalisty w pięcioboju. W dodatku, nawet strój wybrał sobie obcisły, ukazujący demonstracyjnie potężny tors i silne mięśnie. Nie to, że mnie to raziło... Po prostu przyzwyczaiałem się do Bena szczupłego, flegmatycznego, a nie do atlety.

Gdy zatrzymaliśmy się w czwórce przed wielką, stalową bramą u podnóża mrocznego zamczyska, czułem się tak, jakbym oczekiwał z rodzicami i kolegą na spotkanie i przedstawienie ich swojej narzeczonej. Czekałszy minutę, może dwie. ANN jak zwykle chciała przyprowadzić mnie o palpitację serca, materializując się kilka centymetrów przede mną.

Zapomniałem w jednej chwili o pani prezydent, jej doradcy oraz Benie i zachowaniu dyplomatycznych reguł. Rzuciłem się swojej utęsknionej dziewczynie w objęcia, całując ją długo i namiętnie.

— „Nie przywiązuje się tak od razu do ludzi...” — zacytowała mnie z ironią pani prezydent.

2

Sprawy nie obracały się tak dobrze, jak byśmy sobie tego życzyli. ANN, przy wytwornym obiedzie w jednej ze swoich ogromnych jadalni, wyjaśniła, że stowarzyszenie Kreatorów ma chwilowe kłopoty z ustaleniem fizyki dla jednego z obszarów Eposquantinu, więc w ciągu najbliższych dni możemy zapomnieć o jakichkolwiek negocjacjach. Może jestem egoistą, ale fakt, iż cała załoga Nowej Europy będzie nieco dłużej oczekiwać przeprowadzki na Ziemię, za bardzo mnie nie zmartwił.

Po obfitym posiłku mieliśmy z ANN ogromną ochotę być sami (nie muszę chyba wyjaśniać, dlaczego). Jak na złość, na przeszkodzie ku temu stanęły aż dwa powody. Po pierwsze – mieliśmy gości. Po drugie – moja ANN musiała iść do pracy na „nockę”. Pierwszy problem rozwiązał się sam, bowiem nowi przybysze chcieli się trochę „rozejrzeć” po wirtualnym świecie. Dlatego nie zastanawiając się wiele poszli, jak to określiła pani prezydent „na zakupy”. Nawet Ben, nastawiony z reguły sceptycznie do wszystkiego, bez większego wahania wybrał się wraz z nimi. Natomiast drugi problem rozwiązała ANN proponując mi, abym poszedł do pracy wraz z nią. Być może nie tak sobie wyobrażałem to utęsknione spotkanie, ale zgodziłem się. W końcu nie co dzień mogłem zobaczyć Kreatora „w akcji”.

*

Zmaterializowaliśmy się na szczycie kilkunastopiętrowego wieżowca, wznoszącego się ponad ruchliwym deptakiem w centrum jakiejś, nieznanej mi metropolii. Gdy zbliżyliśmy się do krawędzi dachu, mój lęk wysokości kolejny raz dał o sobie znać. Przez kilka sekund zastanawiałem się czy powiedzieć o tym ANN. Ostatecznie zdecydowałem się to uczynić. Obcowanie z taką kobietą jak ona, spowodowałoby wcześniej czy później wyjście wspomnianej kwestii na jaw. Fakt że podjąłem decyzję, pociągnął za sobą kolejną przeszkodę. Nie wiedziałem bowiem, jak ubrać niniejszy problem w słowa, aby nie zabrzmiało to niczym uraz psychiczny, bądź paniczna obsesja.

Postanowiłem posłużyć się językiem gestów. Spojrzałem więc w dół i „zaskoczony” wzdrygnąłem się, po czym odsunąłem o pół kroku. ANN nawet nie spojrzała na mnie, ale byłem pewien, że spostrzegła wyreżyserowane zdarzenie. Czasem miałem wrażenie, że Kreatorzy mają oczy wokół głowy...

Podeszła bardzo blisko krawędzi, jakby demonstrując, że w przeciwieństwie do mnie, wysokość nie robi na niej najmniejszego wrażenia. Patrzyła w dal, wyłączając się kompletnie. Świszczący poryw wiatru rozwiewał jej długie włosy, potrząsając jednocześnie luźnym, brązowym płaszczem.

Po kilku sekundach niniejszego niby-transu siłą woli przeniosła się wraz ze mną na dach sąsiedniego budynku, po czym znowu podeszła do krawędzi i przez kilka minut w bezruchu parzyła przed siebie.

Tym razem powiew wiatru podszeptował mej świadomości pytania i dodatkowo narzucał nastrój lekkiej grozy. ANN bowiem wyglądała jakby nie była sobą, tak jakoś demonicznie. Poza tym ledwo zdążyłem się zaaklimatyzować w jednym miejscu, gdy bez pytania o zgodę, czy choćby uprzedzenia, zostałem przekreowany w kolejne.

— W porządku — szepnęła spoglądając na mnie. — Możemy chwilę odsapnąć. Może opowiedzieć ci trochę o mojej pracy?

Nie zareagowałem żadnym słowem, ale moje oczy najwyraźniej wypowiedziały za mnie: „mów do mnie jeszcze”.

— Robota, jak każda inna — powiedziała ANN, wzruszając ramionami. — Przykreowuję się tu trzy razy na tydzień, po osiem godzin. Muszę być punktualna, sumienna etc. Mam odpowiednie obszary, nad którymi trzymam pieczę i reaguję w razie czego. Jednak musisz wiedzieć, że z reguły nic tu się nie dzieje... Czasem muszę przeprogramować jakiegoś bota, który np. śpiewa po nocach, nie pozwalając spać mieszkańcom Quasirealu, albo upomnieć nastolatka, który łamie tzw. zasady moralne w miejscu publicznym. Na początku to zajęcie bardzo mi się podobało – przekreowywałam się niewidzialna z miejsca na miejsce, a kiedy coś działo się nie tak, zjawiałam się, niczym filmowy superbohater, albo mitologiczny bóg na miejscu zdarzenia.

— Pewnie po paru latach taka „zabawa” zaczyna się nudzić.

— A żebyś wiedział, że tak... Co prawda co sezon zmieniamy miejsca patrolowe, jednak... zawsze po pewnym czasie przychodzi kryzys. Zauważasz ciągle te same osoby, widzisz, jak codziennie robią to samo. Chyba mnie rozumiesz?

Gdy przytaknąłem ANN podeszła i stanęła ramieniem w ramie ze mną.

— Spójrz — powiedziała, materializując przede sobą duży półprzezroczysty panel, zawierający dziesiątki wskaźników i przełączników. — To niezbędny warsztat pracy Kreatora. Przywołuję go myślą i w podobny sposób dokonuję na nim wszelkich operacji. Świat, który mnie otacza, widzę najczęściej poprzez pryzmat niniejszej konsoli.

Rzuciła na moment okiem w moim kierunku, jakby sprawdzając jak na to wszystko reaguję, lecz wcale nie starałem się kryć zaskoczenia. Poza tym jej spojrzenie upewniło mnie, że nareszcie parzy na mnie swoimi oczyma.

— Człowiek, bot, a nawet każdy przedmiot w wirtualnym świecie ma swój jedyny, unikatowy symbol. Dzięki temu panelowi, potrafię go odszukać. Gdy go znajdę, wówczas jego modyfikacja jest bardzo prosta. Na przykład zanim tutaj się przykreowaliśmy, nadałam sobie i tobie atrybut „widzialny tylko dla wybranego IP”. Zrobiłam to, dlatego, bowiem znajdujemy się w Quasirealu, a tutaj teleportacja jest zakazana. Wiedz, że często robię wiele czynności, których nie widzisz, bo po prostu jestem dla ciebie niewidzialna, a moja postać to tylko wykreowana przeze mnie iluzja albo bot. Np. czy wiesz, że ja prawie nigdy nie chodzę? Nawet, gdy spaceruję z tobą i trzymasz moją dłoń, to tak naprawdę lewituję gdzieś obok niewidzialna, albo po prostu przekreowuję się z miejsca na miejsce.

Zamurowało mnie. Należę do ludzi, którzy zawsze mają coś do powiedzenia niezależnie od tego, co usłyszą. Tym razem jednak stałem

nieruchomo z otwartymi ustami. ANN najwyraźniej się tego spodziewała, bowiem, nie przejmując się moim wyrazem twarzy kontynuowała:

— Na przykład w ten pamiętny wieczór, gdy poznaliśmy się w Warszawie, zanim przekreowałam nas do stacji metra, przeniosłam się na chwilę tam sama i sprawdziłam, czy nikogo nie ma. Nie chciałam, aby ktokolwiek zauważył naszą teleportację. To przecież był Quasireal!

— Za chwilę wmówisz mi — powiedziałem, gdy nieco otrząsnąłem się z szoku, — że gdy kochaliśmy się, to też nie byłeś ty, lecz bot, skonstruowany na twoje podobieństwo.

— O, nie! — odparła parszając śmiechem. — Takiej przyjemności, to sobie nie odbieram.

— Powiedz, czy gdybym sobie taką konsolę kupił, albo zainstalował, też mógłbym robić to, co ty?

Zaśmiała się ponownie. Niedobrze, znowu strzeliłem gafę.

— Oj, Paweł, Paweł... Ty nic nie wiesz o Kreatorach... Wiedz, że zanim zostałam jednym z nich, chodziłam na specjalne kursy przygotowawcze od szóstego roku życia. Gdy miałam dziewięć lat, udało mi się zdać bardzo trudny egzamin do bardzo prestiżowej szkoły G.G.F.K., gdzie prócz normalnych przedmiotów, uczyłam się przestrzennego postrzegania świata i innych bardzo nietypowych rzeczy. Po siedmiu latach nauki, wszyscy uczniowie wspomnianej szkoły przystępują do specjalnego, końcowego egzaminu, a kilkoro najlepszych dostaje możliwość kontynuowania nauki w zakonie Kreatorów. Wiedz, że nawet o tym nie marzyłam. Na rzeszę liczącą mniej więcej pięć tysięcy osób, wybierano co roku dwie, góra trzy osoby. Były czasem lata, w których nie typowano nikogo. W życiu jednak chyba tak jest... zostajesz zaskoczony w najmniej spodziewanym momencie...

— Oj, tak, znam to z autopsji.

— Z mojego rocznika prócz mnie wybrano jeszcze JJ_EX'a. Pamiętasz go?

— Ychy! — przytaknąłem i aż się wzdrygnąłem na samą myśl o niezbyt darzonym przeze mnie sympatią, jasnowłosym koleśku, mówiącym do grona słuchaczy: „I tu się grubo mylicie!”.

— Wiedz, że mimo, iż byłam dobra, zawsze pozostawałam w cieniu tego człowieka. Na początku próbowałam z nim rywalizować, szybko jednak dałam sobie z tym spokój, on po prostu urodził się fenomenem i czy chciałam czy nie, musiałam się do tego przyzwyczaić. Teraz jest moim... przyjacielem i aż strach pomyśleć, co byłoby, gdyby był moim wrogiem.

Udałem że nie słyszę zachwytu w głosie ANN, gdy mówiła o JJ_EX'ie oraz że nie spostrzegłem drobnego wahania, które poprzedziło określenie go mianem „przyjaciela”.

— Od momentu promowania mnie do zakonu Kreatorów, moje życie zmieniło się diametralnie. Przeprowadziłam się do zamku Thoughtcastle (to ten, w którym byliśmy niedawno), gdzie przeszłam standardowe szkolenie. Dla przykładu JJ_EX rozpoczął je wraz ze mną, a Kreatorem został dwa lata wcześniej. Wiedz, że on, już jest wielki, a co będzie za kilka lat, aż strach pomyśleć. Być może dorówna nawet człowiekowi-legendzie: Kreatorem Wszechrzeczy.

Powoli stosunek do „szkolnego” kolegi mojej przyjaciółki zaczynał mnie irytować. Niemniej jednak z maską obojętności poprosiłem ANN o wyjaśnienie, co to znaczy zostać Kreatorem.

— Prócz oficjalnego pasowania, całej ceremonii, zachwytów oraz przyjęć rodzinnych, jest jeszcze jeden, najważniejszy element — mówiąc te słowa dziewczyna zniżyła głos, a wyraz jej twarzy stał się nadzwyczaj poważny. — Zwykli użytkownicy, podobnie jak ty, łączą się z wirtualnym światem poprzez

elektrodę, przyłożoną u nasady rdzenia kręgowego. Natomiast Kreatorzy, tuż przed pasowaniem, mają wszczepiony specjalny implant. Jest nim port komunikacyjny, wmontowany w lewą półkulę mózgu, który umożliwia komunikację poprzez przyłączony światłowód. W efekcie niniejszej operacji, człowiek jej poddany zyskuje dodatkowy zmysł, zwany Wolą Kreatora.

— Wow! Na czym to polega?

— To bardzo trudne do wyjaśnienia. Wiedz, że nikt, kto nie jest Kreatorem, nie jest w stanie tego do końca zrozumieć. To tak, jakbyś myślał, że chcesz, aby coś się stało i to się naprawdę staje. Pozwolisz, że wytłumaczę ci to na przykładzie. Pomyśl sobie o jakimś przedmiocie. Już masz?

Przytaknąłem skinieniem głowy.

— Podaj mi jego nazwę.

— Dlaczego?

— Oj, zaraz zobaczysz — odpowiedziała ANN uśmiechając się tajemniczo.

— Proszę bardzo: „Gitara”.

— Okay, spójrz teraz na tamtą krawędź dachu. Myślę sobie, że tam jest gitara i... nie ma jej. Dlaczego? Bo myślałam normalnie. Teraz zaś używam swojego „szóstego zmysłu” i... proszę! — ledwie ANN wypowiedziała te słowa, a we wskazanym przez nią miejscu zmaterializował się wybrany przeze mnie przedmiot. — Oczywiście zazwyczaj to nie jest takie proste. Wiedz, że akurat gitary kreowałam tysiące razy i w swojej konsoli mam wiele gotowych wzorców. Dlatego wszystko, co musiałam zrobić, to wybrać parametry i umiejscowić ją w przestrzeni. Spójrz, nawet jest nastrojona!

ANN przykreowała gitarę w swoje ręce i zagrała na niej dwa akordy.

— Wiedz, że jeśli mam przedmiot w zasięgu wzroku, znam jego symbol i ewentualne hasło, mogę zrobić z nim, co tylko zechcę. Np. przekreować w inny przedmiot, rozmnożyć, zmienić kolor, wielkość, masę, temperaturę... no i zdyskreować, jeśli mam taki kaprys. — Mówiąc te słowa podrzuciła gitarę do góry, pstryknęła demonstracyjnie palcami i zmieniła ją w kolorowego ptaka, który odfrunął w nieznane. Nie, naprawdę nic nie było już w stanie mnie zaskoczyć. — Dzięki konsoli mogę np. patrząc na Ciebie dowiedzieć się, jaki masz numer IP i kto jest autorem twojego wyglądu. Oczywiście jesteś zabezpieczony hasłem, ale mojemu programowi deszyfrującemu złamanie go zajmuje około jednej tysięcznej sekundy. Proszę... Widzisz te cyferki u góry? To jest właśnie twój unikatowy symbol, a ten pod spodem, to numer IP, odpowiadający numerowi przyłączenia do wirtualnego świata (jeśli byłbyś botem, zamiast niego znajdowałyby się informacje o autorze i data wykreowania). Teraz mogę z tobą zrobić dosłownie wszystko. Co ty na to?

Zadrżałem, bowiem w jednej sekundzie moje ciało stało się... przezroczyste. Nie byłem niewidzialny, lecz wyglądałem niczym posąg, zrobiony ze szkła. Mogłem się poruszać, miałem nadal tą samą temperaturę i moje zmysły pozostały te niezmienione, ale czułem się strasznie nieswojo...

Gdy ANN przywróciła mi normalny wygląd, przenieśliśmy się w na dach kolejnego drapacza chmur. Dziewczyna stanęła na krawędzi i ponownie opuściła swoje ciało. Tym razem jednak wiedziałem, co robi. Co prawda nie byłem jeszcze zupełnie oswojony ze słowami, które przed chwilą usłyszałem, niemniej czułem się o wiele pewniej. Podziwiałem chmury, przesuające się szybko ponad dachami metropolii, szybkie pojazdy mknące wzdłuż wielopoziomowych ulic oraz kolorowe neony, rozcinające wieczorny półmrok. I tylko wysoko, w oddali lśnił jasny rogalik księżyca. Taki sam, jaki oglądali moi rodzice, zanim raz na zawsze opuścili Ziemię.

Po kilku minutach dziewczyna „wróciła do swojego ciała”, po czym przeszła do dalszych demonstracji.

— Oto typowy, szkolny przykład. Kreujemy sobie mur — powiedziała, materializując przed sobą półtorametrową ścianę z czerwonej cegły. — Jeśli chcę dowiedzieć się, co jest za nim, mogę to zrobić na wiele sposobów. Najprościej — przenosząc się na drugą stronę, ale założmy, że nie chce mi się ruszać z miejsca. Mogę więc zdyskreować mur — wrzucając go np. do schowka, albo przesunąć w inne miejsce. Mogę też spowodować, aby stał się niewidzialny i dokładnie obejrzeć, co się za nim znajduje, o tak!

W sekundę po tych słowach ściana zniknęła (a raczej stała się niewidzialna), a naszym oczom ukazał się siedzący w skulonej pozycji, kolorowy ptak.

— Proste i skuteczne, prawda? — spytała, a gdy przytaknąłem dodała. — Ale tak robią Kreatorzy po dwóch tygodniach od pasowania! Dobry Kreator, potrafi bez problemu, w przeciągu zaledwie ułamka sekundy przenieść punkt widzenia w inne miejsce, z którego będzie mógł swobodnie przyjrzeć się wybranemu obiektowi. Jednak to jeszcze nic! Prawdziwa sztuka kreowania zaczyna się w momencie, gdy przenosisz jakiś obiekt w ciemno. Po prostu określasz lokalizację i nie znając ani unikatowego symbolu, ani IP dokonujesz przekreowania.

— Ty tak potrafisz? — spytałem i szybko pożałowałem swojego pytania. Zabrzmiało to tak, jakby synek spytał tatusia, czy dałby radę coś zrobić, nie mając dostatecznego doświadczenia ani żadnych możliwości weryfikacji słów rodziciela. Po prostu wiedziałem, że obojętnie jak byłoby naprawdę — ANN przytaknie.

— Nie wszystko i nie wszędzie, ale potrafię — odparła zaskakując mnie szczerością. — Teraz sprawa jest prosta, ponieważ wiem, gdzie dokładnie znajduje się obiekt, wiem, jaki jest jego symbol. Niemniej jednak dwa lata po pasowaniu wykonywałam o wiele trudniejsze ćwiczenia i szło mi całkiem nieźle.

Nagle ANN obróciła gwałtownie głowę i znieruchomiała. W sekundę później przekreowała się do krawędzi dachu. Podszedłem i spojrzałem, w tym samym kierunku, co ona, a raczej postać, w której była jeszcze przed kilkoma sekundami. Przed moimi oczyma rozegrała się bardzo nietypowa scena.

Jasna, jakby płonąca postać przesuwiała się zwolna. Nie widziałem dokładnie, bowiem z wysokości drapacza chmur, na którym się znajdowałem, wszystko było bardzo małe i niewyraźne. Niemniej jednak dostrzegłem wyróżniającą się w mroku, ognistą sylwetkę idącego (albo wolno lewitującego) człowieka. Budynki wokół niego wyginały się, a pobliskie pojazdy rozsypywały w drobny pył. Nie wiedziałem kompletnie, o co w tym wszystkim chodzi, a jedynym skojarzeniem, które przychodziło mi do głowy, był fakt, że mam do czynienia z jednym z kolegów „po fachu” ANN, który wypił za dużo, albo po prostu się naćpał.

Po chwili dostrzegłem sylwetkę mojej przyjaciółki, materializującą się przed płonącym osobnikiem. Stała nieruchomo, zagrządzając mu drogę. Gdy wspomniany twór zignorował ją, nie zwalniając nawet tempa marszu, uniosła się w górę i wystrzeliła z dłoni wiązkę jasnych błyskawic.

Dźwięk suchych trzasków dotarł nawet na górę, do mnie. Był tak wymowny, że aż ciarki przeszły mi po plecach. Tymczasem ognista postać nawet nie zareagowała. Przeszła kilkanaście metrów, po czym zatrzymała się, odwróciła i... sylwetka ANN rozsypała się w drobny proszek. Podobnie stało się, ze stojącym obok mnie, klonem. Gdy spojrzałem znowu w dół, płonącej postaci już nie było.

Zadrzałem. Stałem bezradnie wpatrzony w kupkę szarego pyłu. Nie zdążyłem jednak kompletnie się załamać, bowiem po kilkunastu sekundach,

obok mnie zmaterializowała się ANN, cała i zdrowa. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak wnerwionej.

— Co to kurwa było?!

Bezradnie wzruszyłem ramionami. Pierwszy raz miałem do czynienia z sytuacją, kiedy moja dziewczyna była bardziej zaskoczona ode mnie.

— Ten skurwiel mnie zdyskreował! — wykrzyknęła, po czym najwyraźniej włączyła swoją niewidzialną konsolę, bowiem zaczęła rozmawiać z kimś. — Alarm! Mamy zbuntowanego Kreatora. Wyteleportował się jakąś minutę temu z obszaru „TCFFJ#89857548” Jest strasznie szybki i ma ukryty numer IP. Prześledź, dokąd się wynióś i wyślij za nim kilku ludzi, najlepiej z czterech, bo jest naprawdę dobry.

— (...)

— Nie ma żadnego śladu? Sprawdź jeszcze raz!

— (...)

— Musiał od razu się wyłączyć. Okay, dzięki! Połącz mnie z JJ_EX'em...

— (...)

— To niech ją przerwie!

— (...)

— Dziękuję... Cześć JJ!

— (...)

— Daruj sobie komplementy. Mam kłopot! Jakiś Kreator odstawia tu szopki.

— (...)

— To nie jest żaden młodzik! Jest chyba szybszy od ciebie... Na dodatek nie znalazłam jego numeru IP!

— (...)

— Wiem, że niedobrze! Szukałam nawet metodą fraktalową, chyba z 15 sekund i nic! Przez to mnie zdyskreował.

— (...)

— Jak to niemożliwe? To, co to było? Bot?

— (...)

— Chyba żartujesz... Nie będziemy teraz budzić LORDA_SOUR'a!

— (...)

— Okay, załatw mi transport. Nie zapomnij też ściągnąć wszystkich zapisów z „TCFFJ#89857548” i przyślij tu praktykantów, żeby z backup'ów odtworzyli budynki i naprawili wszystkie szkody.

— (...)

— A właśnie, że jestem opanowana!

— (...)

— Później o tym pogadamy. Na razie!

3

Elegancko umundurowany bot-pilot kierował lot cichego śmigłowca ku samotnej skale, z wierzchołka której tajemniczo spoglądał na nas pogrążony w czeluściach nocy zamek Thoughtcastle. Patrzyłem na niego z okna i nie rozumiałem, dlaczego ANN jest taka zdenerwowana. Nie rozumiałem i jednocześnie, kolejny raz odczuwałem jeden z najgorszych gatunków strachu – przed nieznanym.

Ledwie bezszelestny pojazd osiadł na ziemi, ANN prawie z niego wyskoczyła i pędem ruszyła w dobrze sobie znanym kierunku. Oczywiście podążyłem za nią, utrzymując to samo, ekspresowe tempo. Przecinając dziedziniec, minęliśmy fontannę z delfinami, w której toni dostrzegłem blask księżyca. Gdy znaleźliśmy się we wnętrzu okazałej hali, oświetlonej wiszącymi na ścianach pochodniami, rozpoznałem wśród piątki mężczyzn siedzących

przy długim stole JJ_EX'a i LORDA_SOUR'a. Wszyscy mieli na sobie płaszcze z ciemnego materiału i byli grobowo poważni. ANN przywitała się bez przesadnej nadgorliwości szybkim skinieniem głowy, a ja poszedłem w jej ślady. Spostrzegłem, że większość zebranych posłała mi sceptyczne spojrzenia. Czułem kłębiącą się w powietrzu nieufność, która potęgowała się z każdą chwilą. Widziałem, że wtargnąłem do klubu, którego członkiem nie byłem. JJ, którego jasne włosy lśniły w blasku tańczących pochodni, cały czas analizował mnie wzrokiem. Wyczuwałem w nim mocno stłumioną ciekawość mojej osoby, a także wysiłek, idący w parze z myślami, które nieustannie oscylowały wokół dzisiejszego problemu. Poza tym byłem już niemal pewien, że łączyło go wiele z ANN i czułem zazdrość, rozrywającą mnie od środka.

Zanim bohaterka dzisiejszego wieczoru zabrała głos, przybyła jeszcze trójka gości. Wśród nich dostrzegłem jedną, bardzo atrakcyjną kobietę o śniadej karnacji i długich, kręconych włosach. Przyglądałem się jej z udawaną dozą obojętności. Nie chciałem bowiem spowodować niczego, co mogłoby zostać źle postrzeżone.

Gdy byli już wszyscy w komplecie, Najwyższy Kreator powiedział kilka słów tytułem wstępu, w którym uzasadnił konieczność zwołania nadzwyczajnego zebrania. Później poprosił o szczegóły.

— Dzisiejszego wieczoru patrolowałam swoje sektory wraz z Pawłem — rozpoczęła ANN, wskazując na mnie rozwartą dłońią. — Zgodnie z zasadami nałożyłam atrybuty uniemożliwiające spostrzeżenie nas przez użytkowników Quasirealu.

— Kogo, jak kogo — wtrącił życzliwie LORD_SOUR, — ale Ciebie ANN nie śmiałbym posądzać o zrobienie czegokolwiek niezgodnie z Kodeksem Kreatora.

— Dziękuję — odparła, nawet nie siląc się na uśmiech. — O godzinie 20:22 zauważyłam tajemniczą postać. Wyglądała identycznie jak Ognisty Golem z sali ćwiczeń. Proszę o projekcję!

Na środku pojawił się holograficzny zapis zdarzenia.

— Proszę, tutaj się zmaterializował. Na początku zdyskreował dwa ślizgacze i ruszył wzdłuż ulicy, zmieniając wszystko wokół w szary pył. Dopiero wtedy go zauważyłam. Przeniosłam się w pobliże intruza. Widzicie jak wyginał przestrzeń? Ten budynek, że jeszcze stoi, to chyba jakiś cud! Byłam niewidzialna, ale on mnie dokładnie widział. Czułam, że od razu zaczął szukać mojego numeru IP. Jeszcze chyba nigdy nie spotkałam kogoś tak szybkiego i ani trochę nie przesadzam. Włączyłam dynamiczne szyfrowanie i jednocześnie przeszłam do kontrataku, skanując go najpierw klasycznie, potem metodą fraktalową. To jednak był mój błąd! Nie doceniłam jego potęgi. Zamiast ukryć się gdzieś, lewitowałam w pobliżu. Starczyło mu zaledwie trzydzieści kilka sekund, na znalezienie mojego IP. Zdezorientowana zdążyłam w ostatniej chwili wykreować widmo, które zaatakowało go fizycznie przy pomocy błyskawic. Jednak – jak można się było spodziewać – ognista postać również była widmem...

Dziewczyna przerwała na moment swoją opowieść, oderwała wzrok od holo-projektora i powiodła nim wzdłuż twarzy słuchaczy. Malowało się na nich totalne zaskoczenie. Nawet LORD_SOUR, zwykle opanowany, nie potrafił skryć osłupienia.

Spostrzegłem też, jak sprytny jest JJ_EX. Bot-ptak, który zwykle przesiadywał mu na ramieniu, tym razem podfruwiał do hologramu i uważnie go studiował. Pozostali Kreatorzy przysuwali się bliżej, aby zobaczyć zapis dokładniej, natomiast JJ korzystał z oczu swojego pupila. To, co na pierwszy rzut oka wydało mi się maskotką, było cennym narzędziem do zbierania informacji, które mogło stać się również groźną bronią. Nie doceniłem go...

— W kilka sekund później — powiedziała ANN, wracając do tematu. — Zostałam zdyskreowana, a wraz ze mną oba moje widma – to przed nim i drugie – tutaj, na dachu, zostały przemienione w szary pył. Numeru IP jednak nie znalazłam, mimo kilkunastosekundowego skanowania. Mało tego, to coś nie miało nawet żadnego unikatowego numeru! Gdy wróciłam już go nie było.

— Chciałem dodać — wtrącił się siedzący obok ciemnowłosej kobiety o śniadej cerze, Kreator, który trzymał w ręku kontroler od holo-projektora, że przeanalizowałem zapisy i nie ma żadnego symbolu lokalizacji, z której i do której teleportował się intruz, ani jego widmo. Owszem, jest ślad wejścia i wyjścia, ale – spójrzcie sami – login: nieznany, symbol: nieznany, lokalizacja: nieznana. Mamy tylko czas zdarzenia.

— Przeanalizujcie wszystkie wejścia i wyjścia, które miały miejsce w tym samym czasie. — odezwała się milcząca dotychczas kobieta. Miała śliczny, choć nieco chaotyczny głos i białe, równe zęby, które uroczo kontrastowały z jej ciemną skórą.

— Niestety ROKSANO — odezwał się JJ_EX, — już to zrobiłem i nie przyniosło to absolutnie nic. Około trzystu użytkowników i kilkanaście botów w tym samym czasie przemieszczało się między obszarami, ale... żaden z nich nie odpowiada naszym kryteriom. Jeśli zrobiłem błąd, możecie sprawdzić jeszcze raz. Wyniki zostawiłem w bibliotece.

Odpowiedziała mu głucha cisza. Najwyraźniej w opinii zgromadzonych JJ nie mylił się nigdy.

— Ja uważam, że to musi być ktoś z naszych! — odezwał się kolejny członek zakonu. Wyglądał niczym Salvador Dali, bowiem miał małą, szpiczastą bródkę i czarne, zakręcone wąsy. Poza tym nawet mówił z lekko hiszpańskim akcentem, który osobiście źle mi się kojarzył, bowiem przypominał trochę styl Rogeliego. — Możliwe, że któryś z uczniów, z ostatniego rocznika po pasowaniu.

— Nie zgodzę się z tym — zaprzeczył JJ_EX. — Wszyscy, prócz ciebie Pawle, jesteście mistrzami swojego kunsztu. Niemniej jednak, nie sądzę, żeby komukolwiek z nas udało się coś takiego, jak wkreowanie i wykerwoanie się do jakiegoś obszaru bez żadnego śladu w dziennikach. Poza tym nikt nie niszczy niczego ot, tak, sam z siebie, bez powodu. Dodam jeszcze, że znam wiele, naprawdę zaawansowanych sposobów ukrycia numeru IP, ale każdy z nich można rozszyfrować przy pomocy metody fraktalowej w kilka sekund. Dlatego uważam, że mamy do czynienia z jakimś botem.

Dobrze, że podkreślił, że nie jestem mistrzem, bo pewnie zapomniałbym.

— Nie zgodzę się z tym — powiedział głośno LORD_SOUR.

Po tych słowach nastała zupełna cisza. Jak się domyśliłem, zaprzeczenie JJ'owi, nawet przez Najwyższego Kreatora, bez stosownego uzasadnienia było traktowane niemal jako bluźnierstwo. Cała sala patrzyła teraz na zwierzchnika i czekała na stosowne argumenty.

— Po pierwsze, musiał to zrobić ktoś z naszego zakonu, może nawet któryś z nas. Nie wykluczam też „włamania” któregoś z emerytowanych...

— To może Kreator Wszechrzeczy wrócił? Może się za coś mści? — spytała ROKSANA. Gdy była wzburzona wyglądała jeszcze śliczniej.

LORD_SOUR spojrzał na nią chłodno, jakby chciał powiedzieć: „mi się nie przerywa” i dodał:

— Wszechkreator nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Po pierwsze, to nie w jego stylu, po drugie nie miał powodu, a po trzecie – był moim przyjacielem i ręką za niego. Uważam też, że nie mógł tego dokonać żaden bot. Dobrze przecież wszyscy wiemy, że do tego potrzebna jest Wola Kreacji. Poza tym żaden serwer nie odpowie nigdy na żądanie kogokolwiek, bez numeru IP.

— Ale on właśnie nie miał żadnego IP! — powiedział JJ_EX niemal krzykiem.

Wszyscy umilkli w reakcji na tak ostry ton wypowiedzi, skierowany do Najwyższego Kreatora, a ANN aż zadrżała.

— Jeśli czegoś nie możemy znaleźć, nielogicznym jest zakładanie, że tego nie ma — powiedział uśmiechając się ironicznie LORD_SOUR. — Poza tym żaden bot nie ma dostępu do biblioteki obiektów treningowych, a przecież wszyscy dobrze widzieliśmy, że tamto widmo wyglądało identycznie jak Ognisty Golem. Nazwijmy więc sprawę po imieniu. Mamy do czynienia z Dyskreatorem!

JJ spojrzał z trudem tłumiąc gniew w sobie. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć naprawdę mocne słowa, ale ze względu na prestiż oponenta ugryzł się w język. Nawet kruk siedzący na jego ramieniu znieruchomiał.

4

W podziemiach kolorowej, warszawskiej kamienicy brzmiała donośna muzyka. Wraz z ANN, Benem i jego nowopoznaną dziewczyną siedzieliśmy oddaleni o kilkanaście metrów od podwyższenia, na którym dwuosobowy zespół rockowy, wygrywał przyjemne dla ucha kawałki.

Kufelki piwa, zroszone skroploną parą wodną, dawały przyjemne uczucie chłodu w palcach. Przesuwałem delikatnie swoje kolano wzdłuż uda ANN. Musieliśmy się odprężyć po wczorajszej, ciężkiej nocy.

Ben był oczarowany wirtualnym światem, ale siedząca obok niego kobieta, mimo nieprzeciętnej urody, okazała się nad wyraz nieśmiała. Co prawda dotrzymywała tempa opróżniania kolejnych kufli, niemniej zabierała głos dopiero, gdy ktoś konkretnie o coś ją spytał. Takie zachowanie było typowe dla... bota.

Muszę przyznać, że dopiero po kilkudziesięciu minutach spostrzegłem, iż ona nie jest człowiekiem. Zdradził ją fakt, że nie śmiała się, z anegdot, które sobie odpowiadaliśmy. Muszę przyznać, że gdyby nie to, naprawdę nie wpadłbym na to.

Skoro już mowa o anegdotach, to najlepszą, jaką z Benem opowiedzieliśmy kobietom, była opowieść o konserwacji generatora grawitacji na pokładzie Nowej Europy. Prawdą jest, że raz na kilkadziesiąt lat, wspomniane urządzenie musiało być wyłączone i poddane przeglądowi. Niosło to za sobą kompletny brak grawitacji na całym krążowniku przez dwa dni. Oczywiście byliśmy na to zawsze przygotowani. Rzeczy w szafach pakowaliśmy tak, aby nie miały ani odrobiny luzu, wszystkie przedmioty stojące na wierzchu, chowaliśmy, albo przyklejaliśmy do stołów i mebli taśmą klejącą, a te z kolei do podłogi specjalnym silikonem. Niemniej jednak nie było łatwo poruszać się w stanie nieważkości, a co dopiero spać. Wspomniałem również, jak to „miło” obudzić się na drugim końcu pokoju, w rogu pomiędzy ścianą, a sufitem. Poza tym „frunąc” wzdłuż pozbawionych wystroju korytarzy, niejednokrotnie zdarzało się mi pomylić sufit z podłogą. Ben stwierdził, że to jeszcze nic, bowiem on, podczas braku grawitacji najczęściej z kolegami oddawał się „degustacji” trunków alkoholowych. Po czymś takim, zdarzało mu się po przebudzeniu, znajdować na drugim krańcu pokoju lewitujące „wymioty”.

Wszyscy, parsknęli śmiechem, prócz botki, która dopiero po kilku sekundach, aby nie wyróżniać się od reszty towarzystwa zrobiła to samo. Była szczupłą blondynką. Kolor włosów jednak nie pasował do typu jej urody, który – jak na moje – można było zaliczyć do typowo orientalnych.

— To jeszcze nic! — wróciłem do tematu, po tym jak opanowałem śmiech. — Największe wyzwanie podczas wyłączenia generatora, stanowiło załatwienie się w ubikacji. Co prawda było kila publicznych miejsc, gdzie

panowało podciśnienie, które zasysało nieczystości i nie było z tym większego problemu. Jednak prawie zawsze były tam duże kolejki, no i nie zawsze w środku nocy człowiek miał ochotę wychodzić tam w pidżamie. Nie wiem jak ty Ben, ale ja zawsze pomagałem sobie w... wykonywaniu fizjologicznych czynności suszarką do włosów...

Wszyscy ponownie parsknęli śmiechem, a ANN, która w tym momencie akurat przykładała kufel do ust, zachłysnęła się złotym trunkiem.

Poza tym, jeśli o mnie chodzi, to bardzo lubiłem uprawiać seks bez grawitacji. Pomiąłem jednak ten motyw w swojej opowieści.

Z tego, co dowiedziałem się na niniejszym spotkaniu, pani prezydent i jej doradca otrzymali na czas pobytu w wirtualnym świecie luksusowy apartament w Quasirealu. Ben natomiast tylko dwupokojowe mieszkanie, ale – jak sam powiedział – to i tak było za dużo, jak na jego potrzeby. Jedynym problemem, który zaprzętał głowę mojemu przyjacielowi, był fakt, że Cecile (gdyż tak na imię miała towarzysząca nam botka) zignorowała jego zaproszenie do wspomnianego lokalu. Jak mi później, w dyskretny sposób wytłumaczyła ANN, wolne boty mają zakaz przebywania w prywatnych obszarach dłużej niż godzinę. Dowiedziałem się też przy okazji, że Cecile jest dziełem JJ_EX'a, który zanim jeszcze zasiadał w radzie Kreatorów i ukończył kolejne kilkanaście specjalizacji, był Kreatorem botów. Szczerze mówiąc, nie zdziwiło mnie to, ani trochę.

5

Obudziłem się bardzo późno. Byłem wyczerpany seksem i miałem kaca. ANN, widząc jak się męczę, przy pomocy jednej myśli spowodowała, że poczułem się trochę lepiej. Podziękowałem jej jednak tylko chłodnym „thanks”. Wyczuwałem w jej zachowaniu, że jest coś nie tak. Na początku łudziłem się, iż to tylko chwilowy brak życzliwości, spowodowany niewyspaniem oraz zająściami związanymi z pojawieniem się Dyskreatora. Jednak z każdym spojrzeniem i gestem utwierdzała się moja hipoteza. Zrozumiałem, że coś się święci i wcześniej, czy później czeka mnie trudna rozmowa.

Po sytym i elegancko wykreowanym śniadaniu, które zjedliśmy w porze obiadowej, postanowiłem spytać ANN, o co chodzi. Gdy już znalazłem odpowiedni moment i miejsce, nieoczekiwanie odwiedził nas JJ_EX. Moja dziewczyna dobrze wiedziała, że oboje nie przepadamy za sobą, niemniej jednak żaden z nas nie zdradził żadnym, choćby najdrobniejszym gestem skrywanej antypatii.

Młody Kreator wypił z nami herbatę, opowiadając przy tym o dalszych postępach w kwestii poszukiwania Dyskreatora. Brak oficjalnego stroju (oraz kruka) spowodował, że przyjaciel mojej kapryśnej dziewczyny okazał się o wiele bardziej sympatyczny. Nareszcie zrzucił z twarzy skorupę powagi i był sobą. Jeszcze trochę i zacznę go lubić!

ANN, jako że nie była członkiem rady, nie miała dostępu do wszystkich informacji. Dlatego właśnie słuchała z zapartym tchem. Dowiedziała się też, że przydzielono jej kolejne obszary do patrolowania i zwiększono tymczasowo czas pracy z trzech, do czterech dni. Poza tym kilka razy „niechcący” zwróciła się do mnie życzliwym tonem.

Po obowiązkach, przyszedł czas na przyjemności. JJ i jego przyjaciółka rozpoczęli „partyjkę” jakiejś tajemniczej gry. Nie znałem dokładnie zasad, ale muszę przyznać, że przesuwanie trójwymiarowych klocków w powietrzu przy pomocy myśli, mimo skrywanego głęboko gniewu, naprawdę robiło na mnie wrażenie. Kreatorzy obracali swoje przestrzenne obiekty, ustawiając je tak, aby blokowały jak największą ilość klocków przeciwnika. Z zaciekawieniem obserwowałem emocje, jakie malowały się na twarzach graczy. Oczywiście,

jak mogłem się spodziewać, partia była nierówna i JJ_EX bardzo szybko odniósł zwycięstwo. Potem przyszedł czas na rewanż i dla odmiany... chłopak wygrał jeszcze szybciej. W duchu, przez czystą złośliwość, cieszyłem się z takiego obrotu sprawy.

Mimo wszystko, strasznie denerwował mnie fakt, że non stop byłem ignorowany. Przez cały czas starałem się powiedzieć coś, co przyciągnęłoby uwagę moich towarzyszy. Niestety, nie wychodziło mi to ani trochę. Być może zbyt mało wiedziałem o wirtualnym świecie, a może po prostu, nie chciano mnie słuchać...

Po kilku rozgrywkach, które powoli zaczynały mnie nudzić, ANN wymyśliła sobie, że ma ochotę na trochę śpiewu, a JJ bez pytania przekreował całą naszą trójkę do studia muzycznego.

Chociaż byłem w głębi ducha oburzony i źle nastawiony ogólną ignorancją mojej osoby, dostrzegłem, że przyjaciel ANN używa swoich unikalnych zdolności z dużo większą gracją niż ona. Gdy dokonywał przeniesienia, na jego twarzy nie pojawił się nawet najmniejszy ślad wysiłku emocjonalnego. Poza tym, zrobił to o wiele szybciej i posadził mnie w fotelu w tak naturalnej pozycji, że wydawało mi się, iż znajduję się w nim od dobrych kilku minut.

JJ_EX przekreował jednym spojrzeniem wiszącą na ścianie gitarę w swoje dłonie i zagrał na niej tak szybką solówkę, że z wrażenia otworzyłem usta.

— Ta źle mi leży — powiedział z niesmakiem, po czym wypuścił instrument z rąk. Tamten zanim dotknął podłogi, rozpłynął się w powietrzu, a w dłoniach gitarzysty zmaterializował się kolejny.

— O, już lepiej — stwierdził, przywołując, nie wiem skąd, dźwięk perkusji.

ANN zmaterializowała stojak z mikrofonem i po kilku taktach weszła z wokalem. Jak zwykle jej fenomenalny głos, zrobił na mnie piorunujące wrażenie. Dosłownie niemal zapomniałem o całym gniewie, który „nosiłem” pod jej adresem. Niestety, tylko do czasu.

Strasznie zdenerwował mnie fakt, iż przez większość czasu, jej wzrok z przyklejonym uśmiechem, utkwiony był nie we mnie, lecz w gitarzyście. Czułem się niepotrzebny, niczym siódme koło w sześciokołowcu. Złość we mnie wrzała. A na zewnątrz, hm, oczywiście... był uśmiech i brawa.

Po sesji muzycznej JJ powiedział, że czas już na niego i po przyjacielsku uścisnął mi dłoń. Żegnając się z przyjaciółką przypomniał o nowym obszarze do patrolowania. Uścisnął i ucałował ją w policzek, po czym rozpłynął się w powietrzu.

Patrząc na tą sytuację „okiem zewnętrznym”, wszystko było w idealnym porządku. Problem zaczął się dopiero w momencie, gdy gość sobie poszedł. Oczywiście nie omieszkalem posłać złośliwego komentarza na temat pożegnalnego spoufalania. I to właśnie był mój błąd...

Zaczęło się od tego, że wychwalała JJ_EX’a, tłumacząc, jaki on jest dobry, jak na wszystkim się zna, że zamienia się ze swoim krukiem-botem miejscami, kiedy tylko chce i że zrobiłby dla niej wszystko. Byłem pewien, że ANN chce mnie sprowokować i wiedziałem, że najlepszym wyjściem będzie brak jakiegokolwiek reakcji.

Z początku udawało mi się to. Jednak po kolejnym komplemente, dotyczącym JJ’a nie wytrzymałem. Postanowiłem, że nie pozwolę tak siebie traktować.

— Śmiem domyślać się, że jest dla ciebie ważniejszy ode mnie — rzekłem wprost. Nie w gniewie, ale z dużą dozą złośliwości.

— Znam go długo i wiem, że wiele mnie z nim łączy... — syknęła. W jej oczach dostrzegłem zawiść.

— Tak, właśnie widzę, że baaaardzo wiele! Domyślam się jak potoczyłoby się spotkanie, gdyby mnie tutaj nie było! — powiedziałem i... chyba przesadziłem.

— Nie odzywaj się do mnie!

Tak, przesadziłem. Zamilkłem. Trwaliśmy w ciszy około minuty. W końcu ANN nie wytrzymała i wrzasnęła.

— Co ty możesz wiedzieć o Kreatorach? To są sprawy, których nigdy nie zrozumiesz! Całe życie przesiedziałeś w kosmicznej klatce i myślisz, że jesteś mądrzejszy od nas? Albo może ja jestem twoją własnością? Pewnie myślałeś też, że będę ci do końca życia wierna? Co ty sobie wyobrażasz? Jeszcze parę dni temu nie odróżniałeś platformy teleportera od kuchenki mikrofalowej, a teraz udajesz mądrego!

Drżała z gniewu, jeszcze nigdy nie widziałem w niej tyle nienawiści. Wspomniała o wierności, więc tak jak przypuszczałem, bezpośrednią przyczyną kłótni musiał być seks. Może nasz związek naruszał jakąś harmonię w jej życiu, a może po prostu psuł erotyczną swobodę? Tak, czy owak postanowiłem sobie być twardym.

— Powiedz słowo, a nigdy już mnie nie zobaczysz — odparłem zupełnie poważnie, patrząc jej prosto w oczy.

— Jak źle ci tu, to spieprzaj! Myślisz że co, poszukałeś sobie dziewczynki do seksu? A jeśli chodzi o JJ'a, to nigdy mu nie dorównasz i to w niczym! Nawet w łóżku... Wiedz, że on kiedyś będzie Najwyższym!

Zadrżałem, ale oparłem się pokusie powiedzenia tego, co sobie pomyślałem. Odwróciłem się powoli, po czym wyszedłem z jadalni w stronę głównego holu. Przez moment jeszcze łudziłem się, że usłyszę jakieś „poczekaj”, ale jedynym dźwiękiem, który mącił ciszę w mej głowie, było przyspieszone bicie serca. Z każdym krokiem ubywało mi wiary. Ostatecznie pchnąłem wielkie wrota i wyszedłem na zewnątrz. Nie czułem nienawiści, tylko ogromne rozczarowanie.

W oczach miałem łzy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

1

Od kwadransa czekałem z panią prezydent, jej doradcą oraz Benem na szczycie wieży Eiffla. Rozumiem, że mediatorzy chcieli dać nam trochę czasu na podziwianie panoramy Paryża, ale piętnastominutowy poślizg, jak dla mnie był przesadą.

Denerwowały mnie żarty pani prezydent, z których śmiałem się przez grzeczność, mimo iż były całkiem na poziomie. Po prostu nie zdążyłem się jeszcze pozbierać po rozstaniu z ANN.

Minęło zaledwie pięć dni, a ja nie wiedziałem, co ze sobą począć. Wirtualny świat, który początkowo wydał mi się rajem, już mnie nie cieszył. Zimny wiatr owiewał mi twarz, a ja spoglądałem jeszcze chłodniejszym wzrokiem na tysiące francuskich kamieniczek, odtworzonych na wzór oryginalnych, z XXV wieku.

Do tego wszystkiego skumulowały się jeszcze anegdoty pani prezydent i jej stwierdzające pytania dotyczące ANN. Wiem, była bogu ducha winna, bo nie powiedziałem jej, że to zamknięty rozdział w mojej historii, ale mogła przynajmniej wyczuć moje złe samopoczucie, którego nawet nie miałem ochoty kryć.

Mimo to, muszę przyznać, że doradca głowy Nowej Europy był w jeszcze gorszej sytuacji niż ja. Wyglądał, jakby niedawno popełnił jakąś wielką gafę (ostatecznie mieszkał z wspomnianą kobietą w jednym apartamencie) i teraz za nią pokutował. Z ruchliwego człowieka, ubranego w luźny, kolorowy strój, przekształcił się w poważnego „urzędasza” w garniturze, który stał i non stop przytakiwał głową.

Pani prezydent zrobiła kolejną rundkę dookoła najwyższego piętra wieży, po czym podzieliła się z nami anegdotą, która przyszła jej na myśl. Powiedziała, że pewien polityk (trzy czwarte jej opowieści tak się zaczynało), który nienawidził Wieży Eiffla, jadł codziennie śniadanie w restauracji na jej szczycie. Spytany przez przeciwnika politycznego, dlaczego to robi, odparł, że to jedyne miejsce, z którego nie widać wspomnianego, metalowego szkaradztwa.

Ben i ja parsknęliśmy bardziej, lub mniej szczerym śmiechem. Doradca natomiast, zachował grobową minę i tylko przytaknął kilkoma skinieniami głowy. Pomyślałem sobie, że równie dobrze pani prezydent mogłaby mieć manekina, który reagowałby na dźwięk poruszeniem głowy.

Nagle usłyszałem odgłos nadjeżdżającej windy. Jak można się było domyśleć, wysiadł z niej znany mi pan senator oraz Najwyższy Kreator. Ten drugi – niestety – nie był sam.

Na widok ANN zadrżałem. W jednej chwili poczułem radość, gniew oraz strach. Chciałem powiedzieć jej tak wiele, a tymczasem ograniczyłem się jedynie do obojętnego „cześć”.

Nic nie odpowiedziała, spoglądając do mnie tak chłodnym wzrokiem, że próżnia kosmiczna w porównaniu z nim parzyła. Żeby było ciekawiej, LORD_SOUR „dołożył” mi kolejną niespodziankę:

— Rada wybrała ANN głównym negocjatorem w sprawie Nowej Europy.

Po „czułym” powitaniu cała nasza siódemka udała się do ekskluzywnej restauracji, mieszczącej się na górnym tarasie, która pomimo niewielkich rozmiarów, zaskakiwała luksusem. Białe obrusy na stołach dosłownie pachniały świeżością, a rozłożone na podłodze czerwone chodniki,

powodowały, że aż chciało się zdjąć buty, wchodząc na nie. Przyglądając się egotycznym kwiatom, zdobiącym lokal, zacząłem nawet zastanawiać się, czy tutaj, w Quasirealu, trzeba je podlewać.

Nie miałem zbytnio apetytu, ale przez grzeczność oddałem się konsumpcji. Poza tym, zawsze było to lepsze, niż wpatrywanie się w twarze współbiesiadników. Tak prawdę powiedziawszy, to prezentowaliśmy się „zupełnie” niczym zawodowi mediatorzy: ja i siedząca naprzeciw ANN, posyłający sobie tak sympatyczne spojrzenia, że można było od nich umrzeć; milczący, jakby wystraszony doradca pani prezydent; smutny pan senator, ciągle powtarzający: „nie jestem kompetentny”; Ben, który był pilotem-mechanikiem i nie przywykł do oficjalnych spotkań. Aż strach pomyśleć, że od ludzi, takich jak my, zależały przyszłe losy mieszkańców Nowej Europy. Na szczęście sytuację ratowała pani prezydent, przejmując inicjatywę oraz LORD_SOUR, który dzisiaj był wyjątkowo rozmowny. Być może kwestia Dyskreatora, rozbudziła w nim talenty oratorskie?

Po kilkunastu minutach rozmów, gdy już skończyły się mi i ANN pomysły na złośliwe spojrzenia, zaczęliśmy się ignorować. Oboje udawaliśmy, że na siebie nie patrzymy. Muszę się pochwalić, że byłem w tym od niej o wiele lepszy. Dwukrotnie bowiem przyłapałem dziewczynę, jak pod wpływem mojego spojrzenia, wodziła wzrokiem dookoła, udając, że się rozgląda. Była to typowa „szkolna” reakcja, o której uczyłem się na pierwszym roku studiów.

Przejęcie inicjatywy przez głowę Nowej Europy zaowocowało podpisaniem kilku istotnych dokumentów. Mówiąc w skrócie, była to gwarancja, że każdy obywatel naszej kosmicznej społeczności, jeśli wybierze życie w wirtualnym świecie, otrzyma własny numer IP, mieszkanie w Quasirealu, albo Eposquantinie, oraz pewną ilość kapitału finansowego. Najmocniejszym i bezapelacyjnie niezaprzeczalnym argumentem pani prezydent, był fakt, że ludzie na pokładzie krążownika, są tak niecierpliwi, że każdy dzień zwłoki, powoduje zwiększenie ryzyka buntu.

Jak mogłem się spodziewać, negocjatorów niezbyt interesowały materiały naukowe, które zebraliśmy podczas siedemsetletnich wojaży. Co prawda Najwyższy Kreator, powiedział, że wiele uniwersytetów, od lat czekało na nasze publikacje, ale jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić naukowca, który przeglądając pod mikroskopem nowy gatunek grzyba, przywieziony przez Rogeliego wykrzykuje: eureka!

Senator i zwierzchnik zakonu Kreatorów zastrzegli sobie, w dodatkowych protokołach, że umowa może zostać unieważniona, w przypadku braku poparcia większości głosujących w senacie, oraz w przypadku nadzwyczajnych problemów. Te ostatnie, jak się domyśliłem miało związek, z potencjalnym zagrożeniem ze strony Dyskreatora.

Innymi słowy negocjacje, w przeciwieństwie do samopoczucia większości obradujących, można było uznać za udane.

2

Wieczór zaowocował kolejną wizytą w pubie. Tym razem, dla odmiany wybraliśmy z Benem i Cecile mały, irlandzki lokal, na peryferiach jednej z kopii Dublinu. Przyjazna atmosfera oraz ciemne piwo, pomagały mi zapomnieć, chociaż odrobinę, o nieszczęśliwych perypetiach z ANN. Irlandzka muzyka była taka skoczna, taka wesoła... Ludzie tańczyli wesoło, a mi... chciało się płakać. Na nic zdały się zaproszenia do tańca starszego przyjaciela i jego dziewczyny-botki. Całe szczęście, że przynajmniej oni mieli dobre humory.

Gdy tak przyglądałem się tańczącej Cecile, zacząłem zastanawiać się, co ją wyróżnia od pozostałych osób na parkiecie. Gdy widziałem, jak rytmicznie się porusza; jak wtula w Bena; doszedłem do wniosku, że nie różni się niczym. Sprawiała wrażenie bardzo wrażliwej kobiety i gotów byłbym przysiąc,

że jak każda istota, pragnęła miłości. Poza tym malutkie dołeczki na jej twarzy powstające podczas uśmiechu urzekły mnie bezgranicznie, podobnie jak oczy – lśniące wiarą.

Kolejną noc spędziłem u Bena, śpiąc na kanapie, w tym samym pokoju, co on. Jak zwykle przed zaśnięciem podzieliłem się z nim niepokojem oraz wszystkimi obawami. Tylko mu ufałem do tego stopnia, że mogłem powiedzieć wszystko, chociaż przyjaźniliśmy się tak krótko. Poza tym znał i rozumiał mnie na tyle dobrze, żeby udzielać mi rad.

Jemu przecież też nie było łatwo. Kobieta bliska jego sercu była tylko botem, którego nawet nie mógł przyprowadzić do domu.

Ostatecznie, nasza nocna rozmowa wróciła do punktu wyjścia, czyli do kwestii ANN.

— Czy czujesz do niej nienawiść? — spytał wprost.

— Nie — odparłem szczerze. W pokoju panowała niemal całkowita ciemność. Bez obserwacji rozmówcy, czułem się nieco ograniczony, ale miało to też swoją zaletę, bowiem nareszcie nie musiałem przyjmować żadnych póż.

— Dlaczego więc dzisiaj patrzyłeś na nią z taką wrogością? — nie ustępował Ben.

— ...

— Ja tam nie znam się za bardzo na mowie ciała, jestem zwykłym mechanikiem, ale jak na moje, zachowywałeś się tak, bo chciałeś pokazać jej, że jesteś twardy. Czy nie myślałeś kiedyś, jak wspaniały byłby świat, gdyby ludzie mówili to, co myślą?

— Myślałem i to wiele razy...

— Nigdy nie starałeś się wyjść ku temu na przeciw? — obsypywał mnie pytaniami przyjaciel.

— Może kiedyś... Ale byłem młody i głupi...

— Chciałbym być taki „stary” jak ty teraz — powiedział mój rozmówca. Nie widziałem jego twarzy, ale byłbym gotów założyć się, że pojawił się na niej uśmiech — Pomyśl, co powiedziałbyś dzisiaj ANN, gdybyś postępował zgodnie z wspomnianą zasadą.

— Hm — westchnąłem. — dużo rzeczy.

— Po kolei. Wyobraź sobie tę sytuację: z windy wchodzi LORD_SOUR, senator i ANN. Co mówisz do swojej byłej dziewczyny?

— Hm...

— Śmielej, nie wstydź się!

— Wyglądasz tak pięknie. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się cieszę, że cię widzę! Dlaczego tak patrzysz na mnie z ukosa? Ja nie chcę nic złego, chcę być z tobą!

— Bardzo dobrze — powiedział Ben, o dziwo bez żadnej ironii, ani komentarza. — Teraz ANN podchodzi do Ciebie i bez żadnego słowa udaje się do restauracji. Co myślisz?

— Nienawidzisz mnie? Dobrze, ja też tobą gardzę. Jesteś dla mnie nikim! — rzekłem podniesionym tonem, sam siebie zaskakując.

— Doskonale! Pomyśl sobie, teraz, co odczuła ANN, gdy zamiast uśmiechnąć się na przywitanie, spojrzałeś na nią z wyrzutem i rzuciłeś obojętnie: „cześć”.

— Na pewno coś podobnego do mnie — stwierdziłem. — Wiesz, chyba ty powinienesz być specjalistą od mowy niewerbalnej, a nie ja...

— E tam, głupoty gadasz — powiedział skromnie Ben. — Na pewno studiowałeś sto razy trudniejsze przypadki, ale nigdy nie miałeś okazji samemu w nich uczestniczyć... Wiesz, że z zewnątrz wszystko wygląda bardziej przejrzysto.

Po długiej chwili milczenia podniosłem się z łóżka i po omacku, poszedłem do ubikacji. Ciemne, irlandzkie piwo dawało się we znaki mojemu pęcherzowi. Gdy wróciłem, usłyszałem miarowy, głęboki oddech śpiącego przyjaciela. Położyłem się, starając się uspokoić burzę myśli, która rozpętała się w mojej głowie.

— Powiedz mi, jak bardzo ci na niej zależy? — głos Bena zaskoczył mnie ogromnie.

— Myślałem, że zasnąłeś? — spytałem, kryjąc poruszenie.

— Nie mogłem, muszę skończyć to, co zacząłem — powiedział z opanowaniem i gracją. — Odpowiedz, proszę na moje pytanie.

— No, zależy mi na niej, dość mocno...

— Co to znaczy „dość mocno”? — wnikał przyjaciel. — Chciałbyś do niej wrócić, czy nie?

Zastanowiłem się przez moment.

— Nie wiem.

— Hm... — westchnął Ben — Studiowałeś przez wiele lat jak rozpoznać po zachowaniu innego człowieka, jego pragnienia, a nie potrafisz odnaleźć swoich?

— Może to nie był najlepszy kierunek studiów dla mnie... — stwierdziłem z zażenowaniem.

— Nie, nie o to mi chodzi — zaprzeczył przyjaciel. — Na pewno odziedziczyłeś po rodzicach niebywałe zdolności i wybrałeś idealnie pasujące do nich studia. Jak znam życie, na pewno byłeś najlepszy na roku.

— Byłem drugi — sprostowałem, sam siebie zaskakując brakiem skromności.

— Widzisz, ja nie miałem tak łatwo w życiu. Moi rodzice myli kible na Nowej Europie. Byłem jednym z pierwszych dzieci, które przyszły na świat w kosmosie i nie wiadomo było, co z nimi zrobić. W szkole miałem problemy, bo nie lubiłem się uczyć. Nigdy nie miałem dziewczyny, bo byłem za bardzo nieśmiały. Wiedz jednak, że było coś, co ułatwiało mi życie. Zawsze wiedziałem, czego chcę. Jak myślisz, dlaczego jestem pilotem-mechanikiem?

— Masz do tego smykałkę — pochwaliłem bez żadnej przesady przyjaciela.

— Niby to prawda, bo od najmłodszych lat, rozkręcałem wszystkie zabawki i rozbierałem je na czynniki pierwsze, ale to nie jest wystarczający powód. Wielu chłopców tak robi, przy czym jedni z tego wyrastają, a inni nie.

— I ty należysz do tych drugich! — powiedziałem, niczym grzeczny uczeń, chcący podliznąć się nauczycielowi.

— Tak samo było z lataniem na symulatorze — kontynuował Ben, jakby nie słysząc mojego wtrącenia. — Rodzice mówili mi bez przerwy, że to nie da mi żadnej przyszłości, że ogłupia umysł, ale ja to lubiłem i wiedziałem, że tego właśnie chcę w życiu. Dlatego poszedłem do LFWM i nigdy nie żałowałem tego kroku. Poza tym wielu znajomych do dzisiaj mi zazdrości, że raz na kilka miesięcy miałem możliwość polatać sobie TLC – 75 w pełnym uzbrojeniu.

— Nie dziwię się — przytaknąłem. — Sam ci zazdroszczę.

— Powróćmy jednak do tematu. Spójrz na mnie. Jestem teraz w związku z Cecile, kobietą, która dla wielu jest tylko bezdusznym zlepkiem algorytmów. Mógłbym poszukać sobie kogoś innego, ale ja chcę z nią być. Owszem, mógłby ktoś powiedzieć, że jest nieprawdziwa. Może jest w tym odrobina prawdy, ale ja wiem, że moja malutka Cecile, jest bardziej prawdziwa od większości ludzi na tym świecie. Nie wiem czy zauważyłeś, ale ona nigdy nie kłamie, ani nie udaje.

Gdy przytaknąłem, Ben zniżył głos i grobowo poważnym tonem rzekł:

— Paweł, odpowiedz, nie mi, tylko sobie, czy chcesz wrócić do ANN.

Zamilkłem. Zacząłem zastanawiać się, chociaż odpowiedź przecież znałem od samego początku. Znałem, ale po prostu bałem się w nią uwierzyć!

— Tak — szepnąłem.

— Jutro, z samego rana idź do niej z kwiatami, bombonierką, albo bóg wie czym! Przepróż ją za wszystko, nawet to, czego nie zrobiłeś. A potem błagaj ją! Może będziesz śmieszny, ale warto. Pamiętaj, rób to, czego w życiu naprawdę chcesz!

Ostatnie słowa Bena przed zaśnięciem jeszcze długo dźwięczały w mojej głowie. Tak bardzo pragnąłem zasnąć, odciążyć umysł od myślenia. Jednak jak na ironię losu, z każdym kwadransiem, robiłem się coraz mniej senny. Wsłuchany w równomierne chrapanie przyjaciela, zagubiony we własnym labiryncie myśli, doczekałem nadejścia świtu. Dopiero nad ranem pogrążyłem się w otchłani niespokojnego snu.

3

Zbudziłem się około południa z lękiem w sercu, wystraszony, niczym dziecko wyrzucone z raju. Zaspany, na wpółprzytomny, podszedłem do stołu, aby wyłączyć alarm w moim wirtualnym multikomunikatorze. Ledwie podniosłem się z miejsca, uświadomiłem sobie, że w pokoju panuje cisza. Natychmiast wróciłem do łóżka. Po kilku sekundach jednak, ciekawość wzięła nade mną górę. Skoro alarm był wyłączony, to co w takim razie mnie obudziło?

Wstałem i zrobiłem kilka kroków po raz wtóry, podnosząc miniaturowe urządzenie, które, jak na moje przyzwyczajenia, było zdecydowanie zbyt lekkie. Gdy tylko spojrzałem na wyświetlacz, zadrżałem. Widniała na nim informacja, że w skrzynce odbiorczej, czeka na mnie nowa wiadomość od ANN. Gdy wybrałem opcję „odczyt na pełnym ekranie”, przede mną zmaterializował się duży, około trzydziestocalowy ekran, na którym ujrzałem ANN.

— Paweł — powiedziała przełykając ślinę, patrząc w sam środek obiektywu kamery. — Zachowałam się jak idiotka... Wiem, słowo przepraszam, to za mało... Proszę cię, daj mi jeszcze jedną szansę...

Od razu zapomniałem o zmęczeniu. Gdy wysłałem potwierdzenie przeczytanej wiadomości, nie zdążyłem policzyć do dziesięciu, gdy ANN zadzwoniła do mnie.

Odebrałem po sekundzie. Nie trudziłem się nawet, by przyczesać włosy i zapiąć guziki od pidżamy. Dziewczyna spojrzała na mnie i lekko wystraszonym głosem powiedziała:

— Cześć!

Uśmiechnąłem się tylko, po czym powiedziałem:

— Przekreuj mnie do siebie.

ANN przymrużyła oczy, po czym poruszyła bezdźwięcznie wargami, tak jakby powiedziała „jeden, dwa” i w tej samej chwili, znalazłem się w jej salonie. Stałem w dokładnie takiej samej pozycji, na boso, w pidżamie z komunikatorem w rękach. I pomimo mych przekrwionych oczu i nie umytych zębów, dziewczyna rzuciła się na mnie, obdarowując tysiącem pocałunków. Znowu miałem dla kogo żyć!

Nie potrzeba było słów, ani żadnych przeprosin. Nasze serca znowu były równym rytmem.

Gdy usiadłem, aby ochłonać z wrażenia, moja odzyskana miłość przemieniła pidżamę, w którą byłem ubrany, w dzienny strój, po czym zaprosiła na śniadanie. Zasiadając do niego, z zaskoczeniem spostrzegłem, że mam umyte zęby i włosy, a całe moje ciało, całe jest wykąpane i zabalsamowane.

— Dziękuję — powiedziałem z uśmiechem.

— Nie ma za co — odparła ANN, podsuwając mi pod nos talerz z apetycznie wyglądającym mięsem.

Podczas prowadzenia nierównej walki z posiłkiem – apetyt wrócił mi wraz z humorem – ANN, ni stąd, ni zowąd, spytała, czy słyszałem kiedyś o Kreatorze Wszechrzeczy.

Przyznałem, że słyszałem, jak wspomniano o nim na nadzwyczajnym zebraniu rady, ale na tym się moja wiedza kończyła.

— Na imię miał Jim. Był przyjacielem LORDA_SOUR'a, jeszcze z czasów szkolnych — dziewczyna tłumaczyła, nie przerywając konsumpcji. — Był szybszy i zdolniejszy od niego. Poza tym posiadał niespotykaną cechę – potrafił kreować, zanim jeszcze wszczepiono mu implant. W wieku zaledwie dwudziestu lat, skończył wszystkie możliwe specjalizacje, dlatego właśnie otrzymał przydomki: Kreator Wszechrzeczy i Wszechkreator. Był lepszy nawet od JJ_EX'a!

Wymawiając imię przyjaciela, wyczułem w jej głosie obawę, która zniknęła pod wpływem braku reakcji z mojej strony.

— Pasowano go na Kreatora, jeszcze jako siedemnastolatka. W rok później zasiadł w radzie. Nie dziwi cię zapewne fakt, że w wieku dwudziestu pięciu lat został Najwyższym Kreatorem.

— Nie — odparłem, odrywając się od deseru. — Dziwi mnie jedynie, dlaczego teraz mi o tym opowiadasz.

— Jest sprawa, o której powinieneś wiedzieć — powiedziała poważnie nagle.

— Jesteś jego córką? — palnąłem, zastanawiając się, w jaki sposób ludzie w wirtualnym świecie rozmnażają się.

— Nie — ANN, pokręciła przecząco głową. Powaga ani na moment nie zniknęła z jej twarzy. — JJ przeprowadził lustrację wszystkich, włącznie z tobą. Okazuje się, że twój numer IP, został przyznany na podstawie innego, wygasłego. Wiesz, że jest on identyczny z tym, którego używał Wszechkreator!

Znieruchomiałem z zaskoczenia.

— Chyba nie myślisz, że nim jestem? — spytałem zupełnie poważnie.

Dziewczyna parsknęła śmiechem, co powrotem dodało mi pewności siebie.

— Więc wszystko w porządku — stwierdziłem. — Kreator Wszechrzeczy nie żyje, a mi niechcący, trafił się ten sam numer. To chyba logiczne?

— Właśnie problem w tym — powiedziała ANN, poważniejąc ponownie, — że on nie umarł, tylko odszedł z wirtualnego świata. Wiesz, że często, po wielu latach Kreatorzy dochodzą do wniosku, iż życie nie ma sensu, gdy można mieć wszystko. To taki kryzys, jakby nasza choroba zawodowa. Czasem to przechodzi, czasem, po prostu odłączasz światłowód od głowy, wychodzisz na spacer i... już nigdy nie wracasz.

— Rozumiem, ale... co ja na to poradzę?

— JJ, w tajemnicy przed całą radą, powierzył mi specjalne zadanie. Mam odnaleźć Jima i poprosić go o pomoc w rozwikłaniu zagadki Dyskreatora. Wiesz, że nie poradzę sobie bez ciebie.

Powoli zaczynałem rozumieć powód przeprosin ANN i nagły przypływ jej ciepłych uczuć. Wróciła do mnie, bo potrzebowała pomocy. Spojrzałem na nią, zastanawiając się raz jeszcze. Nie, nie wierzyłem w to... Nadal jej ufałem.

Wstałem od stołu, podszedłem do dziewczyny i objąłem ją czule. Tak jak powiedział Ben, trzeba wiedzieć, czego się w życiu chce.

Nasza czwórka nie siliła się na oryginalność w wyborze miejsca na pożegnalny wieczór. Warszawski, piwniczny lokal stał się tak lubianym przez nas przybytkiem, że Ben zaczął się nawet zastanawiać nad wykupieniem karty stałego klienta. Ja osobiście miałem bardzo miłe wspomnienia związane z tym miejscem. To przecież tutaj poznałem swoją dziewczynę. Jeśli zaś o nią chodzi, wiedziałem, że czuła się tutaj jak w ryba w wodzie. Bądź, co bądź znała wszystkie z grających tu zespołów i niejednokrotnie, gościnnie z nimi śpiewała. Nawet Cecile przypadł do gustu nasz lokal i zachowywała się w nim strasznie swobodnie. Nie mogłem uwierzyć, że ze skrytej, nieśmiałej kobiety, przekształciła się w „gadulę”.

Klientów dzisiaj było, jak na lekarstwo. Podejrzewam, iż frekwencja w dużym stopniu zależała od dnia tygodnia. Sęk w tym, że zupełnie straciłem rachubę. Dyskretnie wyjąłem wirtualny multikomunikator i odczytałem z kalendarza, że dzisiaj jest środa. Od czasu, gdy po raz pierwszy opuściłem Nową Europę i przestałem chodzić do pracy, dni tygodnia różniły się dla mnie tylko nazwami.

Z niekrytą radością spoglądałem na siedzącą u mego boku ANN, która dzisiejszego wieczoru zmieniła sobie barwę oczu na błękitne. Czułem ciepło jej dłoni i zapach włosów. Aż trudno było mi uwierzyć, że jeszcze wczoraj pałaliśmy do siebie nienawiścią. Czasem trzeba coś stracić, aby to docenić...

Myślałem, że z momentem, gdy ANN zaproponowała mi wyjście z wirtualnego świata w celu poszukiwania Wszechkreatora, skończyły się liczne niespodzianki przygotowane na dzisiaj. Oczywiście myliłem się.

— Cecile, rozmawiałam dzisiaj z twoim twórcą — powiedziała, ni stąd, ni zowąd ANN.

— Z JJ_EX'em? — spytała botka, poważniejąc nagle. Uśmiech oraz towarzyszące mu, sympatyczne dołeczki na policzkach zniknęły z jej twarzy.

— Tak.

— Czy coś nie tak? — zapytała ponownie Celine. Na jej delikatnej buźce pojawił się lekki ślad zamyślenia.

— Nie, wręcz przeciwnie. Dostałam twoje kody oraz zezwolenie na przeprogramowanie. Chciałam przed wyjazdem zrobić ci prezent. Co powiesz, na to, aby twoim właścicielem został Ben? Dodatkowo dorzucam „gratis” możliwość wchodzenia do Eposquantinu i Hadrcore'u — wypowiadając niniejsze słowa ANN przymrużyła oczy, na chwilę jakby wyłączając się. Dobrze wiedziałem, że właśnie dokonywała skomplikowanych operacji na widzianej wyłącznie przez nią konsoli. — Zrobione!

— Dziękuję, o niczym innym nie marzyłam — wyszeptała Cecile spuszczaając głowę. — Dziękuję za dobroć i za to, że traktujecie mnie jak... człowieka. — W jej oczach dostrzegłem blask łez.

— Nie mi dziękuj, tylko Benowi — powiedziała pani Kreator, wskazując gestem na pilota-mechanika. — Gdyby nie jego głębokie uczucie, nigdy nie zdecydowałabym się na coś takiego. Pamiętaj, że wraz z nim musisz raz na miesiąc udać się do bazy domowej na... badania.

Byłem pewien, że moja dziewczyna chciała powiedzieć: „przeгляд”, ale ze względu na traktowanie Cecile jako człowieka, posłużyła się innym określeniem.

Gdy tryskająca radością botka wraz z nie mniej szczęśliwym Benem poszli tańczyć, ANN szepnęła dziwnie się śmiejąc:

— Pewnie dzisiaj w nocy twój przyjaciel nie będzie się nudził. Jak znam JJ_EX'a, to władował do niej dziesiątki algorytmów erotycznych.

Przez moment przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby, gdybym poprosił swoją dziewczynę do tańca. Jednak z moim słuchem i wyczuciem rytmu, raczej przyniosłbym jej więcej wstydu, niż przyjemności. Nie bez powodu

Helmut tyle razy powtarzał, że słoń nadepnął mi na ucho. Wpadłem wówczas na inny pomysł.

— Może coś dla mnie zaśpiewasz?

— Już myślałam, że nigdy o to nie poprosisz!

Wstała, odgarniając włosy z twarzy. Z uśmiechem na ustach podeszła do sceny. Dwójka gitarzystów o długich, kolorowych włosach ucieszyła się z jej prośby i po ukończeniu granego kawałka, przysunęła jej mikrofon oraz krzesło. Pani Kreator usiadła na nim, zgodnie ze swoim upodobaniem w dużym rozkroku, przymrużyła oczy i wczuła się w pierwsze takty melodii. Po chwili zaczęła śpiewać, spoglądając cały czas w moją stronę.

Oto jest ten, co barwną chustą
Bliznę na twarzy przysłania
Oto jest ten, który wśród tłumu
Dostrzega znaki zapytania

Oto wędrowiec, co z każdym krokiem
Swą pamięć zatracą by dążyć dalej
Sękatym kijem w drżącej dłoni
Na piasku spisuje niewiarę

To ten, co w srebrnym blasku
Dostrzega krętą drogę
A gdy noc czarna wstanie
Nad zniczem chyli głowę

Oto spojrzenie strwonione
Zastygłe w odległym niebycie
Widać w nim otchłań bezkresną
Niegdyś tam tliło się życie

Oto ten, który upada
Gdy życie po policzku płynie
Podnosi się, odchodzi
Nie patrzy za siebie... już nie

Dziewczyna wstała wzruszona, a ja podbiegłem, wskoczyłem na scenę i rzuciłem się jej w objęcia. Tego wieczoru nie istniało nic prócz radości.

Mijały godziny, lokal opustoszał zupełnie. Nawet orkiestra podziękowała za uwagę, a nasza czwórka ani drgnęła. Cecile przywarła do boku Bena. Ciesząc się emanującym od nich szczęściem, nie chcąc być ani odrobinę gorszy, czule objąłem ANN. Moje gesty, w połączeniu z wypitym alkoholem przyczyniły się do tego, że dziewczynę ogarnął refleksyjny nastrój, zaczęła opowieść.

5

Nieznane zawsze kusi, tym bardziej, gdy jest zakazane. Większość młodych ludzi z niecierpliwością oczekuje dnia osiemnastych urodzin, kiedy to prócz symbolicznego wejścia w dorosłość i hucznej imprezy otrzymują najbardziej upragniony prezent: możliwość wejścia do Hardcore'u oraz zakazanych rejonów Eposquantinu.

Nie wiem, jakim sposobem udało się moim znajomym namówić mnie do tego. Być może, gdzieś głęboko w podświadomości jakaś częśćka mnie naprawdę tego chciała? Przeniosłam się z przyjaciółką Kasią i jej chłopakiem Muratem do jednej z zakazanych dzielnic wirtualnego miasta Xyn w

Eposquantinie. Oczywiście skorzystaliśmy z budek teleportacyjnych, bowiem byłam jeszcze wówczas przed pasowaniem na Kreatora.

Kolorowe neony z pogranicza kiczu i tandety były dosłownie wszędzie. Ogromne hologramy, zaprojektowane, aby działać na podświadomość, pokazywały najbardziej wyuzdane formy seksu i przemocy. Każdy z nich starał się skusić, a raczej omamić klientów sloganami typu „gwarantujemy tak mocne wrażenia, że nie zapomnisz ich do końca życia”. W wielu przypadkach była to prawda...

Panowała noc, co jeszcze bardziej podkreślało wymowność reklam oraz pogłębiało ponury nastrój. Większość budynków, które mijaliśmy była utrzymana w ohydnie czerwono-różowych tonacjach. Nawet bary fastfoodowe wyglądały tak jakoś przerażająco. Szliśmy powoli, rozglądając się z lekką obawą i jednocześnie ogromną ciekawością. Murat był nieco bardziej pewien siebie, bowiem był już kiedyś w tamtej dzielnicy. Mimo to, nawet na jego twarzy dostrzegłam ślady silnych emocji.

Weszliśmy do pomieszczenia wyglądającego niczym loch. Obsłużył nas bot z przestrzeloną głową, który po wyegzekwowaniu niemałej kwoty, wręczył każdemu z nas wielki karabin. Chodziliśmy w wąskich, ciemnych korytarzach, z których wynurzali się bezbronni ludzie. Strzelałam im w głowy. Widziałam, jak rozpadają się im czaszki, jak wypływają oczy. Niektórym odrywały się kończyny, upadając w kałuże krwi. Słyszałam krzyk, dźwięk kruszących się kości oraz błaganie o litość. Wszystko było tak realne, jakby działo się naprawdę.

Wytrzymałam niecały kwadrans, po czym zszokowana odłożyłam broń i uciekłam. Wiedziałam od samego początku, że były to tylko boty, które naprawdę nie czuły bólu. Niemniej jednak byłam tym wszystkim tak wstrząśnięta, że przez kilka następnych miesięcy nie mogłam dojść do siebie. W końcu miałam tylko osiemnaście lat...

Piwnooka barmanka przerwała nagle opowieść ANN, tłumacząc, że jest druga, a lokal czynny jest tylko do północy. Wyrwany z transu, spojrzałam na siedzącą vis a vis mnie parę. Spostrzegłam, że Cecile ze strachu wbija paznokcie w ramię Bena. Nawet pilot-mechanik, zwykle opanowany, stroniący od silnych emocji, który rzekomo wszystko już widział, był poruszony opowieścią mojej dziewczyny.

Grzecznie przeprosiliśmy, po czym wyszliśmy na zewnątrz. Oświetlona blaskiem reflektorów i latarni warszawska starówka nie zachwyciła mnie tym razem. Powodem tego był fakt, że w mej głowie pozostały jeszcze resztki poruszenia związanych z niedawno usłyszaną historią.

— Może pójdziemy teraz do mnie? Mam miękkie kanapy i pełen barek. Jeśli będzie wam czegoś brakować, mogę wykreować — zaproponowała ANN.

— Chętnie — odparła Cecile. Ben był zmęczony, ale widząc entuzjazm dziewczyny, nie śmiał zaprzeczyć. — Tylko proszę, opowiedz historię, chociaż odrobinę łagodniejszą.

— Okay. Chodźmy do stacji metra. W Quasirealu nie mogę przekreowywać.

6

To wydarzyło się jakieś dwa lata po tym, jak wprowadziłam się do zamku Thoughtcastle. Kiedyś na zajęcia animacji postaci poproszono JJ_EX'a, który, mimo iż był moim rówieśnikiem, został już pasowany. JJ prowadził ćwiczenia, to znaczy poruszał myślami iluzje postaci, symulując ich naturalne ruchy, a później uczniowie robili to samo przy pomocy specjalnego kontrolera. Można by pomyśleć, że zajęcia, jak każde inne. Wiedźcie jednak, że wszystkie dziewczyny z mojego rocznika podkochały się w młodym Kreatorze. Co

prawda było ich tylko pięć, wraz ze mną, ale pięć z pięciu, to przecież wszystkie! Postanowiłam wówczas popisać się przed nimi i umówić przy wszystkich na randkę z JJ'em. Wykorzystałam fakt, że znaliśmy się już od czasów szkolnych, no i udało się! Dziewczyny o mało nie wyszły z siebie z zazdrości. Patrzyły na mnie, tak jak Paweł teraz...

Normalnie uczniom wolno opuszczać terenu zamku, tylko w wyznaczone dni. Młody Kreator był jednak na tyle wpływowy, że udało mu się załatwić dla mnie przepustkę. Wyjechaliśmy o zmierzchu, na jego superszybkim skuterze. Wiedziecie, że jazda z prędkością 900 kilometrów na godzinę naprawdę potrafi przyprawić o szybsze bicie serca, nawet mając świadomość, że nie ryzykuje się utraty życia, a ból przy ewentualnym upadku, zostanie zredukowany o 80 procent.

Zabrał mnie do swoich ulubionych miejsc. Pokazał dom, w którym się wychował, pobliski las, w gdzie przeżył setki przygód, a także swoją prywatną pracownię, w której kreował i testował boty. Później zaś przekreował się ze mną do domku, zbudowanego na drzewie, gdzie – jak mi się przyznał – jako piętnastolatek pierwszy raz życiu całował się z dziewczyną. Staliśmy we dwoje, wpatrzeni w gwiazdy – te na niebie i te drugie, odbijające się w toni pobliskiego jeziora. Objął mnie i pocałował. Oj, Paweł! Przestań! Znasz takie polskie przysłowie: „Co było, a nie jest...”?

Spodziewałam się, że będzie się przede mną popisowywał, albo zabierze mnie do jakiegoś głośnego pubu. Tymczasem JJ pokazał mi siebie, takiego, jakim był...

Nawet nie starałam się go zatrzymać, wiedziałam, że to niemożliwe. Tacy jak on, mogą zjednać sobie każdą dziewczynę.

Kilka ładnych lat minęło już od tamtego spotkania. Nasze drogi porozchodziły się w nieco odrębnych kierunkach. Nie zawsze mieliśmy te same poglądy, ale po dziś dzień jesteśmy przyjaciółmi. Musicie wiedzieć, że JJ_EX skończył pierwszą specjalizację dwa lata wcześniej ode mnie. Gdy zostałam pasowana na Kreatora, on, prócz kreowania botów, miał już mistrzostwo w budownictwie i kreowaniu maszyn. Poza tym, średnia wieku zasiadających w radzie wynosi pięćdziesiąt – on miał zaledwie dwadzieścia pięć, gdy przypadł mu ten zaszczyt. Nie myślcie jednak, że tak szybko rozwijający się talent, stronił od przeszkód.

Typowy problem Kreatora to kryzys, który przychodzi, gdy uświadamiasz sobie, że wszystko, co tylko zapragniesz, możesz mieć. Wśród Kreatorów botów dochodzi jeszcze jedna słabość. Bardzo często zakochują się w owocach swojej pracy. Tak samo było z JJ'em. Cecile, nie musisz się rumienić. Jesteś wśród swoich! Pracował nad botem swojego życia wieczorami, dzień w dzień, przez okrągły rok. Na początku jego pupilka, Abigail – chyba nikogo nie dziwi fakt, że była przedstawicielką płci pięknej – była pasją, później stała się obsesją. Niemal bez przerwy dodawał jej postaci jakiś szczegół upiększający, albo optyimizował algorytmy jej inteligencji. Można powiedzieć, że udało mu się stworzyć kobietę idealną, takiego nadczłowieka.

Spytacie zapewne, co w tym złego. Tak samo myślałam i ja oraz wszyscy w zamku Thoughtcastle, gdzie JJ_EX od czasu do czasu paradował ze swoją ulubienicą za rękę. Problem pojawił się dopiero wówczas, gdy Abigail osiągnęła tak wysoki poziom intelektu, że uświadomiła sobie, że naprawdę nie istnieje.

Wiem Cecile, że ją rozumiesz. Ty jednak nie cierpisz z tego powodu, że jesteś botem. Wiedz, że twoja „siostra” została skonstruowana na nieco innych algorytmach niż ty. JJ dzięki niej dużo się nauczył i nie popełnił już więcej tego błędu.

Młody Kreator nie mógł patrzeć na cierpienia najbliższej mu osoby. Widział ile łez wylała, wiedział, że potrzebowała tego, czego nie mógł jej dać. Oczywiście, mógłby przeprogramować ją, oszukać wymazując pewne obszary z pamięci trwałej. Jednak postanowił sobie, że od momentu ukończenia, nie zmieni w niej ani linijki kodu. Uważał, że wówczas miałby do czynienia z czymś w rodzaju klonu swojej najdroższej. Chciał, żeby zawsze pozostała sobą, do końca...

Pewnego wieczoru, widząc jak po raz kolejny płacze do poduszki, przytulił się do niej, pocałował i... zdyskreował. W godzinę później wyszedł z wirtualnego świata i opuścił swój Worldgenerator. Cały zakon, nie pogodził się jeszcze z odejściem przed laty Wszechkreatora, a tutaj taka strata, najzdolniejszy z najzdolniejszych. Co prawda Wszechkreator, którego – mam nadzieję – uda nam się z Pawłem znaleźć, był jeszcze lepszy od JJ_EX'a, niemniej był jedynym. Nawet LORD_SOUR, mimo dużego doświadczenia i stanowiska, które piastuje nie może się równać z młodym Kreatorem.

Na szczęście mój przyjaciel wrócił po dwóch tygodniach, ze słowami: „mam jeszcze tyle do zrobienia”. Zakon z radości ustanowił nawet specjalne święto, upamiętniające dzień jego powrotu. JJ jednak nie przepada za tą rocznicą, ponieważ zawsze przypomina mu smutne odejście ukochanej.

Poza tym, z dniem powrotu młody Kreator zmienił swój wygląd. Postarzył się o dobrych kilka lat, dodając zmarszczek na twarzy oraz bliznę, której nigdy nie pokazuje, na klatce piersiowej.

Dodam jeszcze wam w sekrecie, że mój przyjaciel ma backup Abigail zapisany sekundę przed momentem, w którym została zdyskreowana. Kilka razy przywrócił ją, jednak nadal nie potrafił jej pomóc, słysząc wciąż te same pytania.

Jeśli kiedykolwiek zobaczycie łzy w oczach JJ_EX'a, bądźcie pewni, że właśnie wspomina swoją miłość.

ROZDZIAŁ ÓSMY

1

Po raz pierwszy od tygodnia spałem dobrze, z tym tylko wyjątkiem, że odrobinę przy krótko. Około dziewiątej ANN zbudziła mnie delikatnym muśnięciem warg. Gdy otworzyłem oczy poinformowała mnie, że już na nią czas. Podniosłem się i rzuciłem jej w objęcia. Była taka ciepła.

— A, i jeszcze jedno! Jeśli spotkasz znowu Glinkeya, to przekaż mu ode mnie słowa „*then-thenemore*”.

— Nie ma sprawy. Do zobaczenia w „realu”, najdroższa! — powiedziałem, mimo iż nie miałem najmniejszej ochoty na rozmowę z wrednym krasnoludkiem.

— Do zobaczenia — wyszeptała, po czym rozplynęła się w powietrzu.

Zostałem sam. Przeciągnąłem się, po czym poszedłem pod prysznic, ogoliłem i ubrałem. Specjalnie robiłem wszystko powoli, aby prędzej upłynął mi czas. Nie lubiłem czekać. ANN była zalogowana do Worldgeneratora w Monachium, o trzy godziny lotu odrzutowcem.

Łóżko ścieliłem około czterech minut. Wiem, że ANN po powrocie zrobiłaby to jednym spojrzeniem, ale przecież coś musiałem robić. Znudzony chodzeniem w tą i z powrotem udałem się na szczyt wieży, tym razem po schodach. Gdy odsapnąłem chwilę, osiągnąwszy cel, przysunąłem się do barierki. Posłałem ostatnie spojrzenie na piękny, wirtualny świat. Trochę żałowałem, że ten, do którego za moment zamierzałem się udać jest tak bardzo zaniedbany. Wiedziałem jednak, iż takie są koszty postępu technicznego.

Wyobraziłem sobie przesuwający się przede mną trzykrotnie napis „ID”, w efekcie czego wszystko wokół zrobiło się mlecznobiałe. Nacisnąłem przycisk, na zmaterializowanym przede mną ID, potwierdzając przeniesienie.

— O, kogo my tu mamy! — ironiczny głos Glinkeya ostatecznie uświadomił mnie, gdzie się znajduję.

— *Then-thenemore* — powiedziałem zamiast przywitania. W mgnieniu oka uśmiech z twarzy bota zniknął, a na jego miejscu pojawiły się oznaki pokory.

— Panie — powiedział płaszcząc się przede mną. — Przepraszam za swoją arogancję.

— Zrób coś dla mnie — rzekłem, mimo zdziwienia, nadając swemu głosowi nutkę wyższości, której nie powstydziałaby się niejeden dyktator. — Zniknij mi z oczu.

— Dobrze, Panie! Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebować, po prostu wypowiedz me imię — odparł z pokorą krasnoludek, po czym zdematerializował się.

W ciszy i spokoju wylogowałem się. Półkolista kopuła, przykrywająca urządzenie, w którym przebywałem powoli otwierała się. Moje oczy po kilku sekundach przyzwyczajały się do rażącego światła. Powoli odczepiłem wszystkie elektrody i wężyki przymocowane do ciała, po czym wstałem i podeszedłem do szafki z ubraniami.

Ledwie zdążyłem założyć majtki, do pomieszczenia wparował dobrze mi znany, łysawy administrator. Tym razem dla odmiany był trzeźwy. Poprosił, abym wziął prysznic i udał się do jego gabinetu, na kontrolę medyczną. Przyznam szczerze, iż nawet ucieszyłem się z tej propozycji. Zawsze lepsze to, od bezsensownego czekania.

Drugi raz, w niedługim odstępie czasu poddałem się kąpiel. W obu przypadkach – realnym i wirtualnym – sprawiło mi to dużą przyjemność.

Gdy korpulentny, łysawy administrator odczytał wykresy na wszystkich, dziwnie wyglądających urządzeniach, stwierdził, że jestem zdrowy jak ryba, po czym pozwolił mi się ubrać. Uścisnąłem mu dłoń na pożegnanie, po czym poszedłem w kierunku windy.

— Mam nadzieję, że Ben ma się dobrze! — krzyknął przez korytarz, w moją stronę.

— Aż za bardzo! — odparłem donośnie, znikając we wnętrzu windy.

Wysiadłem na najwyższym piętrze. Nie był to dach, ale wyżej wjechać się nie dało. Dwójka poważnie wyglądających, strażników oraz duża przestrzeń pomieszczenia, z przezroczystym dachem, robiły na mnie nie najlepsze wrażenie. Usiadłem na plastikowej ławce, i wpatrzony w niebo czekałem.

Po upływie około godziny, gdy moja niecierpliwość przekroczyła wszelkie możliwe granice, przezroczysta kopuła dachu rozsunała się. Aż wstałem z wrażenia. Musiałem jednak wydobyć z siebie dodatkowe pokłady spokoju, bowiem przez kolejne piętnaście minut nic się nie działo. W końcu ujrzałem na niebie niewielki kształt, który z chwili na chwilę stawał się coraz większy i wyraźniejszy. Był czymś w rodzaju hybrydy odrzutowca i helikoptera. Władze Nowej Europy mogłaby się o coś takiego zatroszczyć, a nie dekowac nas w małym, lądowym sześciokółowcu.

Nie minęło więcej niż osiemdziesiąt szybkich uderzeń mego, podekscytowanego serca, gdy srebrna maszyna osiadła na miękkich płozach. Z jej wnętrza wysiadła ANN. Podmuch śmigieł rozwiewał jej włosy.

Podbiegłem, rzucając się jej w objęcia. Była ciepłutka i trochę przestraszona. Gdy objąłem jej głowę, wyczułem coś twardego. Odrzuciła włosy, po czym pokazała mi czarny wszczep, wystający z czaszki – gniazdo światłowodowe.

— Pozdrowienia z Bawarii — powiedziała po niemiecku, zupełnie bez akcentu.

— Miło mi dotrzymać ci towarzystwa tutaj, w angielskich stronach — odparłem w tym samym języku, specjalnie wybierając trudne słowa. Znałem niemiecki lepiej od Helmuta i chciałem się tym popisać.

Na pewno nie zrozumiała ani słowa, ale na jej twarzy pojawił się uśmiech. Po chwili odsunęła się o krok i obejrzała mnie od stóp do czubka głowy. Wyciągnęła dłoń, jakby chciała nacisnąć przycisk, na przywołanej konsoli, po czym szybko cofnęła rękę, śmiejąc się ze swojej pomyłki.

Co prawda miała kilka kilogramów więcej niż w wirtualnym świecie, lekko chropowatą cerę i nieco krótsze, przetłuszczające się włosy, ale nadal była tą samą kobietą, którą znałem i za którą skoczyłbym w ogień.

2

Gdy zjechaliśmy na dół, poszliśmy po pojazd, którym wraz z Benem, panią prezydent, jej doradcą oraz ochroną przyjechaliśmy do Worldgeneratora 46. Był to specjalnie sprowadzony z Nowej Europy, okazały krążownik bezdroży, z pięć razy większy od zwykłego sześciokółowca. Duże gabaryty, które na ogół są zaletą, wówczas okazały się problemem, bowiem prezydencka „limuzyna” nie zmieściła się w żaden z wjazdów strzeżonego parkingu. Dlatego właśnie zdecydowaliśmy się zaparkować ją w jednym z opuszczonych budynków, około kilometra od Worldgeneratora.

Ku memu zdumieniu, przyzwyczajona do lewitacji i przekreowywania się z miejsca na miejsce ANN miała kłopoty z... chodzeniem. Normalne kroczenie jeszcze wychodziło jej całkiem znośnie. Poruszała się powoli, dostojnie, zupełnie jakby była na terenie zamku Thoughcastle. Problem zaczynał się

dopiero, gdy na droga była nierówna, albo znajdowały się na niej przeszkody. Początkowo zatrzymywała się przed każdym większym kamieniem, dokładnie przyglądała się mu, jakby chciała go zdyskreować, a dopiero potem z kwaśną miną omijała go szerokim łukiem. Jeśli zaś zobaczyła przed sobą większą kałużę – koniec świata! Za żadne skarby nie chciała jej przeskoczyć.

Na szczęście uczyła się szybko. Po kilku minutach, potrafiła nawet dorównać mi tempa. Niestety, co chwila potykając się.

— Jak często wychodzisz z wirtualnego świata? — spytałem, widząc jej niezaradność.

— Lekarz zalecił mi raz na miesiąc, ale nie zawsze mam czas robić to tak często. To nie jest niezbędne, wiesz przecież, że kiedy znajdujesz się w środku tych urządzeń, wszystkie czynności życiowe są podtrzymywane, włącznie ze stymulacją mięśni.

— A jak inni ludzie?

— Hm... to zależy od kondycji organizmu oraz indywidualnych upodobań. Znam kilku, którzy codziennie wybierają się na spacer i paru, którzy robią to rzadziej niż raz na rok.

— Czym w ogóle zajmują się inni ludzie?

— Głupie pytanie. A czym się zajmują ludzie na Nowej Europie? — powiedziała potykając się, o większy kamień.

— No, prócz nauki, przede wszystkim usługami i produkcją...

— Tak samo jak w wirtualnym świecie. Mamy fabryki, działające co prawda inaczej niż te w „realu”, ale tak samo wymagające nadzoru ludzi. Każdy generator materii, albo gotowych produktów musi być odpowiednio zaprogramowany i kontrolowany — tłumaczyła ANN. — Człowiek zawsze potrzebuje czterech kątów, więc zakon Kreatorów, liczący kilku „budowniczych”, raczej nie nadążyłby z wytworzeniem mieszkań dla wszystkich. Tak samo jest z jedzeniem. Co prawda brak odżywiania nie powoduje chudnięcia, ani śmierci, jednak wirtualny model ludzki jest zaprogramowany tak, żeby odczuwać głód. Chyba nie wyobrażasz naszego gatunku, rezygnującego z jednej z największych przyjemności w życiu. Do tego dochodzi rozwój techniczny. Ludzi w wirtualnym świecie przybywa, a przecież nie można sobie pozwolić na przeciążenie serwerów. Poza tym potrzebne są osoby pracujące w policji, sądzie, księgowości, telewizji czy choćby na giełdzie papierów wartościowych. Wiedz, że w tej kwestii nie usłyszysz żadnych rewelacji. Może zmieniły się techniki, ale nie ludzkie potrzeby!

Gdy dotarliśmy do okazałego, prezydenckiego krążownika, pilnujący go ochroniarz właśnie był w trakcie konsumpcji obiadu. Sądząc po spasionym brzuchu, a także wilczym apetycie, na pewno był to, co najmniej trzeci z jego dzisiejszych posiłków.

— I jak się podoba na Ziemi? — spytałem zaraz po tym jak przedstawiłem mu ANN oraz cel naszej wizyty.

— Przez całe życie troszkę inaczej to sobie wyobrażałem, ale nie narzekam — odparł niskim głosem, odrywając usta od sałatki.

Szczerze mówiąc pani prezydent nie była zbyt wrażliwa na swoje bezpieczeństwo. Przyjeżdżając tutaj, zabrała tylko dwóch ochroniarzy, z których tylko jednego pozostawiła na straży, przy drzwiach pokoju, w którym znajdowało się jej ciało.

Gdy tylko mężczyzna o dużym obwodzie brzucha skończył jedzenie, siadłem za kierownicą luksusowego pojazdu i ruszyłem w stronę Greensloty. Towarzystwo ochroniarza, życzliwie nastawionego do naszej dwójki niemal mi nie przeszkadzało, niemniej wolałbym być z ANN samemu. Byłoby wówczas

tak romantycznie. Poza tym moglibyśmy się na chwilę zatrzymać na seks w „realu”. Ale cóż, najpierw praca, potem obowiązki, czy jak to tam było?

2

Ledwie wjechaliśmy w granice pogrążonego w wieczornym mroku miasteczka, zapominając o głodzie i zmęczeniu, ruszyliśmy z ANN w kierunku budynku, w którym mieszkał Gorgelias. Otworzyła nam jakaś starsza pani, ale oświadczyła, że poszukiwana przez nas osoba teraz medytuje i nie można jej przeszkadzać. Oczywiście nie posłuchaliśmy.

Pchnąłem energicznie drzwi komnaty i wtargnąłem do środka. Tuż za mną podążyła ANN, a na końcu przestraszona całym zajściem starsza pani.

Pokój nie był duży, chociaż zajmował powierzchnię przynajmniej dwa razy większą, niż moje mieszkanie na Nowej Europie. Utrzymany był w barwach ciemnej zieleni, chociaż trudno było mi obiektywnie określić barwę i odcień, bowiem jednym źródłem światła była świeca, ustawiona na podłodze pomieszczenia. Meble znajdujące się w nim były surowe i niewyszukane. Dostrzegłem wśród nich spory regał wypełniony niemal w całości książkami. Czulem też trudny do nazwania zapach, którego źródłem były dwa tłące się kadzidła.

Na środku podłogi, wyprostowany, jakby zamknięty w sobie siedział Gorgelias. Jego oczy były zmrużone, a układ kończyn i uśmiech na twarzy, powodował, że można by sądzić, iż właśnie osiągnął nirwanę.

Wyglądał na zupełnie wyciszonego, jednak na dźwięk gwałtownie otwieranych drzwi zareagował bardzo impulsywnie.

— O co chodzi? Czy przez wirtualny świat zapomniał pan o dobrych manierach? — wykrzyknął z niekrytym oburzeniem.

— Przepraszam za najście, ale to sprawa najwyższej... — próbowałem załagodzić sytuację, dopóki dziewczyna mi nie przerwała.

— Nazywam się ANN, jestem Kreatorem.

Przywódca Greensloty zmarszczył brwi. Jedno jego spojrzenie wystarczyło, aby towarzysząca nam starsza pani spuściła głowę i bez słowa wyszła.

Gorgelias powoli przeniósł świecę na stół. Widziałem jak trzęsły mu się ręce, ale nie byłem pewien, czy to z wrażenia, czy po prostu z racji wieku. Powoli podszedł do uchylonych drzwi, zamykając je zupełnie.

— Słucham was — powiedział szeptem, siadając przy niedużym, drewnianym stole.

Gdy ANN opisała mu przygodę z Dyskreatorem, z wrażenia aż wstał. Część zmarszczek na jego twarzy wygładziła się, reszta – jeszcze bardziej pogłębiła.

— A jednak LORD_SOUR nie oparł się pokusie! — powiedział zaciskając nerwowo prawą pięść.

— Zna go pan? A może wie pan jak możemy odnaleźć Najwyższego Kreatora?

Zamiast odpowiedzi Gorgelias odsłonił część siwych włosów. Kilka centymetrów za jego lewym uchem ujraliśmy gniazdo światłowodowe. Dawno nie byłem tak zaskoczony.

Po długiej chwili milczenia staruszek przemówił.

— Kiedyś pracowałem z LORDEM_SOUR'em nad botem, któremu daliśmy Wolę Kreatora. Pewnego dnia eksperyment wymknął się spod kontroli. Nasz twór przybrał postać Ognistego Golema i przestał reagować na jakiekolwiek prośby i rozkazy. Potrafił przenosić się, gdzie tylko chciał, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. Nie wiem jak to się stało, nie wprowadzaliśmy mu nigdy algorytmów agresji, a mimo to, jedyne, do czego dążył, to przemiana wszystkiego wokół w drobny pył. Na nasze nieszczęście,

stworzyliśmy go nieprawdopodobnie szybkim i odpornym w zasadzie na wszystko.

Na szczęście, po zaciętych wysiłkach, które można bez żadnej przesady określić mianem walki, udało mi się przekreować twór w kawałek metalu.

Tuż przed swoim odejściem z wirtualnego świata, wręczyłem przedmiot LORDOWI_SOUR'owi, aby wraz z przejęciem po mnie władzy w zakonie, trzymał pieczę nad przedmiotem, którego nie da się zdyskreować. Myślałem, że oddałem go w dobre ręce, ale się myliłem...

4

Staliśmy na szczycie południowej wieży World Trade Center w jednej z wielu Eposquantinowych replik Manhattanu. Jej wysokość zrobiła na mnie tak silne wrażenie, że podchodząc do krawędzi dachu zadrżałem. Nie przeszkodziło mi to jednak w podziwianiu pięknego widoku. Na północy uśmiechała się do mnie druga wieża – bliźniaczka, otoczona wieloma, ustępującymi jej „wzrostem” drapaczami chmur. Całość otaczała błękitna, uspokajająca toń wody.

— Wow, za moich czasów nie było takich programów — powiedział z zachwytem JIM, po załadowaniu uaktualnień do swojej konsoli. Patrząc na jego młodzieńczy wygląd i żwawość, trudno było mi uwierzyć, że to ten sam człowiek, którego poznałem w Greensloty. — Czy masz może jeszcze Scalacza w jakiejś nowszej wersji niż 15.0?

— Tak 18.5, proszę — odparła ANN.

Gdy program został załadowany, odszedłem od krawędzi dachu i zbliżyłem do dwójki Kreatorów.

— Może jakąś mała demonstracja? — poprosiłem, spragniony mocnych wrażeń w wykonaniu człowieka-legendy.

— Hm, czemu nie... — uśmiechnął się spytany. Wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat. Miał gładką skórę i krótkie włosy, ciemnoblonde. Ubrany był w luźną, czarną bluzę z golfem, szerokie spodnie tego samego koloru i podobnie, jak wszyscy Kreatorzy, ciemnobrązowy płaszcz. Poza tym miał w oczach coś z JJ_EX'a.

— Tyko szybko — wtrąciła ANN. — Dyskreator zniszczył już cztery miasta.

JIM, jakby nie słysząc ponaglenia, z pełnym opanowaniem i bez pośpiechu przywołał myślą chmarę motyli. Trudno byłoby je wszystkie zliczyć, ale szacunkowo rzecz biorąc – jak to mawiał Helmut – mogło ich być kilka tysięcy.

— Moją pasją zawsze była animacja wieloobiektowa — powiedział Kreator Wszechrzeczy, przekształcając chmarę, tak, że uformowała kształt sylwetek: mojej i ANN.

Każdy z motyli zmieniając swoje położenie, nie robił tego ruchem prostoliniowym, tylko zgodnie ze swoją chaotyczną trajektorią lotu. Musiał to być nie lada wyczyn, skoro nawet ANN westchnęła z zachwyty.

To była jednak tylko rozgrzewka dla Wszechkreatora. Po chwili bowiem, zaczął nasze, utworzone z kilku tysięcy motyli, postacie animować. Robił to perfekcyjnie do tego stopnia, że rozróżniałem w nich charakterystyczny dla mnie i mojej przyjaciółki sposób chodzenia. Jakby tego było za mało, na koniec wszystkie motyle utworzyły miniaturę całego Manhattanu, włącznie z każdym budynkiem i symulacją poruszających się samochodów.

Gdy zadzwonił wirtualny multikomunikator ANN, kolorowe owady rozfrunęły się we wszystkich kierunkach. Po krótkiej, słyszanej tylko przez nią rozmowie dziewczyna oznajmiła zszokowanym głosem:

— Dyskreator atakuje Thoughtcastle! JJ_EX właśnie wysłał po nas transportowiec na stanowisko zachodnie.

— Lećcie sami. Ja później do was dołączę — stwierdził opanowanym tonem JIM.

— Okay — przytaknęła, z wyraźnym zdziwieniem ANN. W sekundę później cała nasza trójka zniknęła ze szczytu południowej wieży.

5

Gdy wysiadłem z cichego śmigłowca dziewczyna pokierowała mnie w stronę murów obronnych, okalających zamek Thoughtcastle. Wbiegliśmy po schodach, na wysokość wyzierników strzelniczych, gdzie dołączyliśmy do stojącego tam grona Kreatorów. Jeszcze nigdy nie widziałem ich tak przestraszonych. Wszyscy patrzeli z przejęciem w tą samą stronę. Natychmiast z ANN uczyniliśmy to samo.

Moim oczom ukazała się ognista postać, oddalona o jakieś dwa kilometry, podążająca nieprzerwalnie przez szare pustkowia w kierunku zamku. Wszyscy zebrani Kreatorzy, jak się domyśliłem, analizowali ją na swoich konsolach, szukając jakiegoś punktu zaczepienia.

— Spróbuję czegoś innego — powiedział JJ_EX, po czym siłą woli pokierował siedzącego mu na ramieniu ptaka w stronę Dyskreatora.

Z obawą patrzeliśmy na szybko oddalający się mały, czarny punkt. JJ wyłączył się zupełnie i tkwił w bezruchu, najprawdopodobniej patrząc oczyma swojego bota. Po chwili zadrżał, a grymas oburzenia i trwogi wykrzywił mu usta.

— Zdyskreował mojego kruka! — wykrzyknął, nie potrafiąc się opanować. — On miał więcej zabezpieczeń, niż cały Thoughtcastle!

Jakby na potwierdzenia słów młodego Kreatora, górna połowa jednej z zamkowych wież rozsypała się w szary pył. Widzący całe zdarzenie LORD_SOUR złapał się za głowę i szeroko otworzył usta. Jakby walcząc z własnymi myślami zaczął chodzić w tą i z powrotem. Po chwili zdecydował się.

— To moja wina — powiedział, odwracając głowę w obawie przed pełnym zaskoczenia i oburzenia wzrokiem słuchaczy. — Przywróciłem do życia tego bota, mając nadzieję, że uda mi się go przeprogramować. Niestety, nie potrafiłem... Wiem, powinienem powiedzieć to wcześniej... Proszę was, zróbcie, co w waszej mocy, bo jeśli nie uda nam się teraz, będziemy musieli po raz pierwszy od 2421 roku zresetować wszystkie trzy światy.

Kolejna wieża, tym razem w całości, rozsypała się w proszek. Gdy obdarzony Wolą Kreatora bot był już naprawdę blisko i wszystkim wydawało się, że czeka ich niechybny reset, po którym będzie trzeba cały świat odbudować, nieoczekiwanie pojawiło się wybawienie.

Jasne uderzenie gromu przeszło klarowne, czerwone niebo. Pod jego wpływem tuż przed ognistą sylwetką wroga, zmaterializował się Wszechkreator. Stał odważnie naprzeciw Ognistego Golema. Tamten w sekundzie sięgnął go Wolą, usiłując zdyskreować. Jednak najpotężniejszy Kreator w tej samej chwili przeniósł się za plecy napastnika.

Na obszarze, w którym znajdował się Thoughtcastle nie dało się teleportować, ani przekreowywać, lecz Gorgelias był jakby poza prawami wirtualnej fizyki.

Dyskreator nie raczył się nawet odwrócić, ani nawet zwolnić tempa marszu. Jednak po tym, co kiedyś zrobił ANN, wiedziałem, że JIM musiał się nieźle napocić szyfrując swoje numery identyfikacyjne. Po chwili nastąpił kontratak. Na głowie płonącej postaci wylądowało kilka tysięcy cegieł, tworząc wysoką, kilkunastometrową piramidkę. Jednak zaatakowany twór wygrzebał się spod nich i w jednej sekundzie przekreował je w stronę przeciwnika. Kreator Wszechrzeczy zdematerializował je, zanim pierwsza z nich, zdążyła dotknąć jego głowy, po czym otoczył postać zbuntowanego bota grubym stalowym walcem, ale tamten, bez żadnego problemu przeniknął przez niego,

jakby był wykonana z plasteliny. W końcu, najwyraźniej zdenerwowany JIM, stworzył kilkanaście kopii swojej sylwetki, ale ogniste monstrum zdyskreowało je w ciągu dwóch sekund. Przez moment, pomyślałem nawet, że podobny los spotkał Wszechkreatora, który zniknął z pola widzenia. Na szczęście, po chwili pojawił się i to nie sam. Dokoła jego sylwetki, zaczął wyrastać las wiernych kopii Kreatora. Po kilku sekundach było ich kilkaset, po kolejnych paru – kilka tysięcy! Ognisty Golem po raz pierwszy zatrzymał się, otoczony chmurą atakujących go wrogów.

— *Moją pasją zawsze była animacja wieloobiektowa* — przypomniałem sobie słowa JIM'a.

Płonące monstrum atakowało na oślep, w kompletnym chaosie. Niektórych przeciwników dyskreditoowało, a innych po prostu pokonywało fizycznie. Jednak było ich za dużo. Osaczyli je zupełnie i unieruchomili. W chwilę później, pod wpływem silnego nakazu Woli Wszechkreatora, zbuntowany bot został unicestwiony. Jak się po chwili dowiedziałem, nie była to dematerializacja, tylko przemiana w metalowy przedmiot – klucz.

Po chwili wszystkie sylwetki Gorgeliasa zniknęły, prócz jednej, która przeniosła się na teren zamku. Stała w bezruchu, z uniesioną prawą ręką, w której dzierżyła klucz. Wszyscy, włącznie z LORDDEM_SOUREM uklękli przed nią. Nie chcąc być gorszy, dołączyłem do członków zakonu.

Kreator Wszechrzeczy milczał, a jego twarz przybrała chłodną maskę obojętności. Powoli podszedł do JJ_EX'a i wręczył mu trzymany w ręku, metalowy przedmiot. Gdy młody Kreator przyjął dar, będący dowodem zaufania, najpotężniejszy z Kreatorów pstryknął palcem, po czym rozplynął się w powietrzu.

EPILOG

Witam w specjalnym wydaniu Informacji „TV-NU”. Za moment połączymy się z reporterką kanału „CNN News”. Halo, Sandra, czy mnie słyszysz?

— Głośno i wyraźnie — odparła, stojąca na tle zamku Thoughtcastle, rudowłosa prezenterka, uśmiechając się do kamery. — Witam wszystkich widzów w wirtualnym świecie oraz tych, którzy oglądają mnie teraz na pokładzie Nowej Europy. Za moment nastąpi uroczysta chwila, podpisania dokumentów, które staną się początkiem integracji. W zamku, który znajduje się za moimi plecami za moment dojdzie do spotkania pomiędzy nowo wybranym Najwyższym Kreatorem oraz prezydentem Nowej Europy...

Nagle prowadząca program umilkła. Spojrzała w bok i przyłożyła palec do ucha. Po chwili jej wzrok powrócił w sam środek obiektywu.

— Otrzymałam informację, że spotkanie właśnie się rozpoczęło.

Obraz jasnowłosej prezenterki zniknął, a na jego miejscu pojawiła się pogrążona w półmroku sala, w której zwykle odbywały się spotkania rady Kreatorów. U szczytu długiego stołu siedziała pani prezydent, a po jej prawej stronie JJ_EX. Na szyi młodego Kreatora lśnił łańcuch, na którym zawieszony był metalowy klucz.

Gdy głowy państwa podpisały dokumenty. Sala wypełniła się dźwiękiem oklasków. Pani prezydent odczekała stosowny moment, po czym wstała i zaczęła obojętnym tonem wygłaszać przemówienie. Pochodnie wiszące na ścianach odbijały się w jej seledynowej garsonce.

— Chciałam wam, obywatele Nowej Europy w tej uroczystej chwili, podziękować za cierpliwość...

— Całe życie tego słucham! — stwierdziłem, wyłączając pilotem stusześćdziesięcio calowy telewizor.

ANN uśmiechnęła się, obdarowując mnie długim i namiętym pocałunkiem. Wyczułem w niej silne podniecenie. Szczerze mówiąc, nie dziwiłem się. Sam czekałem na ten moment długo i myśl, że za chwilę to się zdarzy napełniała mnie nieopisaną radością.

— Już czas na mnie — powiedział siedzący obok JIM. — Dziękuję za tyłodniową gościnę...

— Cała przyjemność po naszej stronie — powiedziała ANN, przywołując swoje i moje ID.

— A wy co? Też wybieracie się do realnego świata? — spytał zaskoczony Wszechkreator.

— Ychy! — przytaknęła ANN, nie potrafiąc ukryć rumieńców na twarzy.

— Rozumiem, że chcecie mnie odprowadzić?

— Między innymi — odparłem z tajemniczym uśmiechem, po czym zaakceptowałem przeniesienie. Świat wokół mnie zaczął się rozjaśniać, aż w końcu wszystko stało się zupełnie białe.